

MIRA JAWORCZAKOWA

PRZYJACIEL NA ZAWSZE

W roku, kiedy w rodzinie Koperników urodził się chłopiec, któremu dano imię Mikołaj, w

tym samym roku — pod zimę się wtedy miało — pokazał się w Krakowie mężczyzna nikomu nie znany. Nie wiemy nawet, jak wyglądał ani w jakich był latach, można sobie jednak łatwo wyobrazić, że gdy się zatrzymał w krakowskim zajeździe, zaraz go ludzie obścapiłi, a to winem częstując dla zagrzenia się w czas mrozu, to rozpytując o nowiny ze świata, wreszcie o imię.

Nazywał się Kasper Straube.

— No, więc dobrze — najpewniej znów go zagadnęli ciekawi krakowianie. — A gdzie jest twój dom, Kasprze? Jakie twoje rzemiosło? Złotnikiem jesteś, hafciarzem, może budowniczym?

Chyba sam, przez chwilę, musiał się zastanowić nad tym, gdzie jego dom, bo prowadził życie wędrowne, zatrzymywał się w miastach różnych, w niejednym państwie leżących — nigdzie jednak na długo, najwyżej na parę lat. Tak więc w końcu odpowiedział:

— Tam mój dom, gdzie jest mój warsztat; teraz tu właśnie, w Krakowie.

I żeby już o nim wiedzieli wszystko, co ich ciekawiło, dodał:

— A warsztat mój: drukarski.

Mało prawdopodobne, by Kasper po tym swoim wyznaniu mógł usłyszeć jakieś słowa podziwu czy chociażby zachęty. Nikt tu jeszcze takiego warsztatu nie widział, chociaż drukowane księgi nie były ludziom obce. Przywozili je z zagranicy wędrowni handlarze, więc chociaż mało kto mógł sobie na taką pozwolić, bo była kosztowna, to jednak wielu udawało się przynajmniej tę nowość obejrzeć.

O wynalezieniu przez Jana Gutenberga z Moguncji sposobu drukowania ruchomymi, metalowymi czcionkami przecież słyszano, jak też i o tym, że już drukarnie zaczynały się mnożyć w Niemczech, we Włoszech i Francji.

A w Polsce? W Polsce — księgi dalej przepisywano ręcznie.

Jeszcze po klasztornych skryptoriach, w Tyńcu czy na Świętym Krzyżu, pochyleni nad pergaminami mnisi mozolnie przepisywali teksty, kiedy pod Wawelem rodziły się pierwsze druki.

Daremnie by szukać ulicy, domu, miejsca, gdzie wędrowny drukarz, Kasper Straube, prowadził swój warsztat, nie wiadomo także, jak radził sobie z odlewaniem czcionek, skąd sprowadzał papier. Dużo

jednak energii i zapału musiał wkładać w tę swoją robotę, skoro w parę miesięcy po przybyciu do Krakowa wydał swój pierwszy druk: Kalendarz na rok 1474.

I Ж

Jednostronnie zadrukowana karta, w języku łacińskim, przeznaczona była do powieszenia na ścianie. Wieszano więc ten kalendarz po domach — nie wszystkich oczywiście, bo zadrukowana karta nie kosztowała tanio, a że wyszła spod prasy w niewielu tylko egzemplarzach i tak by nie starczyło dla każdego w mieście.

Jak się to zwykle dzieje u progu nowego roku, poniektórzy z zadumą pewnie patrzyli na tę datę 1474, zastanawiając się, jak też się ona w przyszłości zwiąże z ich życiem: radością czy troskami, dobrobytem czy jego utratą w czas wojny? Nikomu zapewne nie przyszło wtedy na myśl, że ów rok 1474 zwiąże się nie tylko ze sprawami poszczególnego człowieka, ale przede wszystkim i na zawsze z dziejami naszej kultury jako rok, w którym narodziło się w Polsce drukarstwo.

Niebawem w warsztacie Kaspra zaczęła drewniana prasa tłoczyć druk następny — tym razem już księgę. Metalowe czcionki powleczone farbą odbijały na żółtawym papierze łaciński tekst, i nie tylko tekst, bo i te dwa słowa także, które księdze nadały potem rangę historycznego dokumentu: Cracis impressa — 'drukowana w Krakowie.

Tak więc miastu słynącemu z urody swych budowli, z Akademii i ludzi światłych przybył jeszcze jeden powód do chwały: że się stało kolebką polskiego drukarstwa.

Wprawdzie Straube po paru latach gród

podwawelski opuścił i słuch o nim zaginął, ale to, czemu dał początek, zostało. Wiosna wtedy była czy jesień, gdy Kasper unosił głowę, żeby jeszcze raz, na pożegnanie, usłyszeć mariacki hejnał — nie wiadomo. Być może w tym właśnie czasie, gdy wędrowny drukarz wyruszał z miasta — w pracowni rzeźbiarskiej przy ulicy Grodzkiej, niedawno przybyły do Krakowa Wit Stwosz kładł dłonie na potężnych kłocach lipowego drzewa, czując już pod palcami zarys postaci Mariackiego ołtarza.

Zanim go skończył, pojawił się w Krakowie nowy warsztat drukarski, tym razem Szwaj-polta Fioła.

I ruszyło wszystko jak lawina: przybywało w Krakowie drukarzy, nie wędrownych już teraz, ale stałych, którzy rozbudowywali swoje warsztaty, ulepszyli prasy, wprowadzali nowe kroje czcionek, upiększali księgi winietami i drzeworytami.

I wreszcie pierwsza książka — pierwsza cała w polskim języku napisana — opuszcza prasę w oficynie Floriana Unglera w Krakowie, a wnet po niej i druga — tłoczona u sławnego iypografa Jego Królewskiej Mości, Hieronima Wietora. Potem już nikt polskiej książce dziwić się nie będzie — stanie się ona sprawą powszednią, zwłaszcza gdy zaczną się ukazywać dzieła Reja i Kochanowskiego.

Kraków, gród królewski i siedziba przesławnej Akademii, drukarń miał dużo, ale zaczęły one powstawać także i w innych miastach: w

Gdańsku, Wrocławiu, Toruniu, Poznaniu czy Zamościu. Rychło książka — mniejszego formatu teraz, poręczniejsza w czytaniu niż dawniej i tańsza — będzie zapełniać półki uczelnianych księgozbiorów czy pracowni uczonych. A gdy z biegiem czasu zaczną się mnożyć czytelnicy, co zechcą ją mieć u siebie w każdej chwili dostępną — książka trafi do bibliotek domowych.

Nie odejdzie już stamtąd nigdy, zajmie w każdym domu należne sobie miejsce — niezbędnej potrzeby na co dzień.

A z tamtych stuleci, kiedy jeszcze torowała sobie i utwierdzała drogę do czytelnika, pozostanie istniejąca do dziś Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, która wywodzi swój rodowód z drukarń XVI wieku, pozostaną też dawne druki, skrzętnie gromadzone i pieczołowicie przechowywane w bibliotekach. Pokazywane będą teraz na niejednej wystawie, by je ludzie mogli zobaczyć, zadumać się nad nimi i w tej zadumie złożyć niski ukłon wszystkim polskim drukarzom, od tamtych pierwszych sprzed pięciuset lat poczynając, którzy wkładali w swoją pracę wiele wysiłku, a często i serca, może już wtedy rozumiejąc, że bez książki żyć się przecież nie da — jak bez przyjaciela.

' / Ш Ж

4

#### SPRAWY DŁUGICH WIEKÓW

ego roku lud krakowski oczekiwał zimy, która srogością znacznie miała przewyższyć wszystkie inne, jakie najstarsi w mieście pamiętali. Nie darmo w założonym niedawno Kazimierzu, przedzielonym od Krakowa jedynie wodami Wisły, urodziło się cielę o dwóch głowach; był to znak niechybny, że coś niepomyślnego musi się ludziom wydarzyć. Znaleźli się i tacy, co twierdzili, że najpewniej sam diabeł przybrał na się postać bydłęcia, by tym więcej szkody zdziałać.

Przekupki na krakowskim Rynku rajcowały, że tylko czekać, a zaraza miasto nawiedzi, kładąc pokotem wszystkich jego mieszkańców. Niektórzy chodzili nawet do astrologa \*: niech z gwiazd odczyta, czego się spodziewać należy.

Astrolog wyjawiał, że cielę dwugłowe, które zresztą zdechło niemal zaraz po urodzeniu, oznacza nie zarazę, ale zimę ostrą, złą dla plonów, ludzi i bydła.

Tak więc w niedługim czasie cała sprawa stała się jasna.

Jakby na potwierdzenie słów astrologa — jesień też niezbyt się udała: mglista i chłodna, wcześniej potrafiła sypanąć drobnym, szybko tającym śniegiem.

Jednego z takich dni późnej jesieni, gdy rankiem szron ubielił dachy domów, a ludzie z każdym wydechem puszczali z ust obłoczki pary, niespodziewany ruch uczynił się na Rynku. Zaraz też przekupki porzuciły splatanie wieńców z cebuli i zachwalanie kolorowych paciorków; odwracały głowy i uszami strzygły w stronę, skąd zgiełk dochodził.

\* objaśnienia znajdują się na końcu książki.

-9-

Bo już w czystym, chłodnym powietrzu niosły się głosy i chociaż były jeszcze dalekie, rozlegające się gdzieś aż spod Bramy Floriańskiej, przecież odróżnić się dało jedno słowo, które powtarzało się raz po raz, radośnie z ust do ust podawane:

— Waganci, waganci ciągną!

Żarek, który stał właśnie pod murem kościoła Mariackiego, trąc zsiniałe od chłodu ręce, z rozmachem trzepnął się teraz po bokach i aż przysiadł z uciechy.

— Waganci idą! — wrzasnął prosto w ucho przysadzistej przekupce, niezmiernie ubawiony, że udało mu się nastraszyć ją niespodziewanym krzykiem.

— A bodaj cię ziemia pochłoneła, żaku utrapiony! — zachnęła

się.

Korzystając z powstałego zamieszania, Żarek chyłkiem porwał z najbliższego straganu okrągły piernik i wpakowawszy go sobie w usta, co sił pomknął naprzeciw wagantom.

Ale gdzie tam docisnąć się do nich! Ani mowy — tacy byli przez tłum obłączeni ci wesołkowie wędrowni, niosący ze sobą ucieszną opowieść, nowiny z obcych miast i krajów, a także dźwięczną pieśń, śpiewaną przy wtórze lutni.

— Waganci w gród przybyli, zaraz pod Sukiennicami widowisko dadzą!

Zapoczątkowali je pieśnią, śpiewaną przez młodziutkiego chłopca. Zaczął głosem nieco drżącym, ale wnet się rozśpiewał i wywiódł melodię tak czystą i tęskną, że ludzie, sami nie wiedząc dlaczego, wdychać poczęli, a co tkliwsze niewiasty — wilgotność jakąś spod oka musiały ocierać.

Żarkowi już w pierwszej chwili dziwnie znajomy wydał się głos młodego śpiewaka. Stawał więc na palce, szyję wyciągał jak żuraw, żeby go koniecznie dojrzeć, ale oprócz płowych włosów nic nie mógł zobaczyć.

— Nie pchajże się! — ofuknęła go jakaś mieszczka, gdy łokciami usiłował przepychać się do przodu. — Utrapienie wieczne z tymi żakami!

Żarek nie przejął się wcale uwagą, ale zgiąwszy się mocno w sobie, z całej siły runął w przód. Za wszelką cenę chciał śpiewaka z bliska zobaczyć, upewnić się, czy...

— Gadki teraz posłuchajcie, mili ludzie, gadki o Ezopie Frygu, jako to z niewolnika stał się najpierwszym doradcą królewskim, a wszystko siłą rozumu swego — zapowiedział jeden z wagantów, zanim Żarek zdołał się przedostać przez zwarty pierścień ludzi otaczających wesołków. Kiedy chłopiec wyprostował się, nie zobaczył już płowej czupryny śpiewaka.

-10-

„Może to nie on był, jeno tak mi się przywidziało — pomyślał zawiedziony. — Może to wcale nie Iwo”.

Iwo, przyjaciel jedyny, serdeczny, druh najbliższy, który przed rokiem odszedł gdzieś w świat, porzucając Akademię i miasto, porzucając Żarka... A jeżeli to nawet on, jakże go w takim tłumie odnaleźć?

Żarek nie słuchał już więcej wagantów, odechciało mu się. Wszystko z tej nagłej tęsknoty za Iwonem, która powróciła znów wielką falą na głos nieznanego śpiewaka.

Wycofał się z tłumy i wolno powlókł się Grodzką ulicą. Szedł przed siebie, nie oglądając się, ze zwieszoną głową, i dopiero zauważywszy, że wóz jakiś jedzie naprzeciw, skręcił nieco w stronę wawelskiego wzgórza.

Nagle serce zamarło mu w piersi, a potem zaczęło gwałtownie łomotać: pod wzgórzem, zapatrzony w królewski zamek, stał płowowłosy chłopiec. Na odgłos Żarkowych kroków odwrócił głowę.

— Iwo, ty żeś to?

— Żarek! Jam we własnej osobie!

— Aleś się zmienił...

Niepewnie spoglądali na siebie, jakby czymś zawstydzeni, tylko uśmiechy przemykały im po twarzach.

\

I wreszcie niemal jednocześnie zaczęli wykrzykiwać jeden przez

drugiego:

— Zmieniłeś się, dużyś się taki zrobił, Iwo!

— A ty nie? Tożem cię rok cały nie widział!

— Na gębie toś był dawniej okrągłszy.

— W wędrowce sadła człowiekowi nie przybywa — zaśmiał się Iwo, odgarniając płowe włosy. Ale śmiech jego zabrzmiał jakoś smutno i dziwne to się wydawało Żarkowi.

— Żle ci, Iwo, na wędrowce? Żle z wagantami chodzić? — zatroskał się o przyjaciela.

I już tak się stało, że znów poczuli się sobie bliscy, jakby rozstali się zaledwie wczoraj, a nie przed rokiem.

— No co, Iwo? Co? — dopytywał się Żarek, przysiadając na kamieniu.

— Jak by ci tu rzec... Nie jest źle, czasem tylko tęskno...-. Siedzieli przez chwilę w milczeniu; Iwo znów podniósł wzrok

na wawelski zamek otoczony murami.

— Cóż się tak zapatrzył? — zniecierpliwiał się wreszcie Żarek. Tyle czasu nie widzieli się, a ten rozgląda się wokół, nie wiedzieć nad czym duma, miast sypanąć opowieściami z szerokiego świata.

— Grodzkiej ulicy nie poznajesz? Zamku? — zapytał. Miałby ochotę szarpnąć przyjaciela za rękę, do siebie odwrócić, ale jakoś

nie śmiał.

— I Grodzką poznaję, i wawelskie wzgórze — powiedział wreszcie Iwo otrząsając się z zadumy. — Jakże bym nie poznał, skoro przez rok cały często nawet i we śnie jego obraz przed oczy mi

przychodził...

— O wawelskim zamku śniłeś? — krzyknął w osłupieniu Żarek.

— Żebyś wiedział! — w głosie Iwona znów zabrzmiała owa śpiewna nuta, którą niedawno na Rynku wywodził w pieśni. — Patrzysz tu co dnia na Wawel, na Ratusz, na Sukiennice, hejnału z Mariackiej wieży słuchasz i myślisz: co tam!

— Bo i pewnie — przyznał otwarcie Żarek. — Co tam! Ciekawości wielkie!

— Aha, boś blisko! — Iwo już mówił niby zwyczajnie, ale tak jak dorosły do dziecka przemawia, do dziecka, które wprawdzie słucha, ale wiele jeszcze pojąć nie umie. — Byłbyś ty, Żarek, gdzieś daleko w świecie, toby ci się wszystko inaczej wydało. — Przy ostatnich słowach zatoczył rękami krąg wielki, jakby całe

miasto chciał objąć.

Żarek lekko poruszył głową. Nie dla niego było takie bajanie,

12

\

dobrze to może do śpiewek, ale w rozmowie nieciekawie. Niepokoję jakoweś duszne, nie wiedzieć komu potrzebne.

Więc znów wrócił do swego, zaczął naprowadzać przyjaciela na opowiadanie.

— We świecie są pewnie grody piękniejsze niż nasz. Większe. Okrutnie rad bym zobaczyć. I zwyczajnie pewnie tam inne, ludzie odmienne odzienie mają...

Ale Iwo nie chciał opowiadać, za to bez końca wypytywał Żar-ka, co się przez ostatni rok wydarzyło tu, w Krakowie.

— A ty, Żarek, jak ci tam? Dobrze przecie musisz mieć życie.

— Akurat: dobre! W bursie mieszkam jak dawniej, w Akademii nauki biorę.

— Uczonyś — powiedział Iwo łagodnie, ale bez zazdrości.

— Kością w gardle mi ta nauka stanęła! — krzyknął gniewnie Żarek. — Ale macocha w domu widzieć mnie nie chce, przecie wiesz. A ojciec we wszystkim jej posłuszny. To ona umyśliła mnie do Akademii dać, ale... — tu Żarek zaczerpnął tchu w piersi i wyrzucił z siebie: — A ja i tak nie chcę tej Akademii! Postanowiłem już: we świat ruszę, nie będę się uczył!

Iwo nagle z serdeczną radością klepnął Żarka po plecach.

— Tedy do wagantów przystań, razem będziemy wędrować!

— Kiedy... kiedy zdało mi się, że w Krakowie może chcesz ostać — bąknął Żarek całkiem oszołomiony nowym pomysłem. — O tej tęskności tyleżeś rozpowiadał...

Iwo roześmiał się pogodnie.

4

— Gdzie bym tam od wędrówki odstąpił! Za nic w świecie! Żyć bym chyba bez niej nie mógł. Ale że tęskno czasem, że smutno... — zastanowił się chwilę i westchnął przeciągle: — Taka widać, nie inna, nasza dola śpiewacza...

— Jaka tam dola! Ja się smęcić nie będę — zapewnił Żarek. Coraz więcej podobał mu się pomysł Iwona, a już najbardziej to,

że go prędko w czyn będzie można wprowadzić. Więc od razu przystąpił do rzeczy.

— Kiedy wyruszymy, Iwo? A co będę robił z wagantami?

— Pieśni śpiewać umiesz? Gadki ucieszne rozpowiadać?

— Nie bardzo. Pieśni jeno kościelne — zafrasował się Żarek. — A gadki? Gadki umiałbym, jeno o życiu osób świętobliwych.

— No nic — pocieszył go Iwo. — Nauczę cię, co sam umiem. Nie takie to trudne, jak nauki w Akademii — dodał z uśmie-! shem.

Od dłuższego już czasu nie stali w miejscu, ale krok za krokiem okrążali wawelskie wzgórze, aż doszli do Bramy Pobocznej, potem jaś skręcili w ulicę Kanonicza. Wiejący od Wisły wiatr zaczynał

-13-

się wzmagać; nawet mur nie chronił od niego. Chłopcom trudno było mówić, gdy dął tak z szumem i świstem.

Nagle jakieś papiery miecione szerokim podmuchem wpadły im prosto pod nogi.

Żarek schylił się, podniósł je i starannie z kurzu rękawem otarł.

— Daj spokój, co ci po śmiechu? — zawołał Iwo. — Schowajmy się gdzie lepiej, bo nas całkiem wydmucha.

— Kiedy, patrz, zapisane arkusze — zatrzymał go Żarek. — Co też to być może?

Przystanął nie wypuszczając papierów

z ręki.

— Skoroś w czytaniu i pisaniu biegły, to się potem dowiesz — bez zapału powiedział Iwo. Nie ciekawiło go wcale pisanie.

Z Żarkiem natomiast zaczęło dziać się

coś dziwnego.

— Prawdę mówisz — wołał — w pisaniu tom biegły! Żebyś wiedział, jakie kształtne litery stawiam! A z czytaniem te;;

-14-

poradzę. Czekaj, Iwo, czekaj, bo coś mi się wydaje, że okrutnie tu ciekawe rzeczy popisane...

Zaciągnął opierającego się przyjaciela do bramy.

— Słuchajże, Iwo, odczytam ci głośno. O Jezusie! — wykrzyknął z zachwytem.

I już na nic nie zważając jął czytać zdanie po zdaniu, a że tekst był łaciński, więc go po chwili na polski przełożył:

— Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zagrzmiało głośno pieśń ojczystą „Bogurodzicą”, a potem z podniesionymi kopiami pobiegło do bitwy...

— No to... — zaczął Iwo.



— Cichajże! Słuchaj dalej! W tej samej chwili obydwaj wojska z głośnym jak zwykle przed walką okrzykiem zwały się z sobą w nizinie, która je przedzielała... Krzyżacy dwakroć uderzywszy z dział, silnym natarciem na próżno usiłowali przełamać i zmieszać polskie szyki...

— Phi! — gwizdnął przez zęby Iwo. — Uczony ktoś musiał to pisać.

Żarkowi rumieńce na twarz wystąpiły; machnął tylko ręką, żeby mu Iwo nie przerywał.

— ...Było w miejscu spotkania sześć wysokich dębów, na które powłaziło wiele ludzi, czy królewskich, czy krzyżackich, nie wiadomo, a to dla przypatrzenia się z góry... Ja bym też wlaź, żebym jeno był tam wtedy... Iwo! — krzyknął nagle, uderzając się w czoło. — Nie myślisz ty, że to o bitwie pod Grunwaldem mowa? Dziad mi jeszcze dawniej w domu o niej opowiadał...

— Wiem ci ja? Daj już spokój, Żarek, tym arkuszom; rzuć je gdzie i chodźmy się posilić czymś gorącym, bom zmarzł okrutnie.

— Rzucić? — oburzył się Żarek. — Takie pisanie? Z księgi może ono pochodzi.

— Z czyjej księgi?

— Żeby to imię dziejopisa znać — zamyślił się Żarek — odnieśliśmy mu arkusze.

— Może by nam i pieniędzy dał za to — przystanął Iwo. — \ przydałoby się — westchnął — bo mi w żołądku niemożliwie Dusto. I

— I mnie — przyznał Żarek.

— Spróbujmy sprzedać arkusze, może je kto kupi. Księgi ręko-riśmienne w znacznej są cenie.

Żarek jednym ruchem schował pisanie za siebie, oczy mu się ■oziskrzyły jak u kota nocną porą.

— Nie sprzedamy tego, Iwo, nikomu, za nic!

— Tylko co?

-15-

B»

£ą щ&A

JLai 'Aua.xooiA\Z Г\ЛИ

'Ш\*Г ГК ^S \*

— Dziejopisa będziemy szukać. Bez zapłaty mu zwrócimy, by tylko dalej rzecz pisał...

— Cóżes ty? — zdumiał się Iwo. — Cały Kraków trzeba by w tym szukaniu schodzić.

— Nie cały. Kanonicza ulicę wystarczy.

— Na Kanoniczej też dom niejeden stoi.

— Tedy będziemy szukać — z uporem potrząsnął głową Żarek. — Będziemy dziś, jutro, pojutrze...

Iwo roześmiał się i ręką wskazał przed siebie, na palcach się przy tym wspinając niby młody ptak do lotu.

— Pojutrze? Pojutrze w świat ruszymy, miły bracie! Z wagan-tami hen, za bramy Krakowa. I nie wiedzieć, kiedy wrócimy, ani kędy nas droga powiedzie!

Prawdę mówił Iwo: na ulicy Kanoniczej stał dom niejeden. Było ich tu wiele, jednopiętrowych, wzniesionych z kamienia i cegły. Często nad ostrołukową bramą kamienną widniało wyrzeźbione godło: lew, słoń, jaszczur albo i nosorożec.

W jednym z tychże domostw, stojącym tuż obok Bramy Pobocznej, bardzo kłopotał się pan Mateusz, kopista. Był to mężczyzna lat średnich, o zgarbionych plecach, a głowie mocno w przód wysuniętej, przez co przypominał olbrzymiego przyczajonego ptaka. Oczy jego, zazwyczaj wnikliwe, o ostrym Wejrzeniu, dziś latały niespokojnie po wszystkich znajdujących się w izbie przedmiotach, nie omijając nawet i niskiego belkowego stropu. Ręce przy tym załamywał, coś sam do siebie pomrukując, póki się nie rozkrzyczał na całe domostwo:

— O wszyscy Święci Pańscy! Gdzie się to podziać mogło? Na stole pod oknem ułożyłem wczoraj w największym porządku i gdzieś zniknęło. Szatan, ani chybi, w to się wmieszał. Agnieszko,

Agnieszkooo!

Agnieszka, gruba, pulchna, z twarzą niby księżyc w pełni świecąca i okrągła, nadbiegła w te pędy, postukując głośnie chodakami.

— Wołaliście mnie, Mateuszu? Co się tu dzieje? A zydle po cóżeście poprzesławiali? Wino wam rozum pomieszało czy co, żeście takiego nieporządku w komnacie narobili, kiedy właśnie kanonik ma z podróży wrócić?

Przyskoczywszy do niej Mateusz chciał szybko wszystko wytłumaczyć, ale ze zdenerwowania język mu się plątał i niezbyt składnie to wypadło.

— Możecie wy, Agnieszko, je wzięli? Bo zginęły! Wczoraj skończyłem przepisywanie, i nie ma! Nie ma, nie ma! — powtarza]

łapiąc się za głowę. — Rozum mi się miesza, tylko że nie z wina, ale z frasunku wielkiego. Kanonik dobrodziej przyjedzie, zapyta, a ja...

— Czego nie ma? Po ludzku rzeknijcie, co wam zaginęło?

— Bitwa pod Grunwaldem zginęła, pojmujecie teraz?! — wrzasnął Mateusz, wlepiając wzrok w dobrą twarz Agnieszki, jakby w oczekiwaniu, że na tę wiadomość niewiasta zapadnie się pod ziemię.

Ale Agnieszka nie miała zamiaru zapadać się pod ziemię, wytrzeszczyła tylko oczy, cofnęła się parę kroków do tyłu, wreszcie przeżegnała się szerokim ruchem:

— W imię Ojca i Syna... Czyście wy aby nie chorzy, Mateuszu?

Przeraziła się nie na żarty, że może kto na Mateusza urok rzucił, przywodząc go w taki sposób do choroby: człek był przecież zazwyczaj spokojny i cichy, nigdy głosu nawet nie podniósł. A dziś...

Szybkie myśli przelatowały przez głowę Agnieszki, jak by tu leczyć Mateuszową chorobę: może kość z uda żaby wyjąć, do głowy mu przykładać; może oko jaskótcze o północy do pościeli podłożyć?

Mateuszowi jednak wydało się, że Agnieszka nic a nic się nie przejmuje jego nieszczęściem, że stoi tylko bezmyślnie, nie próbując mu pomóc ani go nawet pocieszyć. Więc powtórzył raz jeszcze, głosem nieco cichszym i pełnym żalu:

— Bitwa pod Grunwaldem, co ją mistrz Długosz w swych „Dziejach Polski” opisywał. Przykazał wyjeżdżając, żebym kopiowanie skończył, zanim wrócę; skończyłem i... i... Święci Pańscy! gdzieś mi arkusze zginęły! — ostatnie zdanie znów zawrzeszczał nieswoim głosem.

Teraz Agnieszka pojęła, o co nieszczęsnemu chodzi, i aż trzepnęła tłustymi rękami o fartuch, którym była opasana.

— Ale z was niedojda, by takiej rzeczy nie upilnować! Po chwili zaś dodała:

— Wiecznie z tymi księgami! Nieszczęście jakie przywiodą one w końcu.

Mateusz mimo zmartwienia nie mógł słuchać podobnych słów, toteż zaprotestował, wprowadzie bez gniewu, ale godnie i z naciskiem:

— Nie gadalibyście po próżnicy, Agnieszko. Wiecie to chyba, lat tyle gospodarząc w tym domu, że mistrz Długosz nie cierpi, gdy kto źle o księgach mówi. Dla niego słowo pisane — rzecz święta. A już kroniki najważniejsze! Gdzieżby — powiada — mógł „Dzieje Polski” njsać. jakby kronik różnych, naszych i obcych, nie po-równałyd\$^iN\$\*tj^ażył, co prawdziwe w nich, a co zmyśłone...

! — Prz;

Agnieszka niewiele z tego wszystkiego rozumiała; wzruszyła tylko ramionami i nie odzywając się wysła z izby. Za drzwiami dopiero nos sobie głośno obtarła, głową z żalem pokiwała parę razy.

— Ani chybi, przepędzi kanonik Mateusza. Bo i na co mu taki kopista, co pisanie gubi?

Sama niby przyznawała, że w istocie kopista taki do niczego nieprzydatny, ale... wciąż jej na pamięć powracał wzrok Mateusza skierowany na księgi — speszony, pełen żalości wielkiej, jakby przy rozstaniu z kimś najbliższym.

Pojazd kołysał się i podskakiwał na drodze, która przez jedną mroźną noc stwardniała na kamień. Gdy koła trafiały na zamrożone kałuże, lód łamał się z szklartym, ostrym dźwiękiem. Długa, bo ciągnąca się aż z Sandomierza podróż, utrudziła mocno Długosza. Otulony szczelnie ciepłą szubą, próbował zasypiać, lecz ciągle podskakiwanie pojazdu przerywało drzemkę. Krótkie marzenia senne przelatywały przez głowę jak zamglone, niewyraźne obrazki, wciąż rwące się i znikające przy nagłych przebudzeniach.

Właściwie ciągle jeszcze miał w myślach nowy dom, z własnych funduszków budowany w Sandomierzu, i ów widok z wysoka, ze wzgórza, na którym całe miasto leżało. Szara Wisła w obramieniu rosnących na brzegach wiklin przepływała poniżej i znikwała w niespodziewanym zakręcie za widocznymi w oddali wzgórzami. Patrząc na rzekę Długosz zawsze myślał sobie: „Aże spod Krakowa tu płynie...” I myśl ta zdawała się jeszcze bardziej przydawać uroku wiślanym wodom, płynącym przez żyzną, lessową Wyżynę Sandomierską.

78

V

Dobrze, że powraca teraz do swego miasta, do Krakowa. Czekają go tam tysiące spraw, a już najbardziej — ta pilna robota, do której śpieszył z niecierpliwością i utęsknieniem: dzieje Polski, rozpoczęte jeszcze przed laty, w 1455 roku. Wydarzeń historii kraju ojczystego było niemało i chociaż wiele z nich już spisał, wciąż mu się wydawało, że warto byłoby jakiś nemy szczegół przydać.

„Drugiego kopistę trzeba wziąć, by ze wszystkim nadażyć” — • postanowił.

Ziąb przeniknął go przez szubę aż do kości. Kanonik wstrząsnął się i podciągnął wyżej niedźwiedzią skórę, którą miał nogi przykryte.

Pojazd zachybotał gwałtownie, natrafiając widać kołami w dziurę na drodze, i skręcił w lewo. Potem zaś pomknął drogą prostą, otwartą, z końca której rysowały się łagodne, kopulaste, pokryte ciemnym borem — Góry Świętokrzyskie.

Zbliżały się one coraz bardziej, wreszcie stały się zupełnie bliskie, a przez to znacznie wyższe i bardziej nieprzebyte. A jednak kanonik dotrzeć miał niemal do samego ich serca, wydostać się na szczyt aż do samotnego klasztoru benedyktyńców, wzniesionego nie wiedzieć nawet jak dawno.

Owa Łysa Góra, na której klasztor pobudowano, była dziś lekko zamglona... „Śniegiem pewnie już tam miecie” — na samą myśl o tym dreszcz przejął Długosza. Suchy był, kościsty, może i dlatego tak go zaraz wszelkie zimno niemiło chwyciło. A tu jeszcze ostatnią część drogi piechotą przejść wypada, bo pojazdem pod samą górę nie zdołasz wjechać.

Nie z własnej ochoty Długosz zbaczał z traktu. Robił to na polecenie samego króla Kazimierza, który od lat otaczał klasztor szczególną opieką, być może przez pamięć swego ojca, czyniącego kiedyś to samo. Król nie omijał żadnej sposobności, by dowiedzieć się o potrzebach przebywających w puszczy ojców benedyktynów.

Nie z własnej ochoty, ale też i bez niechęci, a raczej nawet z ciekawością dążył Długosz ku Łysej Górze. Nie potrzeby klasztoru .go jednak ciekawiły, lecz zupełnie co innego.

Pozostawiwszy pojazd ruszył w drogę pieszo, samowtór z pacholikiem. Szedł wśród zrudziałych mchów, jak poduchy uginających się pod stopami, między ogromnymi drzewami o ciemnej stalowej korze, pokrytej srebrnymi porostami. Górą, w koronach jodeł, niósł się poszum silny i głęboki niby dźwięk organów.

Niebawem wyszedł Długosz na stromą drogę, nie osłoniętą drzewami, która nie byłaby trudna ani męcząca, gdyby ją przebyć konno.

„Pielgrzymuję — pomyślał, przystając na chwilę, żeby uspokoić zbyt gwałtownie bijące serce. — Wszak wejście piesze do klasztoru równe jest pielgrzymce”.

Ruszył dalej, lecz zanim jeszcze zaczął odmawianie odpowiednich dla tej chwili modlitw, przyszło mu na myśl, że przed laty kto inny także szedł tą samą drogą jako pielgrzym: król Władysław ■ Jagiełło — mianowicie przed bitwą grunwaldzką.

„Ile to lat minęło? — zastanowił się Długosz. — Był wtedy rok 1410, a więc przeszło sześćdziesiąt lat upłynęło od tych czasów...” Szedł- wciąż naprzód, lecz coraz trudniej było mu pokonywać strome zbocze.

-20-

„Sześćdziesiąt lat...” — pomyślał znowu.

Nie znał Jagiełły, za to często przebywał z synem jego, obecnym królem, Kazimierzem. Jeszcze częściej — z Jagiełłowymi wnukami.

Rozmyślenia te przerwał głos dzwonu dochodzący z niezbyt daleka. Brzmiał trochę matowo, lecz wyraźnie i lekko. Długosz odetchnął z ulgą, poznawszy, że wkrótce przybędzie do celu. I rzeczywiście, w niedługi czas potem także inne głosy ozwały się we mgle, już zupełnie blisko, a że były to głosy ludzkie, więc Długosz zawołał:

— Do opata mnie wiedźcie, z rozkazu Najjaśniejszego Pana przybywam.

Opat witał gościa godnie, a dowiedziawszy się jego imienia, aż ręce złożył i głowę nisko pochylił.

— Któż by nie znał was, panie, i waszego imienia? W całym kraju wiadomo, że Pan Najjaśniejszy w wasze ręce złożył wychowanie synów swoich. Z ufnością tedy w przyszłość patrzeć możemy, skoro wy to czuwacie nad umysłu rozwojem i przymiotami serc przyszyłych królów polskich.

Lekki grymas przebiegł przez twarz kanonika, bo nie lubił słów pochwalnych, ale szybko wargi dłonią przygładził, ażeby opat zauważyć ich skrzywienia nie zdołał i za niezyczliwość nie poczytał.

Przystąpił więc od razu do omawiania spraw powierzonych przez króla; zdania rzucał krótkie, rzeczowe, nie wdając się w zbędne rozmowy, jakby mu spieszno było całą rzecz szybko wyłożyć.. Rozpogodził się też dopiero, gdy skończyli. Łyknął grzanego wina, którym go opat raczył, by resztę chłodu z ciała odegnać, i powiedział wreszcie to, o czym jadąc tu najwięcej myślał:

— Rad bym wielce skryptorium klasztorne obejrzeć, wielebny ojcze.

— Rad bym wielce je wam pokazać — skłonił się opat i cień: dumy przemknął mu po twarzy.

Poszli więc korytarzami o wysokich sklepieniach, ledwie rozjaśnionymi przez małe okienka. Echo powtarzało kroki idących i tak; je zwielokrotniało, że mogło się wydawać, iż nie dwóch, lecz dziesiątki czy setki ludzi kroczą wśród cel klasztornych.

— Oto skryptorium — rzekł opat. Otworzył ciężkie drzwi i wprowadził gościa do obszernej sali. — Bracia piszący zdziwią się, gdy was ujrzą, bo prócz mnie i bibliotekarza nikomu tu wchodzić nie wolno...

Jeśli widok nieznanego, stojącego u wejścia i obejmującego

-21-

skryptorium niemal modlitewnym wzrokiem, istotnie wprawił niektórych braci w zdumienie, to jednak nie zdradzili tego najmniejszym gestem.

Mnich znajdujący się najbliżej nawet głowy nie podniósł, tak był zajęty przygotowywaniem arkuszy do przepisywania: cyrklem nakłubał odstępy wierszy, a następnie lekko liniował według tych nakłuć. Tak przygotowane arkusze leżały na pulpitych przed kopistami, którzy w zaznaczone linie wpisywali czarnym inkaustem

kształtne litery.

Długosz zbliżył się do jednego z kopistów i zajrzał mu przez ramię: mnich miał przed sobą rozłożoną księgę i przepisując ją, ciągle spoglądał do tekstu, jakby mu wciąż za mało było sprawdzania, czy aby nie opuścił jakiejś litery, czy któregoś słowa nie zmienił; grzech by to bowiem był wielki.

Wśród ciszy takiej, że nawet lekkie skrzywienie piór wydawało się zbyt głośne, zadźwięczał nagle dzwon i echo jego poniosło się między klasztorne mury. Kanonik oczekiwał, że kopiści przerwą pracę i udadzą się na nabożeństwo, ale żaden z nich nawet się nie

iroszył.

— Dozwolone to jest — spytał opata najcichszym szeptem —

-22-

by bracia pracujący w skryptorium mogli nie wziąć udziału w modlitwie?

Opat uśmiechnął się i już nie szeptem, ale głosem pełnym, po całej sali niosącym się, odparł:

— Wierne ksiąg kopiowanie, wasza wielebność, uznajemy za równie, jako modlitwa, ważne.

Kilku przepisujących mnichów podniosło oczy na przybyłych i obrzuciwszy ich krótkim spojrzeniem, znów pogrążyło się w pracy.

Nagle Długosz zbliżył się szybko do jednego z pulpitych i rękę wyciągnął, jakby zagarnąć chciał arkusz, szybko jednak się cofnął. Oczy mu tylko rozbłyły.

— Inicjał — wyszeptał — cóż za inicjał!

I wpatrzył się w pierwszą literę, od której się strona zaczynała — większą od innych, czerwienią i złotem bogato przyozdobioną. Niby klejnot najmisterniej wyczelowany jarzyła się na papierze.

— Pięknie kopiowane dzieła bogacić będą klasztorną bibliotekę waszą, ojczy — pokiwał głową.

— I piękne, i cenne — uzupełnił opat. — Pół wsi taka księga będzie warta, a może i więcej.

W ciszy opuścili skryptorium, ale Długosz wychodząc raz i drugi obejrzał się za siebie; nierad rozstawał się z tym miejscem. A gdy szedł znów długim, pełnym załomów korytarzem, sam nie wiedząc, jak się to stało i dlaczego, zwierzył opatowi, że dzieje Polski pisze.

— ...nie ukończone przecie — dodał.

— Skoro ukończycie, nam je dajcie, panie, jak najrychlej do skopiowania, by niejeden człowiek z nich wiedzę o swoim kraju mógł czerpać.

„Dwa egzemplarze «Dziejów Polski»! Jeszcze do tynieckiego klasztoru gdyby dać do kopiowania — byłby trzeci. Nie tak pięknie skopiują jak tu, to prawda, ale treść przecież wartość swą zachowa. Więc aż trzy egzemplarze w Polsce by się znalazły...”

Na twarz kanonika wystąpiły rumieńce, gdy o tym myślał. Trzy — to przecież niemało!

— Kiedy ukończycie? — nalegał opat. Długosz zafrasował się.

— Jak by rzec... Toż do zgonu wieść to pisanie moje zamierzam, do chwili żywota ostatniej...

Ogarnął go nagły smutek, gdy uświadomił sobie, że przecież nie zobaczy nigdy swoich ksiąg-skopiowanych w trzech egzemplarzach. Szybko zmienił temat rozmowy.

-23-

— Bibliotekę też dozwolicie zobaczyć?

— Jakżeby nie!, — aż zdziwił się pytaniem opat. — Ostatnio parę pięknych darów otrzymaliśmy. O, tylko wielce zamożni dostojni ludzie mogą taką rzecz ofiarować jak księga. Czego się jednak nie robi dla zbawienia duszy? Ofiarodawcy obowiązek nałożyli na nas, byśmy modły za nich odprawiali.

Długosz skinął głową; rozmowa z opatem zaczynała go nieco nużyć. Nie był to przecież pierwszy klasztor, który zwiedzał, i nie było potrzeby tak dokładnie mu wszystkiego tłumaczyć. Ale bibliotekę chciał zobaczyć.

— Te dary... z zagranicy zapewne?

— Jedna księga w Bolonii kopiowana, druga zaś w Sorbonie paryskiej — opat znów nie potrafił ukryć dumy, co ostatecznie rozbroiło Długosza.

„Książka... — pomyślał. — W jakiejże cenie nasze wieki ją mają! Najwspanialsze klejnoty do niej nie mogą być przyrównane”.

— Tu jest biblioteka klasztorna? — spytał, widząc że się opat przed jakimiś drzwiami zatrzymał.

Znaleźli się w lektorium; mieściło się ono w sali obszernej, chłodnej, surowej w swojej prawdzie i ciszy.

Nie oglądając się na opata, szedł Długosz powolnym krokiem między drewnianymi, pięknie rzeźbionymi pulpitemi. Odgłos jego kroków odbijał się echem od wysokiego sklepienia i tłukł się między murami — ostry i nieprzyjemny.

Nikogo tu dziś nie było. Wprawdzie biblioteki klasztorne zawsze stały otworem dla uczonych i ludzi szukających wiedzy, lecz nie znajdowało się ich w kraju tak wielu.

Długosz siadł przy pulpicie, na którym z boku leżała szczególnie piękna księga.

-24-

Kanonik obiema rękami przesunął ją na środek pulpitu: była ciężka, masywna, cudownie oprawiona w skórę, tłoczona złotem. Na pierwszej zaraz stronie napisane było groźne ostrzeżenie, które drogę do nieba zamykało: „Ktokolwiek poważyłby się zabrać tę księgę, będzie wyklęty!” Można być pewnym, że nikt się nie ośmieli narazić na wieczną zgubę, a gdyby nawet znalazł się taki zuchwalec, nie przerwałby grubego łańcucha, którym księgę przymocowano do pulpitu.

Długosz odwrócił kartę... Już wiedział, że do wieczora stąd się nie ruszy, do późnej nocy. Przez chwilę pożałował nawet, że jutro o świtaniu będzie musiał klasztor opuścić.

Kiedy pogodnym rankiem następnego dnia opat drzwi otworzył, by przed klasztor gościa wyprowadzić, rozpostarł się przed nimi widok szeroki i chłodne powietrze uderzyło w twarz. Głęboki szum jodeł wtargnął w klasztorne mury i rozszedł się coraz słabszym pomrukiem po korytarzach, a gdy najcichsze jego echa umilkły, opat powiedział głosem bardzo spokojnym:



— Kiedykolwiek księgi wasze do nas zawitają, z czcią im należną zajmiemy się pracą nad kopiowaniem...

-25-

/

a szedł kanonik do czekającego nań po-

a o wiele krótsza, może dlatego,

tego własnych myśli — sam tego do-

woźnicę, aby, ile się da, konie

vi? җi?c&7ec Jrsećźr sea g& £>j?jc Ъ którego wraca/, ale o /njjjan, noctZicief-

orczyńie, gdzie jako mały chłopiec cho-f^d w wielkiej izbie przy trzaskaniu

chał wspominków ojca z tych •ze wówczas i krzepki, walczył

anie pacholika:

•, wysiadł i rozejrzał się wokoło,

/f

Z dziwnie lekkim sercem szedł kanonik do czekającego nań pojazdu i droga mu się dziś wydała o wiele krótsza, może dlatego, że szedł w dół, a może i dla jego własnych myśli — sam tego dobrze nie wiedział.

Wsiadłszy do pojazdu, ponaglał woźnicę, aby, ile się da, konie popędzał, tak mu się do domu śpieszyło.

Puszcza Świętokrzyska, jodłowa puszcza, znikła gdzieś w tyle; nie oglądał się na góry, lecz siedział zadumany, przymknąwszy oczy.

W mjaślach był już przy swojej robocie, już ją układał, poprawiał, dodawał nowe zapiski, aż nie wiedzieć kiedy sen go opadł. Śnił jednak nie o domu, do którego wracał, ale o innym, rodzicielskim, w Nowym Mieście Korczynie, gdzie jako mały chłopiec chodził do szkoły i gdzie wieczorami w wielkiej izbie przy trzaskaniu drewna palących się w kominie słuchał wspominków ojca z tych -czasów, gdy rodzic, młody jeszcze wówczas i krzepki, walczył z Krzyżakami pod Grunwaldem.

Zbudziło go dopiero wołanie pacholika:

— A oto i ziemia krakowska! ,

Wtedy pojazd kazał zatrzymać, wysiadł i rozejrzał się wokoło, •opierając dłoń o rosnące w pobliżu drzewo.

I aż sam się sobie zadziwił, że z wszystkich ziem ojczystych ta właśnie, krakowska, najprzedniejsza mu się przecież zdała i niebo rozciągnięte nad nią łagodniejsze, sercu najbardziej bliskie...

Mateusz raz po raz otwierał wąskie okno i wyglądał nasłuchując, czy nie rozlegnie się turkot Długoszowego pojazdu; wiatr nie przynosił jednak żadnego wyraźniejszego odgłosu. Ulica Kanonicza była spokojna, tylko od strony widniejących na wprost okna zabudowań zamkowych na wawelskim wzgórzu dochodził niewyraźny gwar.

Mateusz spojrzawszy na wzgórze i jeszcze smętniej zrobiło mu się na duszy: ani chybi — mistrz go z pracy wydali, a on i dnia nie potrafił sobie wyobrazić bez tego widoku za oknem, bez znanych sprzętów w Długoszewej izbie, bez ksiąg i rękopisów. Jednakże przyjdzie mu to utracić. A jak tu żyć bez tego wszystkiego?

Zrazu daleki, potem coraz bardziej wyraźny, odezwał się turkot pojazdu i tętent koni. Mateusz zamknął okno, odwrócił się ku drzwiom — wyprostowany i blady niczym papier.

Turkot raptownie ucichł przed bramą i wnet odezwał się głos Agnieszki, wesoły, ale i pełen szacunku zarazem: • — Bramę na ścieżaj otwierać, mistrza, naszego pana i dobrodzieja, witać!

-26-

A za chwilę:

— Witajcie, panie, w domostwie swoim!

„Powiem od razu wszystko, jako się stało” — postanowił desperacko Mateusz. Chciał wyjść na schody witać Długosza, lecz kolana mu się trzęsły gwałtownie i taką słabość poczuł w całym ciele, że stał dalej w tym samym miejscu, nie zrobiwszy ani jednego kroku.

Tak więc Długosz pierwszy się odezwał:

— Witajcie, mili!

„Nie powiem za nic, póki sam nie zapyta” — przeleciała myśl błyskawiczna przez głowę kopisty. Postąpił kilka kroków, pokłonił się nisko do nóg Długoszewi.

— Witajcie, panie! Ja... bo właśnie... Witajcie! Radziśmy wielce, wielce radzi, że... — bełkotał prawie bez związku.

■— ...że co? — podjął kanonik.

Agnieszka stojąc za plecami Długosza szybko dokończyła:

— Żeście powrócili do nas z Sandomierza. Mateusz ciągiem was wypatrywał, chociaż kopiowania miał wiele...

— Agnieszko! — usiłował przerwać Mateusz, w śmiertelnej obawie, że niewiasta wszystko wygada.

Agnieszka zaś, uniósłszy lekko brwi ku górze, dokończyła:

— ...i słabuje wielce.

— A tak? — zatroskał się Długosz. — Toć widzę, że coś niedobrego z tobą się dzieć musi, bo wyglądasz nietęgo.

Mateusz wyglądał nie tylko „nietęgo”, ale wręcz robił wrażenie ciężko chorego; nie spuszczał ze swego mistrza strwożonego wzroku, ramiona skupił, jakby go nagle zimno chwyciło, tylko ręce starał się utrzymać w spokoju, gdyż trudno mu było opanować ich drżenie.

— Siądźże — łagodnie rzekł Długosz, sam również siedząc w fotelu z wysokim oparciem.

Mateusz przysiadł na trójnożnym stołku. Niby we śnie słyszał, jak Długosz z nagłym ożywieniem opowiadał o swych nowych myślach, które mu podczas podróży zaświtały i które koniecznie spisać trzeba.

— Jeszcze spocznijcie, mistrzu, jeszcze do pracy się nie śpieszcie. Dopiero co wróciliście przecie — szybko wtrącił kopista.

Kanonik roześmiał się z pobłażaniem.

— Co też ty bajesz, Mateuszu? — powiedział. — Jakże do pracy nie mam śpieszyć, do dziejów Polski pisania? Wciąż ja w drodze o tym rozmyślałem i chcę jeszcze słów kilkoro dorzucić do opisu bitwy pod Grunwal...

Nie dokończył, bo Mateusz poderwał się ze swego trójnoga jak nożem dźgnięty.

-27-

— Głodniście, mistrzu, niechybnie po takiej długiej podróży. Pani Agnieszka całkiem o posiłku dla was zapomniała!

Agnieszka, która talerze cynowe z kredensowej szafy właśnie wyjmowała, mało co na ziemię ich nie upuściła.

— Blekotu się najadł ten człowiek! — zakrzyczała rozgniewana. — Niech wpierw skonam, jeśli zapomniła o posiłku dla naszego dobrodzieja! Pólgęsek gotowy, podać już go można.

Długosz wcale się nie uradował tak smakowitym posiłkiem. Agnieszka zresztą przywykła już do tego, że smakoszem nie był, a nawet za rzecz nieprzystojną poczytywał, gdy kto wagę większą do jedzenia przykładął, niżby należało. Teraz też ręką tylko machnął, bardzo nierad, że mu takimi sprawami wątek myśli przerwano.

— Dobrze, dobrze, Agnieszko, jeno żeśmy tu nie o pólguśku, ale o dziejach kraju naszego rozprawiali.

Niewiasta umilkła, by na gorszą przyganę nie zasłużyć, Mateusz zaś ciągle mając na myśli swoją przewinę znów usiłował w inną stronę myśli skierować.

— Nie szkodzi, nie szkodzi... Odpocznijcie krzynkę, panie... Przerwał, bo Długosz oczy ku niemu zwrócił, a wzrokiem patrzył

takim, jakby nie tylko twarz i całą postać Mateuszową widział, ale i to także, co się w sercu jego i myślach kryło. Tedy kopista nie zdzierzył dłużej.

— Panie — krzyknął, wznosząc w górę obie ręce. — Szkoda wielka się stała...

— Szkoda? Jaka szkoda, Mateuszu?

Ale Mateuszowi w ostatniej chwili zabrakło odwagi: rozejrzał się bezradnie po izbie, wzrokiem powiódł po skrzyni w kącie stojącej, po stole, po ścianach drewnem wykładanych, po półkach, na których stały lichtarze srebrne, dzbany metalowe, szklane naczynia, wzrok zatrzymał na księgach...

— Jaka szkoda, Mateuszu? — powiedział Długosz.

— ...szkoda — cicho rzekł Mateusz — że nie dopisane są uwagi, coście je w drodze umyślili dodać.

— Nic wielkiego — wzruszył lekko ramionami kanonik. — Nie podobało mu się dzisiejsze zachowanie kopisty. — Nic wielkiego. Weź jeno arkusze, to ci zaraz podyktuję, co masz dopisać.

— Odpocznijcie, zdrowie chrońcie — błagalnie wyrzekł Mateusz, chcąc bodaj jeszcze na krótką chwilę odwlec to, co się stać miało.

Ale Długosz rzekł z niespodziewaną stanowczością:

— Od pracy nad dziejami Polski mnie nie odciągaj, bo na co tylko siły moje zdobyć się mogą, to właśnie w dziele niniejszym staram się obrócić ku sławie drogiej ojczyzny. Podaj skopiowane

-28-

arkusze, Mateuszu. Jeszcze w paru miejscach dopiszemy, co mi w podróży na myśl przyszło.

Nie było innej rady: kopista padł na kolana, obiema rękami obejmując Długoszowe nogi.

— Mistrzu, nie wypędzajcie mnie!

— Tyś naprawdę chory, Mateuszu! — zawołał Długosz, troskliwie podnosząc go z klęczek. — Jakże miałbym cię wypędzić, skoro tak pięknie księgę moją piszesz? Jeszczem umyślił drugiego kopistę znaleźć, by dwóch was było i by robota szła różnie. Gorączka cię chyba chwyciła i w nieprzytomności mówisz...

W tej chwili rozległo się mocne kołatanie do bramy. Mateusz rzucił się ku schodom, ale już Agnieszka go wyprzedziła.

— A otwieram, otwieram — słyhać było jej głos. — Pewnikiem z zamku wysłaniec od synów królewskich. Łaska Pańska niech czuwa nad nimi... Tfu! A to co znowu? Po żebraniu chodźcie? Żacy jakowiś! — krzyknęła ku Mateuszowi.

Widać jednak niełatwa była z młodymi sprawa: nie dali się odpędzić i jeden przez drugiego nalegał — początkowo prosząc, później zaczepnie.

- Nie zamykajcie, pani. Mów, Iwo, po cośmy przyszli.
- My nie po żadnej zebraniu, rzecz wielce cenną niesiemy.
- Jeszcze, jako żyję na świecie, tacy jak wy nic cennego nikomu nie przynieśli — gniewnie burknęła Agnieszka.
- A myśmy przynieśli! — triumfująco krzyknął młody głos. — Jeno że nie dla was, ale dla waszego pana.
- To pewno nie wiecie, do czyjego domu was przywiódło! — godnie odparła Agnieszka. — Zabierajcie się stąd, pókim dobra — zniecierpliwiła się w końcu.
- Eeee, zabierajcie się! — przedrzeźnił ją jeden z chłopców. — roż całą Kanonicza od rana oblatywaliśmy, każdego, kto żyw tu nieszka, pytaliśmy, czyje też to pisanie być może...
- Rzekli nam, że tylko pana waszego, kanonika Jana Długosza — dopowiedział drugi żak, z wielkim nabożeństwem wymawiając to imię.

Zanim się Agnieszka spostrzegła, dwie drobne postacie dały po-ężnego nura ^przemknąwszy obok niej, tupotały już na schodach, :o tchu pędząc ku Długoszowej izbie.

- Uff! — odsapnęli znalazłszy się przed zdumionym Mate-izmem.

A gdy ten z kolei chciał ich zatrzymać, krzyknęli razem:

- Puśćcie nas, panie! Z przewielebnym kanonikiem Długoszem nówić chcemy. Rękopis znaleziony oddać...

-29-

- Rety! — zawrzeszczał nieprzytomnie kopista. ■ ■ Wszyscy Święci Pańscy! O jakim rękopisie gadacie?
- O jakim? — ruszył ramionami Iwo. — A o tej bitwie, co to wam zginać musiała, i...

Mateusz obie ręce ku chłopcom wyciągnął.

- Święci Pańscy! Dajcie mi te arkusze. Iwo parsknął śmiechem.
- My tam nie żadni święci. On, Żarkiem go zwą, scholar, a ja wagant. Nie wiecie to, że wagantom do świętości daleko?

Ale Mateuszowi było nie do śmiechu; krzyknął rozpaczliwie:

- Gdzie? Gdzie macie rękopis?

Agnieszka, która wreszcie bramę zamknęła i sapiąc głośno nadeszła, spróbowała w inny sposób.

- Dajcie, dziatkowie — prosiła stodziutko. \*— Młodziankowie mili, dajcie to pisanie. Zupy wam uwarzę, chleba podjecie... tylko dajcie.

— Nie damy — twardo rzekł Żarek, chowając rękopis za siebie. — Wam nie damy i nie próbujcie wydzierać nam z rąk — zwrócił się do Mateusza. Zbliżył się niepewnie, drobnym krokiem do Długosza.

— Gdzieżeś zgubił, Mateuszu, skopiowane arkusze? — ostro zapytał Długosz.

Zanim kopista zdążył odpowiedzieć, Iwo szybko rzecz wyjaśnił:

— Nie zgubił, jeno wiatr pewnikiem zwiął je przez okno, bo dęło wczoraj okrutnie. I niczyja to wina, jeno wiatru, że się papiery na ulicy znalazły.

— Aleśmy je podnieśli! — radośnie wtrącił Żarek. — I przynosimy wam, panie, oną bitwę pod Grunwaldem w wasze ręce składamy, byście dalej pisali — mówił żarliwie, podając w wyciągniętych dłoniach papiery Długoszowi.

Ten przyjrzał się chłopcom bacznie i ręką wskazał, by szli za nim do izby. Iwo kroczył swobodnie, lekko, jakby to nie nowina była dla niego znaleźć się w domu kanonika.

Żarek czuł się niepewnie, bo stropiony był bardzo, a serce mu łomotało w piersi jak na alarm. Nie siadał też, mimo że Długosz zezwolił, gdyż jakoś nie śmiał: miałby raczej ochotę uklęknąć przed dziejopisem.

»

— Widać naukę miłujecie silnie — rzekł tenże. Patrzył na nich, patrzył i nagle własne dzieciństwo żywo mu w pamięci stanęło. — Wiem ja ci, co to jest, bo sam za mych młodych lat, gdym jeszcze do szkoły uczęszczał w Nowym Mieście Korczynie, każdego ranka płaczem strażnika nagliłem, by mi co rychlej bramy rodzicielskiego domostwa otwierał....

-30-

Żarek wlepił w Długosza wzrok pełen niedowierzania.

— Tak do nauki śpieszyliście się, panie?

— A gdzieżby? Do nauki, do ksiąg czytania. Ale tobie znajome to wszystko być musi, skoro scholarem jesteś.

— Scholarem on już nie jest, do wagantów przystał. W świat dziś razem ruszamy... — wtrącił szybko Iwo.

Ogarnął go nagle niepokój, że od tych słów Długoszowych Żarek odmienił zamiar i nie zechce już iść na wędrowną.

Długosz powoli głowę ku Żarkowi odwrócił i rzekł głosem surowym:

— Jakże to? Akademię porzucasz? A rodzic twój jakoż na to-patrzy?

•

— Do rodziców nie wrócę! — sucho powiedział Żarek.

— Do matki? — jęknęła Agnieszka. — Toż zapłacze się nieboga, gdy do wagantów przystaniesz.

— Macocha się nie zapłacze — tym samym tonem rzekł chłopiec.

Iwo wyprostował się i oczy mu z lekka zabłyśły: nie, niepotrzebnie się obawiał, że Żarek może się rozmyślić. Widać mocno stoi przy swoim, zamiaru już nie odmieni.

Przez twarz Długosza cień jakiś przemknął, a spojrzenie dziwnie złagodniało.

— Macocha... — aż westchnął na to przypomnienie. — I ja ci ją miałem. Nie lubiła mnie ona i niejedną ciężką chwilę z jej przyczyn przeżyłem... — mówił raczej sam do siebie aniżeli do Żarka — ...w księgach pocieszenia szukałem — dokończył w zamyśleniu.

Żarek podniósł głowę i z wielkim skupieniem wpatrzył się w Długosza.

— Znaleźliście je, panie? — zapytał szeptem.

— Znalazłem — Długosz wciąż jakby sam ze sobą rozmawiał, tylko że nie z tym dorosłym sławnym kanonikiem, ale z tamtym nie znanym jeszcze nikomu chłopczykiem z Nowego Miasta Korczyna. — Znalazłem — powtórzył dobitnie. — Chociaż gdy mając lat czternaście studia zaczynałem w naszej Akademii, także mi się ta nauka wielce ciekawa nie zdawała.

— Czemuście nie uciekli, panie, z onej Akademii? — zdumiał się Iwo.

Sam tak przed rokiem przecież uczynił i dobre mu się to zdało. Ale Długosz głową pokręcił i nie patrząc na Iwona, tylko wciąż na Żarka, rzekł:

— Przemogłem się, widzisz. Wiele ksiąg pilnie czytałem, wiedzę w nich zawartą przyswajałem sobie, jak mogłem... Dzięki temu to najpewniej pisanie mi teraz składnie idzie.

-31-

— Oj, pięknie wy piszecie, panie! — Żarek aż ręce złożył z uwielbieniem. — Sam nie wiem, czemu mi to pisanie wasze tak

do serca przypadło.

— Ja wiem za to — łagodnie uśmiechnął się Długosz. — Przez czytanie bowiem dziejów, cudzą pracą skreślonych, przychodzimy do poznania najpiękniejszych rzeczy, możemy w krótkiej chwili obeznać się ze sprawami długich wieków, z najskrytszymi tajemnicami i złymi również czynami rozmaitych ludzi... Któż przeto byłby tak nierozumnym, żeby nie chciał garnąć się do nabycia

takich wiadomości?

Żarkiem jakby dreszcz wstrząsnął.

— Powiadacie, panie, takie one piękne owe sprawy długich

wieków?

Jakiś nowy ton zadźwięczał w głosie chłopca.

— ...że się garnąć do nich potrzeba? — powtórzył usłyszane przed chwilą słowa. Miał zamiar jeszcze o coś pytać, właśnie wargi

rozchylał...

W tejże chwili jednak Iwo wysunął się przed Żarka, zasłonił go ■całym sobą, jakby chciał bronić nie tylko przed Długoszowymi słowami, lecz nawet i przed przenikliwym spojrzeniem kanonika.

— Opuśczone miasto, panie! — zawołał. — Razem z Żarkiem. Razem z wagantami. Gdy hejnał mariacki w południe grać będzie, zbierzemy się wszyscy na Rynku, by dalej w drogę wyruszyć.

Żarek przetarł dłonią czoło, niby ze snu zbudzony. Kononik pokręcił głową.

— Widzi mi się, że z nielekkim sercem naukę i Akademię porzucasz — rzekł w końcu do Żarka.

Iwo zaczynał wyczuwać, nie wiadomo jak ni skąd, chyba z gorącego wzroku Żarka, wlepionego w twarz Długosza, z drżenia jego rąk, z warg lekko rozwartych... Nie, Iwo już wiedział na pewno, że się tu zaczyna dzieć coś, co ich zamiar wniwecz może obrócić, i nie dnia ani godziny na to trzeba, ale jedynie paru słów W wielkiej obawie, by słowa te nie zostały przez Długosza wypowiedziane, sam zawołał głosem pełnym żalu:

— On się cieszy, panie. On się radował... jeszcze dziś rankiem Nie mówcie mu przeto o nauce, o sprawach długich wieków...

— Wiele ksiąg im poświęcę — wyrzekł powoli Długosz, ważą każde słowo — cały mój żywot. Jakże bym miał o tym nie mówić i nie nakłaniać chłopca, by przy nauce pozostał? Może po la tach onże dzieje Polski przeze mnie tu rozpoczęte pisać dalej be

dzie...

— Laboga, co powiadacie, mistrzu! — nie wytrzymała Agni<

szka. — Gdzież to możebne?

-32-

Jś

A Długosz, jakby nie dosłyszał, dalej prawił:

— Będę ja błagał wszystkich doktorów, profesorów, uczniów i pisarzy każdego wydziału przestawnej Akademii Krakowskiej, aby po mojej śmierci którykolwiek bądź z ich grona według sił i możliwości swojej te księgi dziejów w dalszym ciągu pisali, a nigdy przerwy w nich lub zaniechania nie dopuszczali...



Żarkowi zdawało się, że śni, trzepotał więc rzęsami i sam już się sobie począł dziwić, że tak mu łatwo przyszło porzucić naukę.

— Ja chyba żadną miarą, panie — uśmiechnął się ze smutkiem — nigdy się nie nadam do tego, bym na pracę waszej podobną mógł się ważyć. Sił by mi na to nie starczyło ni rozumu.

I nagły żal ścisnął mu serce, że nic z siebie przydać do Długo-szowej roboty nie potrafi.

— Sił nie starczy? — wyprostował się kanonik w fotelu. — Byle zdobyć fię na nie, zawszeć pożytek z tego będzie. Nie sądzę bowiem, iżby się godziło dlatego rękę cofać od pracy, że wiele zrobić nie można. Każdy tyle jest dłużen swojej ojczyźnie, na ile go stać przy jego zdolnościach i siłach. Za ostatniego taki ma być uważany, który jej jakimkolwiek upominkiem nie poczi i nie wspomóże.

— Za ostatniego? — przeraził się Żarek.

Iwo chwycił przyjaciela za rękaw i z twarzą skrzywioną żałością jął szybko przedkładać Długoszowi:

— Żegnajcie nam, panie, bośmy wam szmat czasu zajęli, który ku ważniejszym sprawom niżli rozmowa z nami mogliście obrócić. Pora nam, południe się przybliża. Chodź, Żarek, chodź, czemu stoisz?

Żarek przymknął oczy. Teraz już sam nie wiedział, co ma robić, gdy słyszał słowa Długosza:

— Pozostań przy nauce, chłopcze!

A zaraz potem zgorączkowany głos Iwona:

— Żarek, czas na nas!

Nie, jednak nie godzi się opuścić przyjaciela, by sam w świat wyruszył, a nie razem, jak to sobie obiecali. Żarek schylił się po swój tłumoczek i właśnie zarzucił go sobie na plecy, gdy tobołek rozwiązał się jakimś sposobem i zapisana kartka wypadła z niego Długoszowi na kolona.

Kanonik rzucił na nią okiem i zdumiał się. Jedną ręką chłopca powstrzymał, drugą papier przybliżył do oczu.

— Cóżes tu napisał?... Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zabrzmiało głośno pieśń ojczystą... Toż to moje opisanie bitwy pod Grunwaldem!

Żarek chciał się tłumaczyć:

— Darujcie, panie! Skopiowałem sobie zdań kilka, by mi na

3 — Przyjaciel na zawsze

-33-

pamięć wasza opowieść łatwiej wracała, gdy po świecie wędrować będę... Iwo jeszcze przypomniał, chociaż już zdawało mu się, że daremno:

— Żarek, rychło z wieży Mariackiej zatrąbią!

Długosz tymczasem oglądał przez chwilę pismo: litery były kształtne i równe.

Nagle wstał z fotela. Aż się chłopcy przelekli, taki im się wydał dostojny, gdy rzekł głosem stanowczym:

— Nie namawiaj go do waganckiego życia, chociaż może ono i lżejsze, i weselsze niżli nauka. Niechże przy tym zostanie, co mu radość sprawia i pożytek ojczyźnie przyniesie. Pismo ma kształtne, tedy go drugim kopistą ksiąg moich uczynię, a na Akademii dalej uczyć się będzie!

— Żarek? — wyszeptał Iwo ledwie dosłyszalnie.

— Ja, panie... — zaczął chłopiec i umilkł.

Z dala, od wieży Mariackiej, rozległo się granie... Hejnał ogłaszał miastu południe.

Cisza wielka uczyniła się w Długoszowej izbie. Żarek schylił się do nóg kanonika, niezdolny wymówić słowa; twarz mu zszarzała przy tym, a oczy zrobiły się ciemne niby nocne niebo. Bez słowa wyprostował się, poprawił swój tłumok na plecach, ręką skinął na przyjaciela, dając znak, że z nim iść jest gotów.

Hejnałowa melodia wciąż drgała w powietrzu — jak wołanie z daleka...

Nagle Iwo powiedział bardzo prędko i bardzo serdecznie:

— Ostań, Żarek, jam przecie twój przyjaciel. Ostań!

— Iwo! — Żarek przypadł do niego, objął ramionami, a łzy mu jak groch spływały po twarzy. — A ty?

— Ja? Spieszę do waganatów — wyrzekł śpiewnie Iwo. Lekko mu się jakoś uczyniło na sercu. Nie wiedział: od hejnałowego grania czy od nagłego postanowienia, że już sam, bez Żarka, w świat wyruszy. — Bywajcie w zdrowiu, panie! — skłonił się tanecznym gestem przed Długoszem. — Bywaj, Żarek, bywaj!

Nie oglądając się za siebie, skoczył do drzwi. Już zbiegał po schodach, już był na ulicy, gdzie wywiódł nagle głosem czystym wagancką piosenkę.

Żarek rzucił się do okna i odprowadzał przyjaciela wzrokiem, nasłuchując cichnącego śpiewania, które zaczynało się już gubić gdzieś w dali ulicznej wraz z końcowymi tonami hejnału.

Agnieszka pierwsza ciszę przerwała.

— Poszło niebożątko — zachlipała. — Czegoś żal... Ano, co robić?

Mateusz też się wzruszył, ale szybko ku księgom twarz zwrócił

-34-

i dłońmi po ich grzbietach wodził, jakby utracone witał, każdą z osobna.

Wreszcie Długosz ozwał się głosem pełnym spokoju:

— Prawy to przyjaciel, skoro pojął, w czym dobro twe leży. Żarek z wielką wdzięcznością spojrzął na mistrza, ale głębokiego

westchnienia powstrzymać nie zdołał, tak mu jednak ciężko było na duszy i smutno. Czuł, że już smutku tego nic zeń zdjąć nie zdoła. Zdawało mu się, że wciąż jeszcze słyszy piosenkę, którą przyjaciel żegnał swoje miasto i jego — Żarka.

— O rety! — zamachała rękami Agnieszka. — Toż strawę wam, panie, dać trzeba, głodniście pewnie okrutnie.

Z tym wołaniem wypadła z izby, śpiesząc do kuchni. Długosz tymczasem zwrócił się do Mateusza:

— Podaj, Mateuszu, czyste arkusze papieru, inkaust i pióro. Niechajże mój drugi kopista pracę swą od dziś rozpocznie, by mu ona smutek leżący na sercu rozproszyła.

— Ja, panie? Ja pisać mam?

Ale oto Mateusz już położył poliniowane arkusze, inkaust, pióro. Żarek jak we śnie zasiadł przy stole i w ogromnym napięciu czekał na słowa Długosza.

Ten zaś myśli przez chwilę zbierał, po czym równym głosem zaczął dyktować po łacinie ojcowe wspominki spod Grunwaldu, które mu w czasie drogi na pamięć powróciły.

— ...pięćdziesiąt chorągwi powiewało w obozie rycerstwa polskiego. Pierwsza była chorągiew wielka Ziemi Krakowskiej, mająca w herbie orła białego...

Spokój spłynął łagodną falą w rozkołysane serce Żarkowe i myśl jego uczynił przejrzystą i jasną. Pochylny nad papierem, lekko kreśląc łacińskie wyrazy, powtórzył niby echo za Długoszem:

— Pierwsza była chorągiew wielka Ziemi Krakowskiej...

>-%

## SZOPA ZA MIASTEM

JLCv asperek, Kasper! A gdzieżeś ty? ' ir^S/ ■Pani Małgorzata wyszła przed dom, rozejrzała się wokoło i!\_\_\_\_\_l za synem, a że nigdzie go nie było w pobliżu, zawołała

raz jeszcze, ale już głosem nieco skrzekliwym od irytacji: — Kasper, niedojdo! Długo to cię mam przyzywać? Skarania boskiego nie ma na tego chłopaka; wciąż tylko gdzieś by gonił, zamiast zająć się rzetelną robotą! Czekał, niech no cię dostanę... — .pogroziła zaciśniętą pięścią w powietrzu. Gest ten nie wróżył Kasprowi nic dobrego, a twarz matki aż szczerwieniła ze złości.

Stary Maciej, sługa, który nie tylko szesnastoletniego Kaspra od małego pamiętał, ale nawet i ojca jego, gdy niewiele co był starszy — westchnął i podrapał się po łysinie, spoglądając bokiem na rozgniewaną

niewiastę. Oj, lepiej z taką nie zaczynać! Znów będzie w domu tęgie bicie, gdy się Kasper pokaże. Nie pierwsze i nie ostatnie na pewno, bo chłopaka w żaden sposób nie można oduczyć ciągłego włóczenia się poza domem. Tylko czyha, żeby skoczyć do lasu, gdy nikt nie widzi. Różne kawałki drewna znosi, chowa je po kątach, coś tam z nich potem majstruje w ukryciu: cudaki jakieś struga nożem. Po co, na co — stary Maciej nie pyta, zresztą udaje, że nie spostrzega niczego.

Teraz zbliżył się do pani Małgorzaty i pochyliwszy się jej do ucha, szepnął, by nikt, a już zwłaszcza dziewczka, która właśnie mleko niosła, nie usłyszała:

— Znowu jedną nieżywą znalazłem. Tak samo, jak tamte, gar-dziołko ma przegryzione.

Na te słowa pani Małgorzacie gniew minął w jednym mgnieniu oka; załamała ręce gestem pełnym wielkiej troski.

— Matko przenajświętsza, miej nas w swojej opiece! Toż czwarta już ginie tym samym sposobem. W ciągu dni kilku...

-36-

— Czwarta — potwierdził Maciej, kiwając głową. — Jak dalej tak pójdzie, do świętego Jana ani jedna nam nie zostanie.

Niewiastę znów ogarnął gniew, tym razem już nie na syna, ale na sługę.

— Tak mi to kur pilnujesz? Darmozjadzie, dziadygo! Za co cię polewką karmię a podpłomykami? Do jedzenia toś skory, jeno do ochrony dobytku...

— Zmiłujcie się, gospodyni! — rozłożył ręce Maciej. — Mnie winujecie, a nieludzka to przecie sprawa z tymi kurami. Złe jakieś musi krążyć przy domu, dobytek niszczyć.

Spod przymrużonych powiek spojrzął na niewiastę: twarz jej zbielała niby chusta lniana.

— Złe, powiadasz? — wymamrotała, bezwolnie opuszczając uniesione poprzecznie ręce.

— Złe — powtórzył Maciej i obejrzał się za siebie. — Może-i z szopy tej się przywlekło... Tfu! — splunął w bok dla odżegnania uroku, który i ze słów samych mógł spłynąć. — Przecież wiecie, gospodyni, że w szopie... A i kręcili się przy niej jacyś obcy... nie wiedzieć, czy ludzie, czy może...

— Cichajże — przerwała mu ostro — byś nieszczęścia jakiego gadaniem nie przywiódł.

Umilkli oboje, ale chcąc nie chcąc wzrok skierowali ku owej szopie, która nie opodal widniała pod lasem.

Była to szopa od dawna opustoszała; podobno kiedyś trzymano-tam konie. Nie wiadomo nawet, do kogo należała. Dach jej przekrzywił się na dobre, a belki, z których była zbudowana, poczerniały od starości i wilgoci. Gdzieniegdzie zaczął je porastać zielony mech. Mało kto odważał się blisko do starej szopy podchodzić, a i to chyba jedynie w dzień jasny, bo w całej okolicy wiadoma było, że wieczorem czy nocą złe sprawy w niej się dzieją.

Tak to raz Mikołaj z Kleparza do domu wracający około północy, gdy opodal szopy przejeżdżał na koniu, usłyszał stamtąd okropne lamenty. Koń mu się od tego przepłoszył i Mikołaj, który jeźdźcem przecie był nie byle jakim, w okamgnieniu znalazł się na murawie. Wtedy z szopy zabrzmiał już nie lament, ale śmiech złowieszczy... Dwie niedziele chorował Mikołaj po tym zdarzeniu i majaczył w gorączce.

A znów Jantka, dziewczyna od sąsiadów, gdy raz krowy pała, ujrzała węża, który się przemykał od strony szopy. I nie był to wąż zwyczajny, bo Jantka na własne oczy widziała, że miał wielki kamień drogocenny na głowie, a tak przy tym połyskujący, że blask słońca niczym się przy nim wydawał.

-37 -

Albo Miłosz. Czyż nie widział jednego wieczoru złotych iskierek unoszących się w powietrzu przy szopie?

Straszło w niej, prawda, ale dotychczas to złe nie rozpleniło się jeszcze tak, by wtargnąć aż do domu pani Małgorzaty. A teraz?

Pani Małgorzata spuściła głowę: sama nie wiedziała, co robić. Kury jedna po drugiej giną; tylko patrzeć, jak krowy zaczną... Boże w niebiesiech, nie dopuść do nieszczęścia!

Grube łzy spadały na przybladłe policzki niewiasty, która aż skurczyła się w sobie od zmartwienia, zmaląła, przygasła.

Taką zobaczył ją Kasper, powracający właśnie do domu.

— Jeju, pani matko, co wam się dzieje? — przypadł, zaglądając jej w oczy.

Już nie mogła się gniewać na niego, nawet wdzięczność w sercu poczuła za okazaną troskę.

— Maciejowi byś pomógł drew urąbać — rzekła, gładząc głowę syna. Ani się, biedak, spodziewa, co nad nimi wisi...

— Pomogę! — porwał się Kasper, prostując plecy.

Był wysoki, szczupły i taki jasny — z włosami płowymi, spadającymi na ramiona, z oczami siwymi, cerą białą jak u panny. A najjaśniejszy miał uśmiech, od razu całą twarz rozświetlający.

Maciej westchnął, z rozrzewnieniem patrząc na chłopaka.

— Sam już porąbię — odezwał się, chcąc zaoszczędzić mu roboty. Wiedział, że chłopiec łatwo się męczy: urąbie kilka szczap, a potem długą chwilę stoi, łąpiąc powietrze w otwarte usta.

— Nie, nie, pomogę — Kasper skoczył po siekiere. Lubił Macieja i wyręczał go zawsze chętnie, chociaż niezdarnie.

Tymczasem pani Małgorzata skończyła widać rozmyślenia, bo ręką machnęła w powietrzu i weszła do izby.

— Znów kurę coś udusiło tej nocy — odezwał się Maciej do Kaspra. — Nie gadaj jeno nikomu, żem ci rzekł o tym. Gospodyni nie lubi, gdy się rozpowiada takie rzeczy.

— Co tam kura! — roześmiał się dźwięcznie Kasper. — W lesie byłem, tam za starą szopą. Aż pachnie od kwiatów... — westchnął głęboko, jakby wciąż jeszcze miły zapach wciągał w płuca.

Stary patrzył na niego, nic się nie odzywając.

— Ptaki śpiewają — opowiadał dalej chłopiec. — Wilga to tak gwizdże... — Stulił wargi i wydobyl z nich świst złotego ptaka, niby śpiewne wołanie. Potem próbował naśladować kosa.

— Prawda? Uda tnie to czynię — potrząsnął głową, oczekując pochwały ze strony Macieja. Ale jej nie usłyszał.

— Bóg jeden raczy wiedzieć, co ci na myśli. Kołków jakowychś struganie: to ci na myśli; ptactwa nasłuchiwanie — na myśli! — wybuchnął Maciej, ale nie gniewnie, tylko jakby się skarżył. —

-38-

Cudak jakowys z ciebie wyrośnie, i tyle! — dokończył ni to z wyrzutem, ni z troską.

— Macieju, co wy? Nie gniewajciez się — przestraszył się Kasper.

Zawsze, zawsze tak było, że pod tym zamyślonym, jasnym wzrokiem chłopca serce Madejowe — żeby nie wiem jaki gniew w nim przed chwilą panował — jak wosk musiało stajać. Aż zły był o to na siebie, tylko że nic poradzić nie umiał. Teraz też zmiękł zaraz, a nawet, niby niechcący, lekko musnął zgrubiałymi palcami pochylone plecy chłopca.

— Rąbże już to drzewo — rzekł, chcąc rozmowę na inne tory skierować.

Ale Kasprowi rąbanie szło nieskładnie, więc ledwie parę kawałków rozłupał, zaprzestał roboty dla złapania oddechu.

— Pono ma być niezadługo nowy ołtarz w Mariackim kościele — nachylił się ku staremu, jakby tajemnicę wyjawiał. — Cały w drewnie wyrzezany. Apostołowie będą w ołtarzu i Panienska Najświętsza ponadludzkiej wielkości. Powiadają, że to dzieło mistrza wielkiego, rodem z Norymbergi. Ale teraz u nas, w Krakowie, osiedlił się, prawo miejskie przyjął.

— Ech! — odwrócił się stary. Co tu gadać z takim chłopcem; wciąż do swych dziwactw powraca.

— Wit Stwosz się zowie. Dowiedziałem się — trącił go Kasper. — Słuchajciez, Macieju, na ulicy Grodzkiej on mieszka.

— Kto?

— Stwosz, onże mistrz sztuki snycerskiej.

— Już ty lepiej matce o tym nie opowiadaj — poradził sługa.

— Ja tylko wam... — Kasper z uśmiechem spojrzał mu w oczy i starego znów coś połechtalo w sercu.

„Niebożatko — pomyślał. — Prawda, że głupstwa mu w głowie, ale i o głupstwach człek musi z kimś pogadać, a ten ani w matce nie znajduje przyjaciela, ani w siostrze...”

-39-

Z tego wszystkiego zabrał od chłopaka siekiere i resztę drew sam porębał. Wprawdzie rozboleły go plecy od ciągłego zginania się, ale robota poszła sprawnie i szybko.

Po posiłku pani Małgorzata udała się do miasta. Sporo czasu minęło, zanim powróciła, i to nie sama, ale mnicha przyprowadzając ze sobą.

Kasper z siostrą przez okno przyglądali się, jak matka, wprowadziwszy go na dziedziniec, opowiadała o czymś z wielkim przejęciem, od czasu do czasu na starą szopę wskazując. Mnich słuchał uważnie, głową kiwał, w końcu oboje poszli w stronę kurnika.

Po jakimś czasie głosy odezwały się tuż za drzwiami.

— Pójdźmy stąd — szybko powiedział Kasper, ciągnąc siostrę do przyległej izby. Ale się opierała.

— Kiedym okrutnie ciekawa!

— Matka nierada będzie, gdy nas tu zastanie — tłumaczył brat.

— To i co? — wydeła pełne, mięsiste wargi. — Na pewno zechce ugościć mnicha, to mu do stołu usłużę.

Więc Kasper sam się wycofał, a korzystając z tego, że wszyscy w domu zajęci, wyciągnął zza skrzyni zgrabny klocek z lipowego drzewa i ostro zakończonym nożem próbował nadać mu jakąś wyraźniejszą formę. Pomyślał, że ptaka dałoby się wyrzezać z klocka, ptaka ogoniastego i z czubem na głowie. Tak się zajął robotą, że ledwie dosłyszał, gdy go matka z drugiej izby wołała:

— A chodźże, Kasper, chodź! Przecieżeś głodny, nieboraku! Twarz miała teraz rozpogodzoną, spokojną. Mnicha już nie było;

widać niedawno odszedł, bo na stole stała jeszcze nie umyta misa.

— Pojedz sobie — powtórzyła matka, rozprostowując się z widoczną ulgą. — Mnich zacny modły odprawił, od wszelkiego zła chroniące...

— Jakiego zła? — spytał Kasper.

— Nie pytaj, o nic już nie pytaj, bo wszystko szczęśliwie zażegnane — uśmiechnęła się zadowolona. — Mnich rzekł, że nic się już nie wydarzy, że zło nijakie przystępu nie będzie miało ani do domu naszego, ani też do...

Przez otwarte wąskie okienko wzrok jej pobiegł ku starej, czerniejącej w wieczornym mroku opustoszałej szopie.

— W imię Ojca i Syna... — wyszeptwała posiniałymi nagle wargami i ręką, którą znak krzyża kreśliła, drząc jej poczęta jak w febrze.

Anna i Kasper skierowali wzrok ku oknu i głos im uwiązał w gar-

-40

dle: ze starej szopy, w której od lat wielu nigdy -ducha żywego nie było, teraz wybtyskiwało jakieś światło — żółte, chybocące, o blasku pełnym tajemnicy...

Śpiewający ptak nie był duży i trudno go było zobaczyć, zwłaszcza że siedział na samym czubku drzewa. Kasper długo krążył po lesie, zanim udało mu się wypatrzeć drozda; teraz stał z uniesioną głową, zasluchany, bojąc się, by nie uronić żadnego śpiewnego tonu.

Wokół panowała cisza przerywana tylko lekkim skrzypieniem gałęzi; widać nieduży zwierz przechodził w pobliżu. Kasper znał te wszystkie odgłosy i nie lękał się ich. Nie odwracając głowy umiał poznać, kiedy przechodzi sarna, kiedy mysz szeleści w trawie, kiedy gałęzie się lekko ugną przy skoku rudej wiewiórki. I umiał też odróżnić z daleka dudniący krok króla tych podkrakowskich lasów — ■ żubra, idącego ciężko wśród głośniego szelestu krzewów i dyszącego chrapliwie. Kasper nie czekał wówczas na spotkanie ze zwierzem, tylko umykał, ile sił w nogach, chociaż go zawsze ogarniała szalona chęć, by przyjrzeć się zwierzęciu zupełnie z bliska, stanąć z nim niemal oko w oko.

Drozd śpiewał dalej na rozkołysanym przez wiatr czubku drzewa, jednak chłopiec przerwał na chwilę słuchanie: gdzieś trzasnęły raz i drugi gałęzie, ale nie

był to krok zwierzęcia, tylko człowieka. Kasper zdziwił się, bo mało kto chodził tu rankiem po lesie.

Kiedy się zaś obejrzał, zdumiał się jeszcze bardziej: zielone ga-gałęzie leszczyny zachybotwały gwałtownie i nagle wyszła zza nich dziewczyna. Nie była to ani Jantka sąsiadów, ani Anna, Ka<sup>^</sup> sprowa siostra, nie była to żadna ze znanych dziewcząt. Chłopiec stał przez chwilę, bacznie się jej przypatrując, bo przyszło mu na myśl, że może jest to jakiś stwór leśny, dziwożona czy co innego, który tu przywędrował przybrawszy na się dla niepoznaki postać dziewczęcą. Bo też i wyglądała inaczej niż wszystkie tutejsze dziewczęta: smagła, z wijącymi się ciemnymi włosami, które opadały jej na ramiona, z oczami dziwnie płochliwymi, a tak przepastnymi jak woda leśnego jeziora, w której głębinach nie wiadomo, co się kryje. Smukła była i gibka ta stojąca przed Kasprem dziewczyna, obciśnięta długą szatą koloru srebrzystozielonych liści dziewanny.

Snadź zaskoczona niespodziewanym spotkaniem — zmarszczyła lekko wąskie brwi, że zbiegły się nad oczami w jedną linię.

— Ja... — powiedział Kasper zapatrzony w dziewczynę jak w zjawę.

— Zaraz pójdę dalej — zawołała szybko, a głos miała ćwierkli-wy, trochę ptaszęcy.



— Nie, zostań! — Kasper nie wiedział, co powiedzieć, by ją zatrzymać i porozmawiać chociaż przez chwilę. Nagle szczęśliwa myśl mu błysła. — Słyszysz? — zapytał, wskazując ręką w stronę wciąż śpiewającego ptaka.

Wtedy podeszła bliżej, cicho, na palcach, i przechyliwszy w bok głowę, słuchała...

— Ładnie — szepnęła wreszcie. — Ładnie śpiewa — rozejrzała się dokoła i dodała: — Taki tu las jak u nas.

— Gdzie? — zdumiał się Kasper.

— Daleko — uniosła rękę, wskazując, gdzie słońce zachodzi — bardzo stąd daleko. Ale ja wcale nie tęsknię, mnie tu nie jest źle i...

— I co?

— I zawsze jest coś nowego. Ja tak lubię.

— Nic a nic nie rozumiem — przyznał Kasper. — Nie powiedziałaś mi nawet, skąd jesteś.

Dziewczyna roześmiała się, rozkładając ręce.

— Czy to ja wiem, skąd? Z Frankonii czy ze Śląska. A może z Krakowa — zastanowiła się chwilę. — No, teraz to już jestem z Krakowa — powiedziała poważnie — i chyba tu zostanę, bo stryj przyjął przecież prawo miejskie krakowskie.

-42-

— Na zawsze zostaniesz? — nie wiedzieć dlaczego ucieszył się Kasper.

A dziewczyna znów się roześmiała.

— Na zawsze? Skąd! Nie znasz mego- stryja: on nigdzie nie zostaje na zawsze.

— Czymże się on trudni? — nie pojmował Kasper. Zauważył, że dziewczynie miło jest mówić o stryju, więc jeszcze

raz zapytał:

— Kimże jest i jak się nazywa twój stryj?

Usiadła na trawie, obejmując dłońmi kolana, i z lekkim rozbawieniem, jakby się sama cieszyła tym, co mówi, zaczęła:

— Tego właściwie nie można wcale określić, kim on jest. Potrafi wszystko: umie haftować igłą obrazy zdobne w perły i drogie kamienie, naczynia złoczone też robić potrafi... Ooo! — zachwyciła się — stryj maszynę także chce zmajstrować, taką, wiesz, do odciągania wody z kopalń.

— Nie, nie wiem — przyznał się Kasper.

Słuchał opowiadania niby baśni o jakimś czarnoksiężniku, który nie wiadomo skąd przychodzi i wszystko potrafi; nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego.

— Nie wiem, jak wygląda taka maszyna.

— Ja też nie wiem — skinęła głową dziewczyna — ale to nic nie szkodzi.

— Bo też... — zastanawiał się Kasper — po co mu ta maszyna, jeżeli jest... Przecież mówiłaś, że jest złotnikiem.

— Jest mistrzem cechu złotników — podkreśliła dziewczyna.

— No właśnie. Więc...

— Ach! — zniecierpliwiała się. — Ty nic nie rozumiesz, bo nie znasz mego stryja. A ja się tak cieszyłam, tak cieszyłam, kiedy zabrał mnie ze sobą od ojca... Ale cóż, on pewnie nie zechce mnie tu długo trzymać i odeśle w końcu.

— Ciebie nie zechce? — zatrwożył się Kasper.

— Nie znasz stryja — powtórzyła. — Z nim to nigdy nic nie wiadomo. Już taki jest. Dziś to mu się podoba, jutro tamto.

Chciał jeszcze o coś pytać, właściwie o wiele jeszcze, wiele spraw, ale jakoś wstyd mu było, bó przecież to on ciągle pytał, a dziewczyna ani razu nie zdradziła najmniejszej ciekawości, z kim rozmawia, co Kasper tu robi w lesie, gdzie mieszka. W końcu jednak nie wytrzymał, zapytał o to najważniejsze, jak mu się zdawało:

— Jak cię zwą?

— Mnie? Barbara — odpowiedziała prosto, ale nie spytała o imię jego. Sam jej to rzekł:

-43-

— A mnie Kasper.

Ponieważ dłuższą chwilę milczała, gryząc w zębach wąskie źdźbło trawy, więc jeszcze dodał:

— Mieszkam w domu za tymi łąkami.

— Ach, wiem — niespodziewanie powiedziała Barbara. — Widać ten dom od nas z okna. No, muszę już iść! — zerwała się z miejsca.

Zatrzymał ją w pół kroku.

— Z jakiego okna widać? Skąd?

— Nie wiesz? Z okna tej starej szopy...

Nie żegnając się, znikła wśród leśnych krzewów i mogłoby się zdawać, że wcale jej tu nie było, gdyby nie gałęzie, które wciąż jeszcze kołysały się z lekkim szelestem.

Kasper stał w miejscu, przecierając dłonią czoło, stał jak porażony tą wiadomością, że dziewczyna mieszka w starej szopie...

Po długiej dopiero chwili uświadomił sobie, że cokolwiek by się w tej szopie dziać miało, tam przecież może odnaleźć Barbarę...

Drozd-śpiewak dawno już skończył swoją pieśń i nie zauważony przez nikogo odleciał z wysokiego drzewa.

— Chłystki jakoweś, rzezimieszki najpewniej! — pani Małgorzata trzęsa głową, z irytacją mówiąc o nieznanym mieszkańcach starej szopy. — Płaczą się tam nie wiedzieć po co: człowiek chwili teraz spokojnej mieć nie może, nie znając, co zamyślają.

— Oj, tak, tak — przytakiwała skwapliwie Anna. — I dziewczę tam jakieś kręci się między nimi...

Wypatrzyła z daleka, że dziewczyna jest smukła, że chodzi lekko, jakby fruwała po ziemi. Spojrzała na swoje grube, duże stopy, niemal że rozsadzające nowe safianowe ciżmy, i zacisnęła wargi.

Matka zauważyła to spojrzenie. Sama nie od dziś bacznie obserwowała kręcących się przy szopie ludzi.

— Jest i dziewczyna — przytaknęła. — Na obrazę boską chyba ją tu przywlekli...

— Może nijakiej obrazę w tym nie ma — ośmielił się wtrącić Kasper.

— Jakże: nie ma? — zdumiała się matka. — Musi być, skoro niecnym jakimś praktykom się oddają. Powiadają ludzie, przeciem tu już rozprawiała z sąsiadami, że nikomu przystępu do szopy nie dają, przeciw sumieniu widać coś działając.

— Dziewczyna przecie... — zaczął Kasper.

— Nie z dobrego rodu ona na pewno! — przerwała bratu Anna.

— Myślałby kto, że my z moźnych jesteśmy.

-44-

Umilkł zaraz pod karcącym spojrzeniem matki.

— Cichaj, bo nie na twój rozum takie rzeczy. Z prawych mieszczan krakowskich pochodzimy, a i kanonika mamy w rodzie — pani Małgorzata z lubością wspomniła swego brata.

Więc Kasper już nic nie mówił, odwróciwszy wzrok ku oknu, matka zaś ciągnęła dalej:

— Tylko czekać, jak kanonik Kaspra do siebie weźmie, do samego Poznania. Obiecywał to uczynić w tym roku.

— Już w tym roku? — wyjąkał cicho chłopiec.

Prawda, pamiętał, że kiedyś była o tym mowa, ale... jakoś nie wierzył, że może się to stać naprawdę. W każdym razie — nie tak prędko.

„E, co tam! A nuż wuj kanonik zapomni o obietnicy...” — pomyślał, nie chcąc się tym trapić zawczasu.

Właściwie pragnął teraz tylko jednego: wydostać się jak najprędzej z izby. Wypadł więc na podwórzec, aż parę kur chodzących opodał furknęło z głośnym gdakaniem.

Pracujący tam Maciej spod zsuniętych brwi patrzył za chłopcem, gdy ten przeskoczywszy płot, równym krokiem szedł łąkami, coraz dalej i dalej od domu. Nie mógł jednak Maciej zauważyć tego, że w jakiejś trudnej do uchwycenia chwili krok Kaspra stał się powolniejszy.

Szopa zbliżała się, niemal rosła w oczach idącego chłopca. Widział już wyraźnie drzwi mocno obluzowane, świeżo przybitą deskę na dachu, widocznie dla załatania dziury, zielone plamy porastającego zabudowanie mchu.

Dziwnie zrobiło się Kasprowi, gdy tak pierwszy raz w życiu szedł w stronę szopy — i to nie „w stronę” szopy, ale do niej samej.

Drobne krople potu wystąpiły mu na czoło.

„Przecież nie boję się — myślał. — Jakże? Nic mi się w biały dzień nie stanie”.

Wierzchem dłoni otarł czoło.

„Nie boję się!” — pomyślał jeszcze raz i nagle odskoczył w bok, posłyszawszy jakiś szelest w trawie. Nic jeszcze nie widząc, był pewien, że to wąż z klejnotem w głowie, zaczarowany, straszny, chociaż może i piękny.

Ale nie wąż to wił się w trawie — siedziała tam zwyczajna zielona żaba.

— Ech! — skrzywił się chłopiec i wstyd mu się zrobiło.

Już nie oglądając się na nic, nie słuchając niczego, szybkim krokiem ruszył dalej.

Teraz szopa wyglądała nawet niezbyt straszno, może dlatego, że

-45-

słońce nad nią świeciło, a w trawie kwitły kępami drobne, kolorowe kwiaty. Mimo to w pewnej chwili Kasper uczył, że serce zatłukło mu mocno jak na alarm: z szopy doszły go jakieś męskie głosy...

„A jeżeli to nie ludzie, tylko diabły?” — przeleciało mu przez głowę.

Jeszcze miał czas, żeby się cofnąć; dość było jednej chwili, by zawrócić i szybko przebiegłszy łąkę, znaleźć się w domu, daleko od strachów. Wystarczyłby moment, lecz Kasper pomyślał o smukłej dziewczynie, Barbarze, mówiącej jak ptak ćwierkliwym, wysokim głosem...

Przyśpieszył kroku. Przestrzeń dzielącą go od szopy przebył prawie biegiem.

Nie kołatał ani pytał, czy wejść mu pozwolą; drzwi były na wprost otwarte. Ledwie jednak w nich stanął, już wpadł na niego jakiś wyrostek.

— A tyś co za jeden? Na przespiegi przyszedłeś? Gadaj zaraz!

— Ja... nie.. Co? Ja nie... — usiłował tłumaczyć się Kasper, ale w tejże chwili pokazał się jeszcze drugi chłopak, gruby, pyzaty, ze zmierzwionymi w jeden kołtun włosami.

— Na przespiegi? Bić go — wrzasnął, chwytając kij leżący przed progiem.

— Nie, nie! Wcale nie — zasłonił się rękami Kasper. Wszystko to stało się tak niespodziewanie, że sam nie wiedział,

co ma robić — czy bronić się, czy uciekać; zupełnie stracił orientację.

Ale wzniesiony kij nie opadł mu na głowę, jak się tego spodziewał: coś srebrzystozielonego zamajaczyło w ciemnym wnętrzu szopy i ktoś zawołał ćwierkliwym głosem:

— Zostawcie go! Puśćcie, on do mnie przyszedł!

— Barbara! — szepnął Kasper, odsłaniając twarz.

Obaj napastnicy zniknęli, jakby się pod ziemię zapadli, a dziewczyna wyskoczyła do Kaspra i jęła szybko tłumaczyć.

— Ty się ich nie lękaj, oni tak z wierności dla stryja, bo tu naprawdę na przespiegi różni chodzą. Więc dlatego... żeby biedy jakiej nie było. Ale tobie nikt nic złego nie zrobi.

Wydała się uradowana gościem, chwyciła go w końcu za obie ręce i pociągnęła za sobą. Kasper nawet się nie obejrzał, gdy znalazł się przed kimś bardzo wysokim i chudym, kto stał pośrodku izby i coś tam mówił do pracujących obok dwóch młodych ludzi.

— To mój stryj — szepnęła Barbara do Kaspra, a gdy ten milczał, powtórzyła raz jeszcze jakby w obawie, że poprzednio nie dosłyszał: — Widzisz, stryj mój: Szwajpolt Fioł.

-46-

Ostatnie dwa słowa: „Szwajpolt Fioł”, powiedziała takim tonem jakby mówiła: „Jego Królewska Mość”, i Kasper zgiął się w niskim ukłonie.

Nad głową jego, gdy stał tak pochylony, rozległ się śmiech, podobny trochę do śmiechu Barbary — taki właśnie lekki jakiś, niefrasobliwy.

— A dajże spokój, chłopcze. Dworne masz, widać, obyczaję, jeno że tu nie dwór żaden, ale warsztat.

— Widzisz — pochwyciła Barbara — zapomniałam ci rzecz wtedy, że stryj jeszcze i księgi wybijać potrafi.

— Księgi, panie, przepisujecie? — spytał Kasper. — Słyszałem, że robią takie w klasztorach...

— Gdzie bym zaś przepisywał! — znów roześmiał się Fioł. — Wybijam je, a to rzecz zgoła różna. Z liter tekst składam, potem na prasie odbijam...

— Po cóż to? — spytał Kasper.

— Toś, widzę, mało tych rzeczy świadom, skoro nie wiesz. Księgę rękopiśmiennie w ilu egzemplarzach dać można? Dwóch, trzech... no, w czterech, rzeknijmy. A i tak lata całe zejda na prze-

pisywaniu każdego. Zaś księga wybijana... — Fioł wyprostował się i bez tchu niemal wyrzucił z siebie: — Wiesz ty, w wielu egzemplarzach na prasie księgę odbić można?

— Nie — przyznał się Kasper.

— Anibyś zgadł: w czterdziestu, pięćdziesięciu, nawet w stu! — Sz wajpolt Fioł wznosił wysoko rękę do góry, wymawiając ostatnie

słowo.

Stojąca za nim Barbara patrzyła na Kaspra spod lekko przymrużonych powiek.

— Wody! — krzyknął nagle Fioł, wracając do przerwanej roboty. — Wody rychło dawajcie do piasku!

W tejże chwili jakby zupełnie zapomniał o Kasprze, przestał z nim rozmawiać, odwrócił się nawet do niego plecami, cały zajęty formą z piaskiem, stojącą na zydlu. Barbara wnet podała dzban wody; Fioł z wielką uwagą lał ją do formy, badając co chwila palcem, czy piach już dość zwilgotniał.

— Teraz stemple drewniane! — rozkazał.

Dwóch wyrostków znów wyskoczyło jak spod ziemi: jeden podawał stemple, drugi zaś majstrował przy piecu z roztopionym

metalem.

„Może i rację miała matka, że się czary jakieś tu dzieć mogą” — przeleciało przez głowę Kaspra. Stał ze zmarszczonymi brwiami, przygotowany na wszystko, niemal że na ukazanie się diabła. Ale diabeł się nie pojawił, natomiast na gładkiej powierzchni piasku, pod naciskiem drewnianych stempli, poczęły się ukazywać wyciśnięte odbicia liter. Tak, to były litery — co do tego Kasper nie miał żadnych wątpliwości.

— Metal! — huknął Fioł, nie odwracając głowy.

Nadbiegł drugi wyrostek, coś podał — Kasper nie zauważył nawet co. Śledził teraz z zapartym tchem, jak Fioł wlewał roztopiony metal w zagłębienia pozostawione przez stemple w wilgotnym piasku. Wszystko

to wyglądało niepokojąco i chłopcu serce waliło jak młotem. W pewnej chwili spojrzął na Barbarę, ale ta stała z boku zupełnie spokojna, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i popatrywała to na stryja, to na jego robotę. Widać zwyczajna była podobnych spraw, więc i Kasprowi powoli strach począł mijać, natomiast zaczęło wzrastać zaciekawienie, tak że nie oparł się nawet pytaniu:

— Do czego to' zdadne będzie? Te literki, które się w piasku odleją z metalu?

— To jest „oczko” — powiedziała Barbara. — Jak ostygnie, będzie gotowa czcionka, już do...

-48-

Wkii

^^fefc

ar

Tak, dopiero teraz niejasno zaczął Kasper pojmować, że z tych czcionek składa się całe wyrazy i zdania.

— Sztuka czarnoksięska! — szepnął.

— Sztuka — może, ale nie czarnoksięska — odezwał się Fioł. — Iw ogóle dawny to sposób odlewania czcionek. Teraz już robi się inaczej; nie w piasku się je odlewa, ale w płycie metalowej, gdzie wybite są specjalnymi stemplami zagłębienia na buk-sztaby.

— Jeno że to w giserni się robi, nie u nas — wtrąciła szybko Barbara.

Kasper, przyznać trzeba, mało co z tego zdołał pojąć. Nieśmiało spytał, czemu to Fioł w piasku swe czcionki odlewa, a nie tym właśnie nowym sposobem, o którym przed chwilą mówił.

— Bo mi tylko paru liter brakło — usłyszał w odpowiedzi — a czasu mało. Za długo by trzeba czekać, aż w giserni, w dalekim, dalekim mieście — bo tu w Krakowie nikt jeszcze tej sztuki nie umie — czcionki odleją... Zresztą co ci tam będę o tym prawić — machnął ręką lekceważąco.

Po chwili jednak dodał łagodniej:

— Jeżeli cię to tak interesuje, możesz tu zająć czasami. Jeno... jeno żebyś nikogo ze sobą nie śmiał przywieść. Nikogo obcego! — dodał groźnie. — Po to w tej szopie przecież siedzę, by z daleka być od ludzi, by mi się nikt nie mieszał do roboty...

Fioł robił teraz wrażenie przyczajonego kota. Kaspra znów ogarnął niepokój, wyczuwał bowiem jakąś tajemnicę w tym wszystkim. Czemu to przespiegów obawiano się tutaj? Dlaczego Fioł niby krył się ze swoją robotą?

Na wargach Barbary pojawił się leciutki uśmiech, który nic a nic nie wyjaśniał. Wydawała się niezwykle drobna przy swoim stryju. On za to głową sięgał niemal powały, tak był wysoki, a do tego trzymał się

prosto niby drzewo mocne, chociaż smukłe, które pod wichrem dobrze ku ziemi zgiąć się potrafi, nigdy się jednak nie złamie.

A twarz Fioła? Kasper śledził ją już przez czas dłuższy, ale nic nie potrafiłby rzec o niej: czy piękna była, czy szpetna; czy dobroć wyrażała ludzką, serdeczną, czy też coś innego, czego chłopiec nazwać nie umiał... Przyglądał się dalej Fiołowi, ten zaś już najmniejszej uwagi na chłopca nie zwracał. Zajęty był znów robotą, cały w niej zatopiony; zdawać by się mogło, że nic go na świecie poza tą pracą nie interesuje.

— Panie — zagadnął go jeden z wyrostków. — A jak się tekst złoży, na czym go będziemy odbijać?

4 — Przyjaciel na z.awsze

-49-

im jeszcze nie cechu garbarzy

ieszył się wy-

^

eno je wybijać \_\_-\_-^---"":           zapłaca, a ja

przeleciał uśmiech.

rękaw, oczami wska-

>pą, chłopiec nie wy-

nę pytaniami:

było, że taki warsztat jest w Kra-

stryj maszynę jakowąś do odwadniania

/ecie widać, że w księgach jest jeno

ə księgi wybijacie? Pismo święte najpew-

jowę w bok przychyliwszy swoim

z tym warszatem? — naglił Kasper

jest pierwszy pono, przed nim e bywało. Słyszałam, jako o tym stryj roz-

' —zdumiał się Kasper.



inia, lichy mu się przecież wydał ten  
starej się mieści, każdy grosz trzeba  
r nie wiedzieć, czy w ogóle będzie ani  
imś szaleńcem, że się takiej rzeczy  
mej? Na cóż bo ludziom trzy-  
i takich samych ksiąg? Chyba że  
Fioł ku tej robocie... Tak jak Kasper ku  
iia. 1 strony jego domu, rozległ się ostry  
'Y? do Barbary.

Szwajpolt spojrzął jak obudzony z głębokiego snu.

— Na czymże by, jak nie na papierze?

— A kiedy go nie ma.

— No to będzie — zniecierpliwiał się Fioł. — Sam jeszcze nie wiem, skąd go wezmę i za co, ale będzie. Może z cechu garbarzy uda mi się jakie pieniądze pożyczyć...

— To i nam, panie, zapłatę dacie wtedy! — ucieszył się wyrostek.

Fioł wzruszył ramionami.

— Duże pieniądze z tych ksiąg nam przyjdą, jeno je wybijać trzeba pilno. Jak się robotę skończy, wtedy mnie zapłacą, a ja wam.

Wyrostek westchnął, a przez twarz Fioła przeleciał uśmiech.

Barbara nieznacznie pociągnęła Kaspra za rękaw, oczami wskazując mu wyjście. Gdy znaleźli się przed szopą, chłopiec nie wytrzymał już dłużej i zarzucił dziewczynę pytaniami:

— A to wcale mi wiadome nie było, że taki warsztat jest w Krakowie. Cóżś mówiła, że stryj maszynę jakowąś do odwadniania kopalń zamierza budować? Przecie widać, że w księgach jest jeno rozmiłowany. I jakież to księgi wybijacie? Pismo święte najpewniej?

Barbara stała bez ruchu, głowę w bok przychyliwszy swoim zwyczajem.

— Powiadajże, jako to jest z tym warsztatem? — naglił Kasper z pałającymi oczami.

Wreszcie wyjaśniła z wolna:

— W Krakowie ten stryjowy jest pierwszy pono, przed nim żadnych stałych tutaj nie bywało. Słyszałam, jako o tym stryj rozprawiał.

— Pierwszy? — zdumiał się Kasper.

Mimo całego zainteresowania, lichej mu się przecież wydał ten warsztat, bo i jakże: w szopie starej się mieści, każdy grosz trzeba na niego zdobywać, papier nie wiedzieć, czy w ogóle będzie ani skąd... A może Fioł jest jakimś szaleńcem, że się takiej rzeczy chwycił, mało przecież komu potrzebnej? Na cóż bo ludziom trzydzieści, czterdzieści czy nawet sto takich samych ksiąg? Chyba że miłowanie jakieś czuje Fioł ku tej robocie... Tak jak Kasper ku rzezaniu w drzewie...

Trudne to były sprawy do rozeznania.

W tejże chwili z daleka, od strony jego domu, rozległ się ostry głos matki:

— Kasper, Kasper! A gdzieżeś ty?

— Muszę wracać — powiedział do Barbary.

-50-

)

Skinęła głową. Dopiero gdy uszedł już kawałek drogi, posłała za nim wołanie:

— Zajdźże do nas jeszcze... A rychło!

Nie było dnia, by Kasper choć na krótko nie zajrzał do starej szopy. Już za pan brat był z wyrostkami, Fioł go traktował jak swego, pokazywał też często, jak i co się robi.

Któregoś dnia Kasper odkrył niespodziewanie, że potrafi, i to bez żadnych prawie trudności, rzezać w drewnie owe stemple do odciskania liter w wilgotnym piasku.

— Patrzajże! — zdumiał się Fioł, gdy mu chłopiec pierwszą swą robotę pokazał. — Jeszcze się przy nas ksiąg wybijania nauczysz.

— Co też prawicie... — zaczerwienił się Kasper. — Przecież nic nie umiem.

— A myślisz, że ja od razu umiałem? — zdziwił się Szwajpoit.

— Ale już chyba zostaniecie na zawsze przy tym ksiąg wybijaniu? — zagadnął nieśmiało chłopiec.

Barbara z niepokojem spojrzała na stryja, ten zaś ramionami tylko wzruszył.

— Póki mi dobrą zapłatę za księgi dawać będą, zostaną.

Kasprowi dziwnie żal się zrobiło, że tak właśnie — lekko i splatając sprawę z zarobkiem — Fioł mógł mówić o swej robocie. Barbara spuściła wzrok i twarz odwróciła, bo żar od ognia bijący oświecał ją całą.

Chwilę stali w milczeniu, wreszcie Fioł powiedział:

— Rzeźnij dalej, chłopcze, a jak się wyuczysz robić inicjały zdobnie w drzewie ryte, to cię może tu do pracy przyjmę — roześmiał się przy tym. Nie można było wiedzieć: poważnie obiecywał czy tylko dla żartu.

I Kasper starał się, jak najusilniej się starał, aż wreszcie kiedyś udało mu się wyrzezać na niewielkim klocku literę oplecioną kwiatem i pięknie wygiętym liściem. Fioł raczej powściągliwie pochwalił robotę, ale zachęcał do dalszej pracy, natomiast Barbarze bardzo się ten kwiat podobał.

— Weź go — prosił Kasper rad, że może coś ofiarować dziewczynie, i to coś, co sam zrobił.

Ucieszyła się, aż pokraśniała przyjmując podarek.

— Zachowam sobie — obiecała. Patrzyli na siebie przez chwilę.

Kasper nieśmiało wyciągnął rękę i ujął dłoń dziewczyny; nie wyrwała jej ani się nie zawstydziała, tylko stała spokojnie, godnie jakoś i uroczyście.

— Kiedyś, gdy na swoim już będę...

- 51 -

— Najpewniej przestaniesz do nas przychodzić — powiedziała -smutniejąc Barbara.

Zapewnił najzarliwiej, że nie, że zawsze przyjdzie i że tak samo jak teraz będą razem chodzili po lesie, nasłuchiwali ptaków, a może też jakieś księgi będą razem wybijać. Nauczy się chyba w końcu tej trudnej sztuki.

Pierwsze gwiazdy zaczęły się pokazywać na niebie, gdy Kasper wracał łąkami do domu. Barbara odprowadziła go kawałek. Szli przez wilgotną od rosy trawę, zalaną księżycowym światłem.

— Do jutra! — powiedział Kasper na pożegnanie.

— Do jutra! — jak echo odpowiedziała Barbara.

Z lekkim i spokojnym sercem wracał tego wieczoru do domu: nic to, jeżeli matka nawet będzie się gniewała. A może i nie będzie?

Nie gniewała się, o nic nawet nie pytała; zafrasowana, krzątała się po izbie, pakując jakiś tłumok.

Oznajmiła szybko Kasprowi głosem aż przyciszonym z radosnej dumy:

— Posłaniec od wuja twego, kanonika, przybył. Jutro pojedziesz z nim do Poznania. Pożegnajże się z domem, ze wszystkim, bo nierychło ci tu wrócić wypadnie...

Jakże często Kasper wspominał ten wieczór, zwłaszcza przez pierwsze miesiące pobytu u wuja, które mu się nieznośnie dłużyły. Wciąż miał w pamięci słowa wypowiedziane wtedy przez matkę: „Nierychło ci tu wrócić wypadnie”. Ani żalu w nich nie było, ani smutku... Zresztą czyż matka mogła choćby przypuszczać, co się wtedy z Kasprem działo, jak go nagle objęło jakieś zimno straszliwe, ogarnęło całe ciało, zmroziło serce i zacisnęło gardło, że ani słowa nie mógł z siebie wydobyć. Poruszał się jak figura z drewna, bez żadnego czucia.

I na nic nie patrzył, nic nie widział, oddalając się potem na wozie od rodzinnych stron. Raz tylko odwrócił się na krótką chwilę, by jednym spojrzeniem ogarnąć już ledwie widoczne migotliwe światła swego domu i... dalsze — starej szopy pod lasem.

Przez długi czas wspomnienia te były tak żywe, jakby wszystko to wydarzyło się zaledwie wczoraj, jednak z biegiem lat jakoś niepostrzeżenie zaczęły się zacierać. Zwłaszcza że wuj kanonik postarał się, by Kasper nie miał zbyt wiele czasu na rozpamiętywanie...

— Nie ma co siedzieć po próznicy, z wzrokiem w kąt wlepio-

-52-

nym. Rozważyć wypada, do czego byś się najlepiej nadał — orzekł któregoś dnia, rychło po przyjeździe siostrzeńca.

Zaś niedługo potem postanowił:

— Mam tu człeka zamożnego, co sprowadzaniem drogich tkanin z zagranicy zajmuje się... Pieniądz lgnie do niego, jak mała do kogo. Takiej roboty przyuczyć się najlepiej.

Tak więc Kasper musiał zająć się różnymi sprawami, które dotychczas były mu zupełnie obce albo też zgoła o ich istnieniu nie wiedział.

Nikt go zresztą nie pytał, czy jest zadowolony z takiej nauki i roboty, której dawano mu z biegiem czasu wciąż więcej i więcej, bo się nad podziw obrotny okazał w sprawach handlowych, tak obrotny, że rychło przewyższył umiejętnościami tych, którzy go uczyli.

Wtedy sam już, bez niczyich rad i pomocy, zaczął się zajmować handlowaniem tkaninami, sobie już teraz — nie komu innemu — kiesę nabijając złotem.

Tak mijały lata...

Któregoś dnia Kasper aż zdziwił się, że zdążyło ich już minąć tak wiele. W głębokim zamyśleniu pakował podróżne tłumoki, ba mu wuj kanonik doradził, by matkę odwiedził...

Rozmięktą od deszczu drogą jechał wóz, dobrze dobytkiem naładowany. Prócz woźnicy siedział na nim młody mężczyzna, dostatnio przyodziany, z jasnymi włosami, opadającymi na ramiona.. Woźnica od czasu do czasu poganiał idące leniwie konie i przeważnie drzemał, kiwając się na wozie. Młody natomiast

wypatrywał- coś przed sobą, to ręką ocieniając oczy od słońca, to w przód wysuwając głowę, jakby mu pilno było jakieś znajome kształty ujrzeć w oddali.

Gdy wóz mijął na drodze nieznanego pieszego wędrowca, młody pan krzyknął do niego niecierpliwie:

— Nie wiecie to, do Krakowa jeszcze daleko?

— Kawał drogi! — odrzekł wędrowiec. — Wy za pół dnia dojedziecie, ja ledwie na wieczór dość zdołam...

— Siadajcie na wóz, będziecie prędzej — zaproponował młody mężczyzna.

Wędrowiec skwapliwie skorzystał z zaproszenia, a już po chwili rozgadał się na dobre. Młody był jeszcze, może mu na szesnasty rok szło, lecz ciekaw widocznie wszystkiego, bo z miejsca począł się rozpytywać:

— Pierwszy raz w naszym sławnym grodzie będziecie?

-53-

— Nie — odrzekł mężczyzna. — Urodzony tam jestem, jeno że dawno grodu nie widziałem... Ile to lat?

— zamyślił się i dokończył smutnie: — Aż osiem... Osiem lat! — powtórzył.

— Tożście chłopcem jeszcze wyjechali!

— Byłem w twoich latach. A ty z Krakowa?

— Urodzonym gdzie indziej, ale teraz na Akademii Krakowskiej nauki biorę. Scholarem jestem — rzekł chłopak z dumą. — A wy? — zapytał nagle. — Czym trudnicie się, panie?

Długo czekał na odpowiedź; wreszcie padła, wcale nie radosna, lecz jakimś przytłumionym głosem wypowiedziana:

— Materiałami drogimi handluję: jedne do zamorskich krajów wysyłam, inne zaś stamtąd sprowadzam.

— Toście bogaci! — wykrzyknął żak, ale bez zazdrości, jedynie jakby się dziwił.

— A bogatym... — odrzekł krótko młody pan.

Jakiś czas jechali w milczeniu, wreszcie żak posłyszał pytanie:

— Powiadajże, jak tam w Krakowie? Ratusz stoi? Wieża Mariacka? Powiadaj!! Ołtarz w Mariackim kościele, co go rzezał... ów mistrz norymberski... jakże mu to było?

— Wit Stwosz! — świeżym głosem wykrzyknął chłopiec. — A pewnie, że ołtarz stoi. Cudny, że napatrzeć się nie można. Śpieszcie zaraz, panie, zobaczyć go.

— Cudny, powiadasz? — ożywił się podróżny. — Pewnie, że zobaczę.

— To i tego może jeszcze nie wiecie... — zaczął chłopiec, ale towarzysz przerwał mu nagle, pytając natarczywie:

— Warsztaty jakoweś, gdzie książki wybijają, są w Krakowie? Szwajpolta Fioła jest?

Żak milczał dłuższą chwilę, jakby szukając czegoś w pamięci.

— Szwajpolta Fioła, powiadacie? Tego, co to proces miał? Co w podziemiach Ratusza był więziony? Panie, co robicie? Toż mnie z wozu zepchniecie całkiem! — krzyknął nagle scholar, bo został z wielką siłą chwycony za ramię. Podróżny uniósł się z siedzenia i trzymając wciąż chłopca, trząśł nim z całej siły.

— Coś rzekł? O Fioła pytam. Szwajpolta Fioła...

— Toż mówię — zajęczał chłopiec. — Był więziony; o mało co go na śmierć nie skazali... Puśćcie mnie, panie, bo i słowa nie mogę wydusić z siebie. Aż mi straszno, tak na mnie patrzycie!

— Więc za co... za co był więziony? — ledwie dostłyszalnie wyszeptał podróżny.

— Hm, jeszcze mnie w sercu gniecie z tego strachu, żeście mnie tak ułapili... Już myślałem, że z rozbójnikiem jakim jadę...

— Powiadaj...

-54-

— Więc w mieście gadki chodzą, że ów Fioł księgi innej wiary wybijał, co to w nich sprawy były odmienne, niż księży u nas nauczają. Ja tam nie wiem, ale tak mówią. Przyjedziecie do Krakowa, to wam opowiedzą mądrzejsi ode mnie i tacy, co sprawę lepiej znają.

— Tak, przybędę do Krakowa, wszystko będę wiedział... — z ciężkim westchnieniem rzekł podróżny, otulając się szczelniej opończą.

Resztę drogi spędzili nic już nie mówiąc, co wcale nie podobało się żakowi. Kręcił się z nudów na swym miejscu, próbował też od czasu do czasu zagadywać towarzysza życzliwym słowem, ten jednak milczał, bardzo widać zajęty swymi myślami. Ożywił się dopiero, gdy z daleka ukazały się wieże i krakowskie mury obronne. Zsunął kapuzę z głowy i wpatrywał się w nie z dziwnym rozrzewnieniem, ale też i smutkiem, niepojętym wcale dla towarzysza.

Tak dojechali pod Bramę Floriańską, nad którą wznosiła się czworoboczna wieża. Najważniejszy to był wjazd do miasta, bo nie inaczej, ale tą właśnie bramą monarchowie zawsze wjeżdżali, jak również wszyscy dostojni goście.

Wozów i pojazdów dość się tam teraz tłoczyło, czekając swojej kolejki, by dostać się na zwodzony most, zawieszony na ciężkich łańcuchach ponad fosą.

Wreszcie i przez most przejechali, i przez bramę. Wydostali się na ulicę, która biegła prosto ku Rynekowi. Wysoka wieża kościoła Mariackiego, wieża najwyższa w całym mieście, odstoniła się na końcu ulicy.

Zwano ją strażnicą albo hejnalicą, gdyż z niej właśnie każdego ranka i wieczora rozlegał się hejnał wygrywany przez strażnika na trąbce.

— Tośmy już w mieście...

— Ołtarza Wita Stwosza nie zapomnijcie obejrzeć — przypomniał żak, na próżno usiłując nawiązać znowu rozmowę.

— Nie zapomnę — obiecał podróżny.

— A w domu czekają was pewnie? — zapytał jeszcze chłopiec.

— Nie czekają, niespodzianie zjadę.

Szybko przybliżyli się do Rynku. Żak lekko zeskoczył z wozu, podziękował za podwiezienie i znikł gdzieś między domami, podróżny zaś jechał dalej, rozglądając się dokoła. Nagle woźnica szarpnął z całej siły końmi, bo pod samym Ratuszem o jakiś inny wóz zawadzili kołem.

— A bodajże was z taką jazdą! — wrzasnął rozsierdzony do siedzącego na drugim wozie mężczyzny. — Jak nie umiecie jeździć, to piechotą łaźcie!

Mężczyzna nawet nie odwrócił głowy, ale siedząca obok niego

-55-

Явь.

kobieta odchyliła się do tyłu, aż się jej ciemne, kręcone włosy rozsypały na ramiona.

— Szkody wam przecież nie wyrządziliśmy żadnej... — zaczęła, a od jej ■ głosu wysokiego i pięknego, jakby ptak śpiewał, serce nagle zamarło w młodym podróżnym.

— Barbara! — powiedział wyraźnie, bardzo powoli.

— Kasper! — wyszeptała.

Potem krzyknęła na cały głos, na całą ulicę, do siedzącego na wozie mężczyzny:

— Stryju, stryju, Kasper wrócił! Pamiętajcie przecie Kaspra, co do starej szopy przychodził.

Wtedy Kasper zabaczył i Fioła. Ale jego po tylu minionych latach nie poznałby równie łatwo, jak Barbarę: blady był niczym płótno, gorzki grymas czaił mu się wokół warg, oczy miał pochmurne, nikomu nieżyczliwe, drwiące.

Kasper w mgnieniu oka znalazł się przy nich.

— Wróciłem, wróciłem — powtarzał jak w gorączce. — I pieniędzy mam wiele; nie będziecie już mieli kłopotów z papierem na księgi. Jeny inne wybijać będziemy... — dodał z jakimś wahaniem.

Barbara uśmiechnęła się rzewnie.

— ■ Ty nic nie wiesz — powiedziała cicho. — Nic nie wiesz, Kasper.

— Wiem, wszystko wiem — odrzekł prędko. Tyle spraw miał do poruszenia, tyle lat czekał na spotkanie i taki był teraz szczęśliwy, że się wreszcie ono dokonało tak niespodziewanie, w samym środku miasta. — Wiem, że was więziono, ale oto wolni przecież jesteście. Inne księgi odbijać będziemy, skoro tamte złe były. Nie wiedzieliście przecież, że..i

„„

— Wszystko wiedziałem — przerwał mu Fioł szorstko. — Mn.de tam za jedno, jakie księgi, byle zapłata za nie dobra. Teraz koniec z warsztatem, co innego będę robić. Dosyć mam ksiąg wybijania.

Kasper cofnął się od wozu jak ogłuszony.

— Koniec z ksiąg wybijaniem? — wyrzekł, uszom własnym nie wierząc.

— Ty nic nie wiesz, nic nie wiesz — powtórzyła Barbara. — My dziś z miasta jedziemy...

— Co? — wykrzyknął Kasper. — Nie, nie pojmuję. Co robicie?

— Z miasta jedziemy, z Polski. W świat, daleko.

— Dziś? Skinęła mu głowę.

— Już teraz, Kasper. I na zawsze...

Wpatrywał się w nią całą siłą wzroku, jakby w ten sposób chciał zatrzymać. Jakże piękna stała się przez te wszystkie lata... Nad

-56-

i V

podziw! Nawet szaty, bardzo ubogie i zniszczone, nie mogły jej piękności umniejszyć.

I nagle zaczął się śmiać, śmiać jak opętany, takie mu się to-wszystko głupie i dziwne zdało: tych osiem lat u wuja kanonika spędzonych, gdzie go przyuczili do handlu, którego nie znosił, zamiast uczyć snycerskiej roboty; gdzie mu w głowę wbijali, że najważniejsze jest, by stał się bogaty.

A tymczasem...

Oto ma pełen wóz dobytku i trzos pieniędzy pełen — a co mu z tego, skoro na drugim wozie odjeżdża Barbara i Fioł mówiący: „Mnie tam wszystko za jedno... Nie będzie więcej warsztatu...”

— Jedziemy, panie? — spytał woźnica zniecierpliwiony przydługim czekaniem.



— Jedziemy, Barbaro? — spytał Fioł ujmując lejce w dłoń. — Bądź zdrow, Kasper!

— Bądźcie zdrowi... — odrzekł.

I już w ostatniej chwili Barbara, coś sobie widać przypomniawszy, chwyciła jedną ręką lejce, by zatrzymać ruszające konie — drugą prędko, w ogromnym pośpiechu szukała czegoś w fałdach sukni. Wreszcie znalazła i wcisnęła w rękę Kaspra.

— Masz — powiedziała rozedrganym szeptem. — Masz, niech z tobą to zostanie, żebyś pamiętał.

Wóz Fioła ruszył skacząc po rozmokłej ulicy. Kasper długo patrzył za nim, jak wjeżdżał w Grodzką — coraz mniejszy, coraz słabiej turkoczący...

Kiedy znikł z oczu, Kasper siadł na swój wóz.

— Ruszaj! — rzekł do woźnicy.

Wtedy dopiero poczuł, że w rękę ma coś twardego; podniósł do-oczu niewielki przedmiot otrzymany na pożegnanie od Barbary i przez twarz przebiegł mu nikły uśmiech: trzymał oto drewniany klocek z literą wielką oplecioną kwiatem. To mu pozostawiła.

W domu matka radosny krzyk podniosła; Maciej, służba — wszyscy wybiegli na powitanie. Anny nie było, bo za mąż wyszła przed paru laty i mieszkała w drugim końcu miasta.

Ugaszczali powracającego syna i pana, gorącą polewkę piwną przygotowywali, mięswo ze spiżarni wynosili. Służba tymczasem dobytek z wozu wyładowywała, ciężkie toboły znosząc do izby.

Matka postarzała się mocno, wiele zmarszczek jej na twarzy przybyło, ale wciąż trzymała się krzepko i głos miała ten sam co dawniej: ostry, rozkazujący, nie znoszący sprzeciwu, a teraz — i pełen dumy.

-57 -

Jasper, jakież godny! A bogaty! Po rękach kano-i i noc, że ci taką szczęśliwość zgotował — po-■niu.

ę zaczynał na dworze, gdy Kasper wyszedł przed rzymania duszno zdawało mu się w izbie, aterie!

Złotolite! — wołała matka zajęta rozpako-łów, a Kasper słuchając tego jakoś dziwnie smętnie

i szeroko rozpościerała się pachnąca łąka, a daleko l się ciemny kształt starej szopy, w której nie ddaae światło.

— Kasper, Kasper, jakżeś godny! A bogaty! Po rękach kanonika całować dzień i noc, że ci taką szczęśliwość zgotował — powtarzała w uniesieniu.

Już zmierzch się zaczynał na dworze, gdy Kasper wyszedł przed dom: nie do wytrzymania duszno zdawało mu się w izbie.

— Złotolite materie! Złotolite! — wołała matka zajęta rozpakowywaniem tobołów, a Kasper słuchając tego jakoś dziwnie smętnie począł kiwać głową...

Przed domem szeroko rozpościerała się pachnąca łąka, a daleko pod lasem rysował się ciemny kształt starej szopy, w której nie (błyskało już żadne światło.

#### TYPOGRAF JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI

Ungler trzepnął o blat stołu trzymanym w rękach plikiem arkuszy. Pod boki się ujął, nogi szeroko rozstawił; chciał coś powiedzieć, ale tylko parsknął gniewnie parę razy. Siedzący na skrzyni Jan nawet się nie poruszył. Nie od dziś znał Unglera, więc wiedział, że ten łatwo w gniew wpaść potrafi.

— Ja tylko powtarzam, dom słyszał, bo mi się słusznie zdaje, byście to wiedzieli — rzekł spokojnie.

— Wiem ja, gdzieś się mógł nasłuchać tych bezceństw o mojej osobie — Ungler przeszedł parę kroków i zatrzymał się tuż przed Janem. — Wino u Lerna piłeś! Tam ci to ten handlarz obmierzły, co za szynkwasem tylko siedzi, za nic wszelkie księgi i pracę nad nimi mając, rzeczy onych narozpowiadał...

— Nie od siebie rozpowiadał, jeno tak w mieście gadają — wtrącił szybko Jan z Sącza.

— A tyś co rzekł na to? — Ungler wpatrywał się z uwagą w twarz swego najlepszego współpracownika.

— No, cóżeś rzekł? — powtórzył w oczekiwaniu, że Jan przecież musiał zaprzeczyć złym obmowom ludzkim. Nawet za ramię go szarpnął, ale Jan łagodnie dłoń Unglera odsunął.

— Ostawcie, Florianie — powiedział. — Nic im nie rzekłem na to, Ungler wyprostował się, o krok w tył odstąpił; gorzki uśmiech pojawił się na jego twarzy. Już głosu nie podnosił, szeptem zduszonym i syczącym rzucił pytanie:

— Ty? Ty, Janie, któryś tu razem ze mną księgi imprymował, pozwoliłeś, by taka o mnie mowa była? I słowa na to nie rzekłeś?

Jan ze smutkiem pokręcił głową przecząco.

— Nie rzekłem — powtórzył — ale od tej pory, gdym to posłyszał, wciąż jeno mam na myśli, że może to prawda... Wysłuchajcież, Florianie, przecieżeście mąż dojrzały; wysłuchajcie spokojnie i naradzmy się razem...

-59-

— Tedy myślałeś... — powtórzył Ungler, przecierając dłonią czoło, jakby się nagle poczuł zmęczony.

A Jan dalej prawił:

— Wciąż rozmyślam, że może naprawdę nasze druki nie są tak piękne, jako się to obu nam zdaje... może nie bez przyczyny tak gadają. Bo przecież nie pospółstwo, co czytać ni pisać nie jest zdolne, u Lerna przywinie się zbiera, jeno ludzie światli, na Akademii naszej prześwieatnej nauczający... Impresorzy także, a i bibliopo-le, co księgi w narodzie rozprowadzają i różnych o nich głosów słuchać muszą.

Jan z Sącza rozłożył na chwilę swoje długie ręce i wnet znowu splótł dłonie z taką siłą, że stawy w palcach lekko trzasnęły.

— Może prawda, iż mierne nasze druki, jeno my tego sami nie dostrzegamy?

— Moje druki mierne? — głęboki, silny bas Unglera jak grzmot przetoczył się po izbie. — Czyście rozum postradali, Janie? Chyba się wam zmysły pomieszać musiały ód onego wina u Lerna wypitego, że takie mi rzeczy prawicie tu ze spokojem. Czyście zapomnieli, z czyjej oficyny pierwsze w Polsce mapy Nowego Świata wyszły?

— Z waszej — cicho przytwierdził Jan.

— Z mojej, powiadacie. Bo i prawda! Tedy rzeknijcie jeszcze, kto lata bożego 1513 imprymował ów „Raj duszny” — pierwszą księgę w mowie polskiej, by się naród w języku swym wreszcie rozmiłował, nie samą się jeno łaciną posługując?

— Wy, Florianie. Nikt wam zasług

-60-

tych nie ujmuje i nigdy ująć nie zdoła — z głębokim przekonaniem % i wielką żarliwością w głosie podjął Jan — Przez wiek będzie sława wasza szła za oną pierwszą w Królestwie polską księgę!

Ungler nieco złagodniał na wspomnienie księgi.

— Tedy mi o druków moich marności nie gadaj — rzucił krótko.

— Przecie sprawa to zgoła różna, sami wiecie — łagodnie powiedział Jan. — Nie o rzecz w księdze zawartą chodzi, jeno o sposób jej imprymowania. Mało kto zresztą lepiej to od was "pojąć zdoła.

— Powiadali, że pismo niepiękne? — zdumiał się Ungler. — A przecieżem nowe wprowadził, i w romańskim kształcie, jakim nikt tutaj przede mną jeszcze ksiąg nie składał...

— Nie, nie! — zapewnił go szybko Jan. — O piśmie nic nie powiadano ani też o drzeworytach, którymi karty ksiąg krasimy.

— Jeszcze by też! — zupełnie dziecinnie obruszył się Ungler.

Dumny był z tego zdobienia; nawet w głowie by mu się pomieścić nie mogło, że ktoś inaczej, jak z zachwytem, mógłby patrzeć na drzeworyty, wyobrażające różne rośliny, osoby święte czy zwierzęta.

— Więc co? — powiedział nagle bezradnie. — Cóż więc w drukach moich ludziom nie podobać się może?

— Gdybym to wiedział! — zadumał się Jan. — Mnie się one piękne wszystkie widzą; ale może dlatego, że nasze, inaczej patrzę na nie niżli inni...

— I dobrze patrzysz — zapewnił go Ungler.

Był jednak zmartwiony. Gniew mu już minął, został tylko smutek i rozdrażnienie.

— Co tam ludzie! — powiedział nagle. — To nie żadni ludzie plotą, jeno Lern sam wymyślił, aby mi dokuczyć.

Jan wzruszył ramionami; najłatwiej tak właśnie sprawę rozstrzygnąć: szukać jakiejś prywatnej zawiści przeciwko własnej osobie, a nie prawdy, która też się niejednokrotnie w gadaniu ludzi, a zwłaszcza świątłych, kryć mogła.

Ale trudno było wspomnieć o tym Unglerowi, bo się znów gniewał, nie mogąc znieść słowa krytyki o swojej pracy. Dwanaście lat już dobiegało, jak Ungler zaczął imprymować w Krakowie, i pysnił się tym wielce, że po Janie Hallerze, najstarszym impre-sorze tej doby, on jest najprzedniejszy. I był zapewne. A może... nie?

Mimo dużego przywiązania do Unglera Jan zaczął zastanawiać się nad tą sprawą, a wśród tych rozważań wciąż jedno nazwisko

-61-

Sam nie wiedział, jak się to stało, że

-

■ się stanie: Ungler poderwie się

ny, jakby kto najgłębszą tajemnicę

d wszystkimi, może nawet

de odstonił.

pytał niby spokojnie, ale

dawało się teraz, że po-

ia... i Ungler, Florianem /ybył do Krakowa — jakże iym, z całym poczuciem

Wietor może kiedyś poło-

z nie mnie się z nim

„\_\_\_\_ mi -fie przyjąć by tia-

. tych słowach.

i stronie, Florianie — cicho

Inie pewny. Ale nie chciał ykra mu się wydawała, eała dostojność: siadł przy stole, ; gdzieś, przed siebie, prosto kobierzec nie wisiał.

tzał-

uparcie mu na myśl wracało. Sam nie wiedział, jak się to stało, że nagle wyrzekł je głośno:

— Wietor, Hieronim Wietor...

Zanim skończył, już wiedział, co się stanie: Ungler poderwie się rozczzerwieniony, zgorączkowany, jakby kto najgłębszą tajemnicę jego serca, starannie ukrywaną przed wszystkimi, może nawet przed sobą samym — jakby ktoś ją nieopatrnie odsonił.

— Cóżeś o Wietorze chciał rzec? — zapytał niby spokojnie, ale w jednej chwili twarz mu się ściągnęła; zdawało się teraz, że policzki ma zapadnięte.

— Tyle jeno, że z nim naradzić by się można...

Jakże godnie wyglądał w tej chwili Florian Ungler, Florianem Bawarem zwany, jako że z Bawarii przybył do Krakowa — jakże dostojny był, gdy głosem wielce poważnym, z całym poczuciem swej wyższości, wyrzekł:

— Nie przeczę ja, że onże Hieronim Wietor może kiedyś położyć zasługi w ksiąg imprymowaniu, jeno teraz nie mnie się z nim naradzać, Janie z Sącza, ile jemu po radę do mnie przyjąć by należało.

Długa chwila milczenia zaległa po tych słowach.

— Może i słusność jest po waszej stronie, Florianie — cicho powiedział Jan, chociaż nie był tego zupełnie pewny. Ale nie chciał już przedłużać dysputy; nazbyt przykra mu się wydawała.

A Unglera jakby nagle opuściła cała dostojność: siadł przy stole, głowę podparł dłonią i zapatrzył się gdzieś przed siebie, prosto w ścianę, na której nawet żaden kobierzec nie wisiał.

Więc Jan podniósł się cicho i już słowa nie rzekłszy wyszedł z komnaty. Zdało mu się, że w tej chwili trzeba Floriana Bawara samego zostawić, by nabrał spokoju przebywając tak wśród ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu kołatkami miejskich strażników, ogłaszających godzinę nocnego spoczynku.

O Unglerze wielu słyszało w Krakowie, o Janie Hallerze słyszał każdy. Jedni wychwalali go pod niebiosa, inni zaś usiłowali umniejszać zasługi, czy dlatego że im się tak znowu wielkie nie wydawały, czy też przez zwykłą zazdrość, iż sami nic podobnego nie umieli zrobić.

— ...że oficynę w Krakowie założył, to i co? Przed nim też u nas książki imprymowano.

Zwolennicy Hallera z miejsca podejmowali:

— Przedtem? Przedtem byli tu tylko niestali impresorzy; Haller pierwszą stałą oficynę założył.

I .

-62-

— Bo mu przez to dochody rosły...

— Dochody nie umniejszają zastug.

— Pewnie, że pieniędzmi nie gardzi, lecz przednie książki sprowadza z zagranicy do swej księgarni. Bo i to rzecz należy, że nikt inny, tylko właśnie Haller pierwszy w kraju założył stałą księgarnię.

Potem zazwyczaj szły wspomnienia, jak to było z utwaleniem sztuki impresorskiej, bo przecież — wszyscy o tym wiedzieli — Haller nie był z zawodu typografem i musiał mieć dobrych fachowców do pomocy. Któż to więc u niego pracował?

— Najpierw Hochfeder.

— Potem oficynę Hallera Wolfgang Lern prowadził; później; Ungler...

— Jednak Ungler wolał w końcu mieć własną oficynę niż u Hallera pracować.

— Pewnie, Florian Bawar to typograf jak się patrzy, a Haller prócz ksiąg...

— Na winie się zna znakomicie, a i wołami równie dobrze, jak winem handluje.

Wcale niełatwo było określić Jana Hallera: czy impresor, czy handlarz winem i wołami; czy księgami się zajął, bo mu specjalnie były miłe, czy też dlatego został bibliopola, żeby sobie kiesę nabijać złotem. W każdym razie król Zygmunt uznał, że Haller za założenie stałej księgarni i oficyny powinien być uhonorowany, i obdarzył go przywilejami. Teraz Haller był już stary i nieczęsto wychodził z domu. Najchętniej przesiadywał w fotelu wyłożonym miękkimi poduszkami, wyglądając sobie przez uchylone okno, jeśli nie było zbyt chłodno, lub gawędząc z gośćmi, którzy go czasem odwiedzali. Lubił gości, zwłaszcza gdy przychodzili po jakieś rady. Lemowi tłumaczył, doradzał:

—■ Wino z Węgier sprowadzaj, najlepiej się to opłaca. Zapłacisz niewiele, zarobisz dużo.

Unglerowi o księgach przedkładał:

— Po coś tę księgę w polskim języku imprymował? Dla kogo ona? Pospółstwu ksiąg nie trzeba. Tylko łańskie księgi dawaj,, wszystkie rozprzedam. Sam sobie oblicz: co ci ta polska księga dała? Jeszcześ do niej musiał dołożyć...

Słuchali go, potakująco kiwali głowami — Lern z całym przekonaniem, Ungler przez szacunek dla wieku, bo mimo najdokładniejszych obliczeń i przestróg nigdy sobie nie umiał radzić z groszem.

Wietor też czasem przychodził, ale Wietor o żadne rady Hallera nie prosił.

Pewnego dnia Haller siedział w swoim fotelu obłożony rachun-

-63-

kami i czynił jakieś obliczenia, gdy sługa mu właśnie Wietora zapowiedział.

— Witajcie, Hieronimie, rad was widzą! — wyciągnął dłoń na powitanie.

Przybyły skłonił się wytwornie, kładąc na sercu lewą rękę. Był wysoki, postawny, odziany dostatnio, chociaż niebogato — nie w brokaty i złotogłowia czy nawet aksamity. Szaty miał z niderlandzkiego sukna w spokojnych, pięknie harmonizujących ze sobą kolorach. Klejnotów nie nosił żadnych oprócz zawieszzonego u szyi łańcucha, niezwykle misternej roboty.

Haller, który kochał się w klejnotach i futrach, z lekkim współczuciem spoglądał na gościa, myśląc, że źle mu się chyba dzieć musi, skoro nie może sobie pozwolić na zbytek.

— Jakże się wam oficyna rozwija? — spytał, zapraszając gestem, by Wietor spoczął na stojącym obok, fotelu. — Widziałem księgi, które imprymujecie: wielu wierzyć nie chce, że takie spod krajowych pras wychodzą.

— Rad byłbym, gdyby zagranicznym nie ustępowały, a i kiedyś przewyższyć je mogły — żywo zapewnił Wietor, siadając na wskazanym miejscu.

Haller jednak zaraz go przygasił:

— Nie dufajcie zbyt swym siłom, a i sądom ludzi nie znają cych się na rzeczy, bo po prawdzie polskim księgom do zagranicznych daleko. Tak znów pięknie imprymować zdolni nie jesteśmy

— Skromniście! — z półuśmiechem wtrącił Wietor. — Ja b raczej swym siłom ufam, a i zamiary na przyszłość mam dość sze

rokie...

Mimo że nie pytany, Haller jednak nie mógł się powstrzyma'

by jakiejś rady gościowi nie udzielić:

— Moglibyście, Hieronimie, większe nakłady swych ksiąg di

wać.

— Pięćset egzemplarzy ostatnio bijemy.

— Próbowaliście więcej? ' "

— Próbowiałem — skinął głową Wietor — ale nie jest to dobi drewniane klocki z inicjałami czy drzeworytami ścierają się.

Haller zamyślił się chwilę, potem rzekł szybko:

— Nic by to właściwie nie zaszkodziło nikomu, gdybyście j< nak nakłady powiększyli. Może księga niezbyt piękna będzie, prawda, lecz dochodu wam przyczyni...

— Kiedy mnie nie o dochód idzie — łagodnie wtrącił Wietor a widząc, że brwi Hallera uniosły się z niedowierzaniem w g< dodał: — Nie o dochód. O księgę idzie, by była prawdziwie pię i czysto wybijana.

-64-

Ten jego spokój i dziwne postawienie sprawy wyprowadziły z równowagi starego Hallera. Zagrzmiał, jakby przemawiał do nierozważnego młokosa, a nie do gościa, któremu według dobrego obyczaju winien był należną uprzejmość.

— Wyście młodszy i doświadczenia nie macie, przeto sobie bogactwa nie lekceważcie i nie usiłujcie wynosić się w tym ponad innych, którzy je niemałym trudem potrafili zdobyć.

Jakże go ten Wietor drażnił! Wszystkim drażnił — ruchami pełnymi powściągliwości, spokojnym głosem i tym swoim mądrym, a jednocześnie wyrozumiałym spojrzeniem, które wyraźniej niż słowa zdawało się mówić: „Przyjacielu, nie pojmujesz tego, że księga bardziej bliska może się stać człowiekowi niżli pieniądze. Żal mi cię, przyjacielu...”

— No i cóż mi rzekniecie? — szorstko spytał stary.

— Gdym przeszłych lat tu w te strony Polski przyszedł — odrzekł Wietor, jakby budząc się z zamyślenia — to nie dla chciwości bogactw albo mienia, ale więcej dla czci a sławy pospolitej tego sławnego Królestwa Polskiego...

Nie dokończył. Pojął nagle, że przecież ani jedno z tych słów nie trafi do Hallera. Nie czuł zresztą o to żadnych pretensji do niego, że myśli inaczej: jedni ludzie są tacy, drudzy inni. Kto wie, czy tych innych, takich właśnie jak Haller, nie jest więcej.

— Skoro tak za nic wszelkie bogactwo macie, jeno wam cześć Królestwa w głowie, to może jeszcze byście księgi w polskim języku imprymować zaczęli... — nie mógł się powstrzymać od złośliwości Haller.  
— Ungler próbował, jeno że już mu się chyba odechciało.

— Zali rzekł tak w istocie? — zdumiał się Wietor.



— Nic nie rzekł, ale rady mojej najpewniej usłucha.

— Tak sądzicie?

— I swego pewniejszym być nie mogę.

Wietor podniósł się z fotela. O nic już więcej nie pytał, tylko za gošcinę podziękował, za wino. Jeszcze Hallera o zdrowie zagadnął, ale stary był rozeźlony tą całą rozmową i chociaż dziś właśnie czuł się nawet nieco lepiej niż zwykle, to jednak burknął:

— Niedługo już mi życia, niedługo. Królewska łaska i zaszczyty rychło na innego przejdą. Daj Boże, by się jeno godnemu typo-grafowi dostały.

Wietor złożył niski, uprzejmy ukłón, nie tracąc ani na chwilę spokojnego wyrazu twarzy.

Haller zmarszczył siwe, krzaczaste brwi i spojrzeniem odprowadził gošcia aż do progu.

Wyszedszy Wietor odetchnął pełną piersią. Odwiedzanie starego zawsze mu się zdawało nieco nużące. Ciekawe, czy też Haller nigdy o niczym nie marzył sobie? Czy zawsze wszystko tak kalkulował, obliczał? Przecież dokonał wielu znakomitych rzeczy: księgarnię założył i nadal prowadzi; oficyny wprawdzie obecnie własnej już nie ma, ale u obcych nakłady zamawia; pierwszy młyn papierniczy na Prądniku czyjże jest, jak nie Hallera? Czyżby tylu wspaniałych rzeczy dokonał jedynie dla zysku? Mało to prawdopodobne...

Stado siwych gołębi uniosło się nad Rynkiem i przefrunęło koło wieży Mariackiego košciół, znikając przy szarej kamienicy. Wietor zatrzymał się i patrzył na nią przez czas dłuższy, bo powiadali ludzie, że w niej podobno mieszkał Szwajpolt Fioł, gdy na stare lata powrócił do Krakowa, by w nim już życia dokonać.

„I dobrze mu we świecie było, i wszystko miał, czego mu trzeba, a przecie rzucił dom tamtejszy i tu wrócił”. Tak się zazwyczaj kończyła gadka o Szwajpolicie Fiolu. Hieronim lubił ją ogromnie i wcale mu się niedziwne wydawało, że człowiek mógł tęsknić do Krakowa.

Sam równie mocno tęsknił, gdy przebywał przez szereg lat w Wiedniu. A przecie dobrze mu się tam działo, może nawet lepiej niż tu teraz: dom miał dostatni i własną oficynę. I piękne księgi imprimował. Zaczynały być sławne w Wiedniu i dalej jeszcze, gdy... gdy Hieronim dostał pismo od Marka Szarffenberga, by jednak wracał do Krakowa.

Aż mu zapachniało wtedy krakowskie powietrze tam, w dalekim Wiedniu. Niemal poczuł na twarzy ostry wiatr wiejący od Wisły, zobaczył misternie złotem wieńczoną wieżę Mariackiego košciół, usłyszał znaną melodię hejnału.

-66-

I nie pomogły perswazje żony i dzieci, że z pewnością na gorsze jadą, że właściwie dlaczego, że po co...

Hieronim załadował dobytek na wozy i ruszył do Krakowa.

Jeszcze dziś pamięta, jaka to mgła otulała miasto, gdy przyjechali .

Rozmyślając tak, przypominając sobie to i owo, nie zauważył nawet, że właściwie zboczył z drogi i znalazł się wśród ciżby ludzi w okolicy Wawelu. Schodzili się zewsząd, niemal z całego miasta, i Wietor uprzytomnił sobie nagle, że to przecież dziś na zamku: miała być niezwykła uroczystość: zawieszenie wielkiego dzwonu, ofiarowanego miastu przez króla. W tłumie wszyscy o tym mówili:

- Z dział na Wołochach zdobytych jest ulany.
- Drugiego tak wielkiego nie masz w całym kraju.
- Prawda to, że Zygmuntem ma być nazwany od królewskiego imienia?
- Cichajcie, cichajcie: dzwoni!

Ludzie zamilkli, podnieśli głowy. Pierwszy dźwięk wielkiego dzwonu ledwie musnął miasto i jakby cały uleciał gdzieś ku dalekim Tatom, by odbić się od ich granitowych ścian i powrócić zwielokrotnionym echem.

Wietor czuł, jak ogarnia go wzruszenie. Prawda, że był jeno wmieszkanym Polakiem, nie zaś tu urodzonym, lecz młodość spędził w Krakowie, nauki w nim pobierał. I to miasto było jego miastem, a ten rozkołysany dzwon, który grał już teraz rozgłośnie swą poważną, uroczystą melodię, wydawał się brzmieć jakimś szczególnym tonem, bardzo bliskim i bardzo polskim. f — Sławę oręza naszego głosić będzie po wsze czasy! — wyrzekł głośno ktoś w tłumie głosem nienaturalnie podniosłym.

Odpowiedział mu ktoś inny, z leciutką drwiną:

- Tak że to sądzicie, iż jeno w oręzu sława Królestwa Polskiego największa?

Wietor odwrócił się gwałtownie, by ujrzeć pytającego.

I tak oko w oko stanęli naprzeciw siebie z Unglerem.

Nie pierwszy raz widzieli się; sprawy tego samego zawodu zmuszały ich czasem do spotykania się. Ungler jednak ostatnio nie starał się taić, że szczególnie przyjaznych uczuć do Hieronima nie żywi. Czynione przez Wietora próby nawiązania bardziej przyjaznej rozmowy niweczył zazwyczaj paru uprzejmymi wprawdzie, ale krótkimi zdaniem, po czym odchodził. Przyczyny tego Wietor nie umiał sobie wytłumaczyć.

Teraz, mimo wszystko, zapragnął jeszcze raz próbę ponowić.

Wysoko — dogasał głos wielkiego dzwonu... Jakąż to więc sławę Królestwa Polskiego miał on głosić?

-67-

Wietor szybkim krokiem zbliżył się do opartego o mur Unglera.

— By nie w orężu jeno sława Królestwa była, umyśliłem ja waszym wzorem, Florianie Bawarze, księgi mową polską imprymować, by się Polacy w mądrości mnożyli, tym nade wszystko sławy krajowi swemu przydając.

Jan z Sącza domyślił się, że Ungler chciał mu coś powiedzieć, nie rozumiał tylko, dlaczego z tym zwleka. A sprawa pewnie była ważna, bo Florian Bawar wydawał się wzburzony. Jan raz i drugi spojrzął na niego, ale nie przynaglał do mówienia. Spokojnie czekał.

Doczekał się wreszcie, mimo że trochę czasu minęło, zanim Ungler rzekł krótko:

— Wietor księgi w mowie polskiej chce imprymować.

Jan, który właśnie pochylony nad prasą coś w niej naprawiał, wyprostował się, upuszczając z ręki dłutko; z brzękiem potoczyło się po podłodze.

— Namówiliście go do tego?! — wykrzyknął. — Wiem, namówiliście! Pięknej tedy rzeczy dokonaliście, Florianie!

Na te słowa Ungler zamrugał parę razy powiekami, potem otworzył szeroko oczy, wzrok gdzieś w bok skierował i nie wiedzieć czego nachmurzył się mocno.

— A i tak jam to pierwszy mową polską imprymował — rzekł w końcu takim tonem, jakby Jan nie wiedział o tym lub zwątpił i trzeba mu było koniecznie ową ważną sprawę przypomnieć.

— Będzie was dwóch, najlepszych typografów krakowskich...\*

— Przestańcie, Janie! — krzyknął niespodziewanie Ungler. — I mnie do Wietora nie równajcie, bo i zasługi jego moim jeszcze nie dorównały.

Teraz dopiero Jan pojął, czemu to daremnie radości szukał w Unglerze, gdy mu ten o postępowaniu Wietorowym wieść przyniósł: nie o księgi tu chodziło, ale, by się z czasem zasługi ich obu nie stały równe...

— Florianie! — wykrztusił takim głosem, jakby prosił: „Florianie, nie bądźcie takim...”, ale Florian Bawar wyszedł nagle z izby, z hukiem trzasnąwszy drzwiami.

Jan schylił się po leżące pod stopami dłutko, podniósł je, obrócił parę razy w palcach, pokiwał głową. A potem nagle ze złością precz dłutko od siebie odrzucił i wyszedł, ale nie do drugiej izby, skąd dolatywał głos niespokojnych kroków Unglera, tylko do miasta.

Dość długo krążył bez celu po ulicach, aż wreszcie, gdy późny

-68-

zmierzch wiosenny na miasto począł opadać wraz z drobnym, ciepłym deszczem, skierował swe kroki ku winiarni Wolfganga Lerna. Spodziewał się, że może jeszcze o tej porze będzie tam pusto, gdyż ludzie

nieco później zwykli przychodzić na wino. Niewiele też się pomylił, bo jeden tylko mężczyzna siedział przy stole, dumając

O czymś nad stojącym przed nim kielichem. Głowę miał opuszczoną i Jan nie od razu go poznał. Dopiero gdy tamten się wyprostował, biorąc w dłoń kielich i pod światło go przez chwilę trzymając, by oczy ucieszyć złocistym kolorem szlachetnego trunku, Jan spostrzegł, kogo ma przed sobą.

1 choć w pierwszej chwili chciał się cofnąć, przecież — nie wiedzieć jaką siłą wiedziony — podszedł bliżej ze słowami:

— Pozwolicie, że przy was spocznę, Hieronimie?

Wietor, nie umoczywszy ust w winie, odstawił kielich.

— Rad będę pogwarzyć z wami — rzekł dwornie.

Patrząc teraz w ujmującą twarz Wietora, w jego ciemne oczy, pełne spokoju i pobłażania, słuchając głosu, w którym nie drżała żadna nuta gniewu czy zniecierpliwienia — Jan nie wiadomo zresztą który już raz zdumiewał się, że Ungler tak nierad widzi przybyłego z Wiednia typografa.

Wietor tymczasem skinieniem dłoni przywołał usługującego w winiarni pachołka, każąc mu jeszcze przynieść wina.

— Pono chcecie księgi polskie imprymować — rzekł Jan i dodał: — Florian Bawar wspominał o tym...

— Umyśliłem tak sobie — potwierdził Wietor. — Już jedną nawet za dni parę składać zacznę w mojej oficynie: Jana z Koszyczek dzieło o rclSmowach króla Salomona z Marchołem.

Wyrzekł to jakoś po prostu, jakby się dzielił z Janem dobrą nowiną. I Jan tak właśnie tę wieść przyjął.

— Ale żeście księgę taką dostali! — zdziwił się tylko. — Niechętnie tu ludzie w polskiej mowie piszą, w łacinie bardziej zwyczajni.

Wietor głową skinął i ręce gestem pełnym frasunku rozłożył.

— Będąc ja wmięszkanym, a nie urodzonym Polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój przyrodzony miłuje, szrzy, kras i poleruje, czemu sam polski naród swem gardzi...

Jan żywym ruchem podniósł kielich w górę, ale nie patrzył, jak światło w winie się mieni, tylko w twarz Wietora, która mu się wydała bardziej niż wino rozświetlona.

— Tedy wy, Hieronimie, pomożecie język nasz polerować, naród nasz miłowania jego będziecie przyuczać.

Także Wietor kielich swój uniół, skłaniając lekko głowę przed Janem.

— Jam tu nie jedyny impresor w grodzie krakowskim, sami <o tym najlepiej wiecie, Janie, ale to wam rzec mogę, że wraz z innymi prasować będę z pilnością, ażeby się też język polski szy-rzył...

Kielich swój spełnił, a Jan też samo ze swoim uczynił, myśląc, jakby się Ungler dziwił i nadziwić nie mógł, gdyby wiedział, że oto obaj tu teraz siedzą i za jego dobrą pracę złote wino piją.

A może nie byłby zadowolony?

Jan rozejrzał się dokoła, szukając wzrokiem pachotka dla ponownego napełnienia kielichów, ale że nigdzie chłopca nie zobaczył, wstał i podszedł do Lerna, by wprost u niego wina zamówić. Gruby Lern, czerwony i opasty, powitał go uniżenie.

— Widzę, w dobrej komitywie już jesteście z mistrzem Hieronimem, chociaż Ungler nierad go widzi...

— To i co? — zachnął się Jan, którego dziwnie raził przymilny głos winiarza.

Ten zaś gruby palec podniósł w górę i wąskie oczy zmrużył, aż się niemal całkiem skrył za fałdami skóry; cmoknął parę razy, uśmiechnął się chytrze.

— Ja tam nic nie rzekłem. Przeciwnie nawet, Janie z Sącza, widzi mi się, że dobrze czynicie w przymierze z Wietorem wchodząc.

-70

Powiadają przecie że ani chybi po Hallerze on obdarzony przywilejami zostanie, a może i typografem Jego Królewskiej Mości będzie. Zawsze to wam się przyda mieć wysoko stojącą osobę w bliskiej znajomości. Niejedna korzyść wypłynąć z tego może...

Nie wino, ale krew chyba wszystka uderzyła nagle Janowi do głowy, gdy wyrzekł przez zaciśnięte zęby, zbliżając swoją twarz do czerwonej twarzy Lerna:

— Czyście rozum postradali? Ja z Wietorem o księgach gadałem.

Niepięknie to było, że nie wrócił już do Wietora, tylko bez pożegnania wyszedł z winiarni.

Wróciwszy do warsztatu chwilę stał, rozglądał się wokół, zatrzymując wzrok na kasztach, prasie i innym naczyniu do druku potrzebnym. Potem schylił się, podjął dłutko z podłogi i zabrał się do naprawiania prasy.

Łatwiej było się w niej rozeznąć niżli w zamiarach i myślach równo swoich, jak i cudzych. Ale jakiegokolwiek by te myśli być miały, zanim wczesny ranek zaświta nad Krakowem, prasa musi gładko i sprawnie opadać, by farbę, którą będzie pismo powleczone, równo odbić na białych arkuszach papieru.

I zaczęło się. Zaczęło się gadanie — szło niemal po całym Krakowie, a każda plotka rodziła się stale w jednym miejscu: u grubego winiarza Lerna. Ten już wszystkim, kto chciał słuchać i kto nie chciał, rozповідаł szeroko, że Florian Bawar coraz mniejsze znaczenie ma w ksiąg imprymowaniu, że go Wietor w każdym względzie znacznie wyprzedza. Zaś ludzie wiadomości te z ust do ust podawali, sami od siebie dorzucając to lub owo, co nierzadko nic z prawdą wspólnego nie miało.

Więc szła gadka przez miasto, że druk „Rozmów, które miał król Salomon z Marchołem...” rychło w Wietorowej oficynie będzie ukończony, że księga zdobiona będzie rzadkiej piękności drzeworytami.

Szła gadka, aż dotarła do Unglera niby niewinnie podana, niby wraz z dobrą radą przyjacielską:

— ■ Cóż wy, Florianie? Spokojnie patrzycie, jak tu Wietor prym pośród impresorów wieść zaczyna? Weźcie pod prasę księgę jaką przedniejszą niżli ów „Salomon”, by się jeszcze przed nią ukazała. Nie zdołacie, Florianie Bawarze?

Niewiele czasu minęło, a i do Wietora dotarła wiadomość.

— Pozazdrościł wam Ungler waszej księgi polskiej, bo już w oficynie swej obaj z Janem z Sącza zabrali się do imprymowania pisanego polską mową „Żywota Pana Jezusa Krysta”. Baczcie, Hie-

-71-

ronimie, by piękniej ta rzecz nie wypadła niżli wasz „Salomon”. Wyprzedzić się nie dajcie.

Lern to rzekł jednego wieczoru z uśmiechem usługowym, jakby jedynie dobro i sławę Wietora miał na względzie.

Hieronim ani drgnął. Nie pokazał po sobie zniecierpliwienia, chociaż mu ta mowa obrzydła się zdała. Powoli, spokojnie — jak zwykle — przyjrzał się grubemu wi-niarzowi i tonem lekkim, niby od niechcenia, rzucił pytanie:

— Prawda to, co powiadają ludzie w Krakowie, żeście po odejściu od Hallera do spółki z Unglerem, kiedy ten już usamodzielnic się zdołał — oficynę prowadzili przed laty?

Lern się trochę zmieszał, nie wiedząc, do czego Hieronim zmierza. Zanim dał odpowiedź, postawił dwa kielichy i wino w nie łań długo, z namysłem.

— Najprzedniejsze, z Węgier sprowadzone — rzekł. — Nie podaję tego w winiarni, dla najgodniejszych jeno trzymam. O coście to raczyli pytać, Hieronimie? O spółkę moją z Unglerem? Była ona, ale niedługo trwała; pieniądze swoje włożyłem, bo ich Ungler przecie nie miał — zaśmiał się. — I dziś nie ma! Nigdy chyba mieć nie będzie... Za waszą pomyślność, Hieronimie! — podniósł w górę kielich.

— Tedy czemuście te swoje pieniądze wycofali z Unglerowej oficyny? — Wietor swego kielicha nie ruszył.

Lern zdumiał się pytaniem: czemu wycofał? Bo dochód był słaby z tych ksiąg! Ungler się szastał, jakieś ulepszenia wciąż chciał robić, pismo nowe sprowadzał, inicjały... Ileż to pieniędzy poszło na darmo!

— Widzicie, Hieronimie, lepiej opłaca się handlować winem.

— Tak — Wietor pogładził długimi pal-

cami swą ciemną brodę, w której już tu i ówdzie poczynały prze-błyskiwać srebrne nitki. — Tedyście porzucili księgi...

— A pewnie! — wzruszył ramionami winiarz. — Pijcie, Hieronimie!

Ale Wietor mimo zaprosin nie ruszał kielicha, natomiast przechylił się, by Lern każde jego słowo mógł słyszeć i dobrze sobie wbić w pamięć.

— Postuchajcie tedy, Wolfgangu Lerne, co wam rzeknę. Wy, coście ksiąg imprymowanie porzucili, nie ośmielajcie się dłużej języka strzępić osobą Unglera ni moją, bo winem handlowanie inna to rzecz zgoła od ksiąg prasowania. Wino, chociaż trunek przedni, cóż... jeno w głowie szumi. A księgom, widzicie, Wolfgangu, księgom — miłowania potrzeba! Tedy kto ich nie miłuje, niechże się lepiej w to nie miesza, by nie zaszkodził sprawie, której wagi pojąć nie jest zdolny...

Rzadko kiedy Wietor wygłaszał tak długą mowę i tak zarazem bez wiary, że się ona może na coś przydać. Nie mógł jednak ścier-pieć, by wciąż ich obu z Unglerem stawiano przeciw sobie niby rywali. Głupie mu się to zdawało i tylko nikczemnych umysłów godne.

Wychodząc z winiarni Wolfganga Lema, Wietor postanowił sobie nigdy już tam więcej nie zachodzić.

Czy się to komu podobało, czy nie, cyfry same powiedziały więcej niżli bajdurzący nad kielichami ludzie. Powiedziały Janowi Hallerowi, gdy się zabrał swoim zwyczajem do skrupulatnego obliczania dochodów płynących z księgarni: kiedy, od kogo i jakie księgi brał do rozsprzedaży. By jaśniej się w rzeczy rozeznąć, zrobił sobie cały wykaz, z którego wynikało niezbitie, że z wszystkich ksiąg, w Krakowie podówczas wydanych, ni mniej, ni więcej, tylko aż jedna trzecia wyszła z oficyny Wietorowej. Nawet Unglerowi trudno było z taką ilością się równać, mimo że tłoczył przecież dzieła uczone i nie dla byle kogo, ale dla prześwieatnej Akademii Krakowskiej: matematyczne, astronomiczne, inne jeszcze.

Wietor bowiem wypuszczał nie mniej ważne, bijąc przy tym duże nakłady, które rozchodziły się z niezmierną szybkością. Nie darmo drugą prasę sobie sprowadził, a i o trzeciej już przebąkiwał.

Rozmyślając o tym, Haller aż cmoknął z niedowierzania: jakże się ta oficyna Wietorowa rozrasta! Sławna na cały świat oficyna Roberta Estienne'a w Paryżu miała pras pięć, a tu, w Krakowie\* u Wietora, już niezadługo będą trzy.

No i druki jego...

-73-

Haller nie lubił Hieronima, musiał jednak przyznać, że wychodzące z Wietorowej oficyny druki są znakomite.

I nie wobec kogo innego to nawet przyznał, ale wobec Unglera.

— Przyjrzyjcie się sami, Florianie Bawarze...

Położył na stole przed Unglerem dwie książki. Obie były niewielkie, zgrabne, lekkie i wygodne do przenoszenia. Obie w podobnych oprawach.

Jakże dobrze znał Florian tę swoją, każdy w niej drzeworyt, każde niemal słowo. Mimo że tak znał, otworzył ją i otworzył także tę drugą. I druga nie była mu obca; widział tę książkę nieraz, bez czytania mógł powtórzyć wydrukowany w niej napis: „Wybijano w Krakowie przez Jeronima Wietora. Lata Bożego 1521” i tytuł: „Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marchottem...”

Ale musiało teraz coś uderzyć Unglera w tych księgach, gdy tak leżały rozwarte tuż obok siebie, bo nagle odsunął niecierpliwie obie.

— Nie czas mi na oglądanie. Do oficyny śpieszyć muszę. Haller pokiwał głową, ale nie zatrzymywał gościa, może tylko

żegnał go serdeczniej niż zwykle.

A tymczasem nowa gadka szła po mieście: Wietor już następną księgę polską wydaje, i to nie byle jaką — samego Biernata z Lublina „Żywot Ezopa Fryga z przypowieściami jego”. Stary Haller wszakże nie był pewien, czy wieść tę uznać może za prawdziwą. Jednak prawda to była, dla jednych może niemiła, dla innych zadziwiająca, radosna zaś wielce dla całej Wietorowej oficyny.

Uwijali się też przy tej robocie wszyscy z jednakowym żarem: i składacze, i prasowacze, i czeladź pomocnicza. Dziesięciu już ich było w warsztacie, bo każda prasa kilku ludzi do obsługi potrzebowała. Stały obok siebie te prasy, jedna stara, druga nowa, nie tak dawno dopiero sprowadzona. Obie drewniane, z dwóch płyt się składające: dolnej, która dawała się wysuwać, by można było położyć na niej drukarską formę, i górnej przyciskającej papier, gdy się śrubę przykręciło. Wokół nich uwijali się ludzie, zaglądając wciąż do tekstu, bo im się wydawał wielce mądry i ciekawy. A Wietor przechadzał się bacząc na wszystko.

— Bez pośpiechu działajcie, ale z rozważą — pouczał. — Księga ma być wypracowana nie tylko przez tego, co ją pisał, ale w równej mierze przez impresora.

Czeladź kiwała głowami, składacze potakiwali, jeden tylko z pracujących wpatrywał się w Wietora, gdy ten rozprawiał o książce imprimowaniu — wpatrywał się wzrokiem aż pociemniałym z napięcia. I Wietor, nie zdając sobie z tego sprawy, do niego się też najczęściej zwracał.

-74-

— Cóż stąd, że drzeworyt jest piękny, jeśli się na papierze nieczysto odbije — powiadał. — Ludzie księgę będą przecie oglądać, nie klocek drewniany, snycerską robotą rzezany.

Wietor dawno to zauważył, że ów pracownik jakimś specjalnym ruchem bierze w ręce zadrukowane arkusze, jakby w nich trzymał rzecz niezmiernie cenną. Papier też oglądał zwykle z wielką uwagą, uśmiechając się przy tym kącikiem ust, gdy mu się zdał dobry. Był to człowiek niezbyt rozmowny, cały w swoją robotę wpatrzony.



— Wy kiedyś będziecie dobrym typografem, Łazarzu Andryso-wicu — rzekł mu raz Wietor.

— Nie lepszym niżli wy, Hieronimie — odrzekł Łazarz, lecz bez zazdrości, raczej z podziwem.

Może by i więcej coś rzekli sobie wtedy, ale jedna z córek Wietorowych wpadła wołając:

— Panie ojcze! Z Węgier jakowis do was przybyli. Chcą, byście dla nich księgi imprintowali...

Więc Wietor pośpieszył, by zagranicznych gości przyjąć, sprawę z nimi ugadać.

Skoro tylko wyszedł, zaraz gwarzyć wszyscy poczęli.

— Oj, patrzcie, ludkowie mili — zakrzyknął składacz — jakie ci to pisanie Biernata z Lublina! Oj, nie darmo, ludkowie mili, tak się ta księga podoba Wietorowi...

Łazarz porzucił na chwilę prasę, przybliżył się do składacza i długo tekst odczytywał, a w miarę czytania twarz coraz bardziej mu się rozpromieniała.

— Czekajcie — skinął dłonią — w polskiej mowie to pisane, więc sam korektę zrobić zdołam. Niechże Wietor arkusz zobaczy, gdy już całkiem dobrze będzie odbity.

Późnym wieczorem dopiero, gdy się już zupełnie ściemniło, a czeladź i składacze rozeszli się do domów, przyniósł Łazarz Wietorowi owe już wydrukowane arkusze.

— Patrzcie, Hieronimie, jakby dla was to pisane.

Hieronim wziął arkusz w ręce, długo mu się przyglądał, nozdrzami nawet lekko ruszył, rozkoszując się zapachem świeżej jeszcze farby. Powoli tekst odczytał — głośno, każde słowo z lubością wielką wygłaszając:

9

Kto 7nituje księgi, nie miewa teskności...

— Jakby dla was to pisane — powtórzył cicho Andrysowic.

— Jednako chyba dla mnie, jako i dla was, Łazarzu — odrzekł Wietor.

Wstał, rękę lekko położył na ramieniu Andrysowica. Nic do sie-

-75-

bie nie mówili więcej; twarze nawet swych już nie bardzo rozeznawali, bo ciemność wieczorna za oknami zapadła, a świeca nikle tylko izbę rozjaśniała.

Zadumali się obaj przez dłuższą chwilę, aż Wietor myśl swą dokończył:

— ...i więcej jest chyba ludzi księgi miłujących, a jeśli nie — dodał, widząc przeczący ruch głowy Łazarza — jeśli i nawet nie jest, jako rzekłem, tedy naszą, impresorów, jest rzeczą uczynić, aby tak było.

W ciemności poczuł, jak zwisająca dłoń jego została ujęta w mocny, przyjazny uścisk dłoni Andrysowica.

Tak więc rok 1522 prócz wyszłego z Unglerowej oficyny „Żywota Pana Jezu Krysta” przyniósł w kilka miesięcy później „Żywot Ezopa Fryga” wydany przez Wietora.

A czasy to były, w których gorzej jakoś zaczynało się dziać w krakowskich oficynach, zaś księgarnia Jana Hallera przy ulicy Wiślniej zaczęła nawet mocno podupadać. Haller już nie miał sił, by się nią zająć, a synów jego i córki mało co księgi obchodziły, zwłaszcza że biedy przecież nie cierpieli, bo handel winem szedł w dalszym ciągu niezgorzej.

Tymczasem Ungler grzęznął w długach i wciąż miał jakieś procesy, bo się dłużnicy upominali o zwrot pożyczonych niegdyś pieniędzy. Nie dziw więc, że i Jan z Sącza mocno się trapił tymi niedobrymi sprawami, wciąż sobie głowę łamiąc, u kogo by jeszcze pożyczyć, aby dalej można było księgi imprymować i nie stanąć w końcu przed tym, że oficynę na trzy spusty zamknąć będzie trzeba. Wyglądał mizernie, bo ostatnimi czasy nie bardzo nawet obaj z Unglerem dojadali, a i przyodziewek na nim dosyć lichy się przedstawiał.

Takim go spotkał raz na Rynku Wietor. Spotkał, przyjrzał się i od razu najzyczliwiej zagadnął: czy się aby nie stało coś niedobrego? Może słabość jaka ogarnęła Jana, bo to w tym roku wilgotnie i parno, więc pono wiele ludzi w mieście słabuje z tego powodu.

Ń Jan niezbyt chętnie odpowiadał; niemiło-właśnie Wietorowi prawić o swoich i Unglera kłopotach. W końcu jednak rzecz wyłożył.

— Oficynę nam przyjdzie zamknąć, ludzi rozpuścić. I tak już robić nie chcą, nie opłaceni od ośmiu niedziel.

Mówiąc, nie patrzył na Hieronima, tylko gdzieś w bok, bo tak mu ciężko było na sercu, że już nawet nie mógłby znieść widoku

-76-

/#

niczyjego współczucia. Ale Wietor współczucia nie wyrażał, nie obłapiał Jana za ręce; parę razy przyglądził sobie brodę, po czym krótko spytał:

— Ile wam potrzeba, Janie, by oficynę dalej utrzymać? Jan wymienił kwotę, a była niemała. Dodał też zaraz:

— Nie mnie potrzeba, ale Unglerowi. Jego oficyna.

Razem wprowadzie od lat współpracowali, jednak Jan zawsze podkreślał, że warsztat należy do Unglera i wszelkie zasługi położone przy imprymowaniu Florianowi Bawarowi mają być przypisywane.

Wietor milczał długą chwilę, w myślach coś ważąc. W końcu rzekł:

— Pożyczę Unglerowi potrzebną sumę.

Jan cofnął się dwa kroki, bo tego nie spodziewał się wcale.

— Wy, Hieronimie? Pożyczycie Unglerowi?

— Ja. Czemu się wam to aż tak dziwne wydaje, Janie?

W tej chwili Jan poczuł, że musi jednak sprawę postawić jasno, bo jeżeli Wietor chce wspomóc w ciężkiej chwili Floriana, winien wiedzieć, że go ten ostatni nierad widzi, że przyjaźni dla niego nie żywi. I zdając sobie dobrze sprawę, że oto za chwilę rozwieje się możliwość utrzymania Unglerowej oficyny, Jan powiedział, patrząc prosto w spokojne oczy Wietora:

— Ungler od was nie przyjmie żadnego wspomżenia, Hieronimie. Widzi mi się, że od każdego innego by przyjął prócz was. Przecież się z tym nie ukrywa ani przed wami, ani przed nikim, że was... że wy dla niego...

Jakże trudno to było jednak wypowiedzieć i już nawet nie dlatego, że się pieniądze utraci, lecz by niezastuzenie Wietora nie dotknąć. Ale ten sam pojął, o co chodzi. Zrobił okrągły ruch ręką i nawet uśmiechnął się lekko.

— Dla nikogo to tajemne nie jest, co Ungler czuje do mnie, a i dla mnie także nie. Nie o to jednak chodzi. Zresztą wam, Janie, daję pieniądze; Unglerowi nawet nie wspominajcie, skądę-ście je wzięli.

— Dlaczego to robicie, wiedząc, jak się sprawy mają? — nie mógł pojąć Jan.

Otrzymał odpowiedź jasną:

— Kraków sławny ze swych oficyn nie tylko na cały kraj nasz, ale już i po świecie sława jego idzie. Musicie to pojąć, Janie, że nie czas teraz oficyny zamykać, raczej nowe otwierać by się przydało. I żadnego z impresorów zabraknąć nam nie może, boby mocno na tym ucierpiało ksiąg mnożenie w narodzie.

77

■

Jeszcze rzekł, by Jan z nim szedł zaraz do domu, gdzie potrzebną kwotę otrzyma.

Potem już niewiele rozmawiali ze sobą, tylko po wręczeniu pieniędzy Wietor jeszcze raz przypomniał Janowi, by nic o tym wszystkim nigdy Florianowi Bawarowi nie wspominał.

— Że to jest pożyczone, rzecz muszę — sprzeciwił się Jan — jeno nie rzeknę od kogo. I pieniądze zostaną wam zwrócone. Chciałbym, byście mi termin zwrotu wyznaczili.

— Nie wyznaczę żadnego. Jeśli jednak tak trwacie przy swoim, tedy niech to będzie pożyczka, ale bez żadnego terminu zwrotu.

Wracając Jan biedził się myślami, czy aby dobrze zrobił, że przyjął pomoc Wietora. Bo jakżeby się czuł Florian Bawar poniżony, gdyby wiedział, za czyje pieniądze może dalej swą oficynę prowadzić.

Miesiące jednak szły i okazało się, że Ungler nie tylko dalej oficynę prowadzi, ale też rozwija ją i powiększa. Spokojniejszy się jakiś zrobił, pewniejszy siebie, powoli z długów zaczął się wygrzebywać i do tego nawet doszło, że częściami mógł zwracać owe pieniądze przyniesione przez Jana wczesną jesienią. Nie obeszło się jednak bez pytania, za każdym razem jednakowego:

— Rzekłbyś przecie, Janie, kto okazał się owym dobroczyńcą, zawierając mi w najtrudniejszym czasie, gdy pewności żadnej nie było, że pieniądze zdołam kiedykolwiek zwrócić?

Jan był nieustępliwy.

— Tego wam żadną miarą nie rzeknę.

— Zali to nie Haller? — dopytywał się mimo -wszystko Florian.

Jan milczał uparcie.

— Zapewnijże chociaż tego człeka, że mi jako brat bliski, że gdyby mu kiedykolwiek trzeba było czego, do mnie zawsze przyjść może.

— Chyba nie przyjdzie, nawet gdyby miał znaleźć się w potrzebie, Florianie Bawarze.

— Nieznośny jest twój upór, Janie!

— Tedy najlepiej nie pytajcie mnie o te sprawy.

Milcząc Florian kładł Janowi pieniądze, ale rzecz mu spokoju nie dawała, więc nawet, nic o tym nie wspominając, poszedł kiedyś pytać starego Hallera. Ten już jednak był bardzo chory i ledwie mógł mówić, a czuło się, że go nie tylko rozmowa, ale w ogóle obecność czyjaś w komnacie drażni. Na pożegnanie wyszeptał z trudem:

— Już mi koniec bliski...

- 78 -

— Jeszcze wydobrzejecie — zapewnił Florian, chociaż sam w to nie wierzył.

— Niezadługo ty zostaniesz Typografem Jego Królewskiej Mości.

— Zaśby tam! — rzekł Florian wierząc jednak mocno, że inaczej stać się nie może.

Nie przypuszczał wcale, że ostatni to raz widzi Hallera, bo nie minęło dni kilka, a już wieść żałobna obiegła całe miasto:

— Jan Haller pomarł.

Ungler dowiedział się o tym od Jana, ten zaś od przypadkowo spotkanego na ulicy Wietora.

— Szkoda człowieka — rzekł Hieronim. — Wielką rzecz zdziałał w czasie swoim. To w pamięci o nim wiecznie zachowane być winno...

Jan nie mógł się powstrzymać od pytania:

— Komu zaś przypadnie teraz ów tytuł zaszczytny typografa królewskiego?

Zapytał tak, wszystkimi myślami będąc przy Unglerze, Hieronim zaś spojrzał na niego pełen przykrego zdumienia.

— Jeszcze Hallera nie pogrzebali, a wy już o takich sprawach zdolni jesteście myśleć?

Jan wzruszył ramionami, lecz pożałował, że się ze swym pytaniem wyrwał. Pożegnał zaraz Wietora i do swojej oficyny pośpieszył, by wieść zanieść Florianowi.

Ten zasępił się na chwilę, bo szczerze lubił starego, w końcu jednak spokojnie rzecz całą jął rozważać:

— Ano, taki już los na świecie, żeśmy wszyscy śmiertelni. Impresorów miasto ma więcej teraz niżli za czasów, gdy Haller swą oficynę pierwszy zakładał... Król Jegomość wiedzieć chyba będzie, który z nich najgodniejszy.

— Niechybnie będzie wiedział — przytaknął Jan, bębniąc palcami w blat stołu.

A wkrótce potem w winiarni Lema huczało niby w ulu:

-79-

- Beczkę piwa najprzedniejszego stawiam, że królewskim typografem zostanie Wietor! przed nim dzieło swe zaczął. Jakże to w nie-

Dam                    6?     ,     • v     .

camy kraju już sławny!

— Ungler nowe wprowadził...

orytami księgi swe zdobi!

Lecz wyjątkowej piękności drze-

— Beczkę piwa najprzedniejszego stawiam, że królewskim typografem zostanie Wietor!

— Ungler jeszcze przed nim dzieło swe zaczął. Jakże to w niepamięć teraz puszcząć?

— Wietor za granicami kraju już sławny!

- Ungler pismo nowe wprowadził...
- A Wietor to nie?
- Ungler bogato drzeworytami księgi swe zdoł!
- Wietor zdoł mniej bogato, lecz wyjątkowej piękności drzeworyty dołiera.
- Wietor!
- Ungler!
- Ungler!
- Wietor!

Co parę minut te dwa nazwiska padały w rozgwarze winiar-nianej sali, jakby jedynie ci dwaj ludzie najważniejszymi stali się w Krakowie, jakby tak byli ze sobą związani, że wymieniając jednego, nie sposób było drugiego milczeniem pominąć.

Oni sami udziału w tych rozmowach nie brali żadnego. Wietor zachowywał się tak, jakby go ta sprawa zgoła nie dotyczyła. Całymi dniami przesiadywał w oficynie, jak zwykle robił korekty łaćńskie, starannie przemyślał układ kaźdej kolumny. Sporo też czasu poświęcał na oglądanie ksiąg obcych, a późnymi wieczorami, gdy już się zima zaczęła i drobny, szlisty śnieg począł prószyć na dworze, Wietor lubił zasiadać przy palącym się kominie i odczytywać pogodne rymy dawnych greckich poetów.

Ungler zaś stał się nagle jakiś czujny, wciąż czegoś wyczekujący, niemal jakby kroków w sieni nasłuchiwał. W robocie zaś był niecierpliwy, często ją nawet nie skończoną potrafił rzucić i biegł do komnaty, gdzie się samotnie zamykał, by też księgi przeglądać... Tylko że nie rymów greckich w nich szukał — Wietorowe księgi przeglądał i swoje. Kładł je obok siebie, kartę po karcie przewracał, z uwagą porównywał...

Ale gdy się kroki jakieś w sieni rozlegały, podrywał się i wychodził patrzeć, kto i z czym przyszedł i do kogo.

Jan tymczasem wiele przesiadywał w winiarni, nasłuchując, co ludzie gadają, jeno że tych gadek Florianowi nie znośił, sam je dla siebie chowając. Jedną w końcu przyniośł — i już nie gadka to była, lecz prawda.

- Florianie, Typografem Jego Królewskiej Mości został Hieronim Wietor.
- Zali się nie mylisz w tym, Janie? — głucho zabrzmiał głos lUnglera, który jednocześnie podniósł na mówiącego wzrok pełen

takiego napięcia, że przez krótką chwilę Jan sam nie miał pewności, czy aby rzeczywiście nie omylił się, czy źle nie posłyszał w winiarni. Pokręcił jednak przecząco głową:

— Prawda to jest i bacz, Florianie, byś nie stał się niesprawiedliwy.

— I ty bacz, Janie, na to, komu się po sprawiedliwości godność ta należała i kto dawniej tu księgi imprymuje.

Jakże tu wieść dysputę z człowiekiem, który gniewu swego nie potrafi pohamować?

— Wysoko musi Wietor głowę teraz nosić! — gorzki grymas ukazał się na ustach Unglera.

— Nie zdaje mi się, by tak być miało — sucho odrzekł Jan. — Jemu ponad wszystko ważna sprawa ksiąg polskich, nawet ponad godności najznamienitsze.

Ungler stanął jak wryty, a twarz miał straszną: jakby go ktoś w tej chwili obuchem dzielił w głowę.

— Zali ty sądzisz, Janie, że ja... że mnie...

A Jan już nie wytrzymał. Spokojny zazwyczaj i pełen równowagi, teraz poczuł, że dość już ma tego wszystkiego, że raz wreszcie trzeba Unglerowi strzelić prawdę w oczy i że nikt inny nigdy tego nie zrobi — poza nim samym, Janem, który go przecież miłuje. Tedy wyrzekł dobitnie:

— Rozważyć by jednak należało wam, Florianie Bawarze, co dla was miłsze jest: sztuka, której służycie, czy też osoby własnej wywyższenie...

Miał uczucie, jakby Unglera uderzył, i to bardzo mocno, dotkliwie. Nie mógł tego znieść, więc wyszedł, zostawiając Floriana samego.

Przez parę następnych dni Jan z wielką troską spoglądał na Unglera. Unglerowi twarz się ściągnęła, wargi zwężyły; dłonie często zaciskał, usiłując opanować ich drżenie. Ale w oczach zaczął się pojawiać jakiś nowy wyraz spokoju, którego dawniej nie było.

„Co też on zamyśla?” — zastanawiał się Jan.

Sam już był u Wietora, by mu rzec dobre słowo i powinszowania złożyć z powodu otrzymanego tytułu. Wiele ludzi z tym samym cisnęło się do Hieronima. Wszyscy przyszedłszy rozglądali się, czy i Unglera tu nie ujrzą. Jan wyczuwał to i było mu przykro.

— Zali Ungler tak w zazdrości się zapiekl, że o dobrym obyczaju zapomniał?

Trudno było na takie pytania odpowiadać; Jan próbował tłumaczyć:

6 — Przyjaciel na zawsze

— Chorzeje ostatnio...

Wnet się jednak okazało, że ktoś w mieście widział Floriana Bawara, i już buchnęły prześmiechy:

— Przecież nie za bardzo chorzeje! Nie choroba przeszkadza mu wejść w Wietorowe progi.

Jan nie wspomniał o tym Unglerowi, nadmienił jedynie, że ten i ów powinszowania swe Wietorowi składał.

— Tak? — zamyślił się Florian.

Następnego zaś dnia, wśród rozmowy o innych sprawach, dotyczących imprymowania, rzucił Janowi krótkie zdanie:

— Do Wietora zaraz iść zamierzam.

— Florianie! — krzyknął Jan czując się aż osłabły od wielkiego odprężenia, które go ogarnęło.

Wszystkie te słowa o chęci wywyższania się, które mówił Unglerowi, wydały mu się w tej chwili bardzo niesprawiedliwe i krzywdzące. I nie mógł się dość nadziwić, że potrafił je nie tylko wypowiedzieć, lecz że w ogóle przyszły mu na myśl.

Ungler tymczasem, nie zwracając uwagi na Jana, kazał sobie podać okrycie i spokojnym, wolnym krokiem skierował się ku drzwiom. Gdy je otworzył, wionęło w sień tumanem iskrzącego się śniegu i mroźnym powietrzem.

Dobrze było tym powietrzem oddychać idąc ulicami Krakowa, dobrze było. wciągać je głęboko w płuca. Porywisty wiatr zwiewał śnieg leżący na dachach domów i na murach, kotłował nim w wąskich uliczkach. Miasto zdawało się tkwić wewnątrz jakiejś lśniącej, srebrzystej kurzawy.

Na Rynku z winiarni Lerna wysypała się gromadka ludzi, którzy zobaczywszy Unglera stanęli niezdecydowanie, nie wiedząc, czy go zatrzymać. Minął ich, powitawszy z daleka skinieniem głowy, i szedł dalej.

Wreszcie stanął przed domem Wietora. Ujął dłonią chłodne żelazo kołatki: głucho zakołatał nią we drzwi.

Otworzył sam Wietor. Jeśli był odwiedzinami zaskoczony — nie pokazał tego po sobie.

— Pozwólcie, Florianie Bawarze, do wnętrza. Rad jestem niezmiernie, żeście do zdrowia wrócili.

Ungler zachnął się w pierwszej chwili, dopatrując się drwiny w tych słowach, ale wystarczyło spojrzeć w twarz Wietora, by wiedzieć, że nie drwina mu była na myśli.

— Raccie wybaczyć, Hieronimie, że was nachodzę, w pracy zapewne przeszkadzając.

— Co też powiadacie! — Wietor sam okrycie z gościa zdejmował, chcąc mu tym specjalnie względy okazać.



-82-

Krzyknął też w głąb mieszkania donośnie i wesoło:

— Wina dawajcie grzanego, najprzedniejszego! A do Unglera:

— Pozwólcie, Florianie Bawarze! Nie godzi się przecież, bym was w sieni przyjmował. Pozwólcie do komnaty.

Nie była ona urządzona bogato, lecz przytulnie i w dobrym smaku. Znać było po każdym sprzęcie, po każdym stojącym naczyniu, że Wietor nie byle co do domu sprowadza, a jedynie rzeczy mogące cieszyć wzrok mistrzowskim wypracowaniem. Sprzętów nie było wiele, kobierzec tylko jeden, ale zdawało się, że nic tu już dodać nie trzeba ani też ująć.

Wszędzie panowały ład i harmonia.

„Jako i w księgach przez niego imprymowanych” — uświadomił sobie nagle Ungler.

Teraz dopiero pojął, co czyniło Wietorowe druki tak pięknymi: owa powściągliwość w zdobieniu i umiar, jakość najwyższa drzeworytów, wytworny kształt liter i nieskazitelna czystość druku.

-83-

— Darujcie, Hieronimie — rzekł sucho — żem to dopiero dziś /szedł cześć wam złożyć z powodu onego wielkiej wagi wyróżnienia... Darujcie, Typografie Jego Królewskiej Mości!

Wietor skłonił się nisko przed gościem, po czym ręką mu fotel wskazał, by usiadł.

— My dwaj, Florianie Bawarze — powiedział miękko — my dwaj zgoła o innych sprawach winniśmy wieść rozmowy niżli o największej nawet wagi godnościach.

Jednym ruchem przysunął plik arkuszy świeżo zadrukowanych. - O tym — dokończył pogodnie — o tych to sprawach powin-imy porozmawiać. Widzi mi się, żem niezbyt dobrze te kolumny ii Rad bym, Florianie Bawarze, byście mi wasze zdanie

3yj>Dir2ebv)ecieJ —bcъщ\ si^DnJler.

— Darujcie, Hieronimie — rzekł sucho — żem to dopiero dziś przyszedł cześć wam złożyć z powodu onego wielkiej wagi wyróżnienia... Darujcie, Typografie Jego Królewskiej Mości!

Wietor skłonił się nisko przed gościem, po czym ręką mu fotel wskazał, by usiadł.

— My dwaj, Florianie Bawarze — powiedział miękko — my dwaj zgoła o innych sprawach winniśmy wieść rozmowy niżli o największej nawet wagi godnościach.

Jednym ruchem przysunął plik arkuszy świeżo zadrukowanych.

— O tym — dokończył pogodnie — o tych to sprawach powinniśmy porozmawiać. Widzi mi się, że niezbyt dobrze te kolumny uformował. Rad bym, Florianie Bawarze, byście mi wasze zdanie rzec chcieli.

— Mojej rady potrzebujecie? — zachnął się Ungler.

— Każdej potrzebuję — zaśmiał się cicho Wietor. — Każdej potrzebuję, by jeno dobra była.

— Mnie się te kolumny dobrze uformowane wydają... Hieronim pokręcił głową, potem następny arkusz położył przed

Unglerem.

— A na to spójrzcie — oparł się łokciem o stół, przybliżył ku gościowi. — Widzicie, inaczej jeszcze próbuję: winiety o tym samym rysunku, ale nie na czarnym tle białe, jeno czarne na białym. Nie zdaje się wam, że lżej to jakoś wygląda, jakbym trochę powietrza na papier wpuścił.

Jeszcze jeden arkusz podał.

— Albo to... Wszystko jeno próbne odbitki, bo różnie zamyślałem. Tu winiety zostawiłem te same, ale inicjał zmieniony: ornament ma z liści.

Ungler nie przypominał sobie, by z którąś ze swych ksiąg tyle prób czynił, by się nad każdą winieta czy inicjałem zastanawiał. A przecież miał oto przed sobą trzy odbitki próbne tych samych kolumn; każda była inna, ale każda mu się piękna wydawała.

Powiedział o tym Wietorowi.

— Piękne? Może... — zadumał się Wietor. — Jeno o to chodzi, która w tym pięknie najdoskonalsza.

Ungler nie odpowiedział. Podparł dłońmi głowę, nie spuszczać wzroku z odbitek. Zamyślił się i długą chwilę siedział tak w milczeniu. Wietor nie przerywał ciszy — pewien był, że Ungler dalej szacuje odbitki, bada w nich każdy szczegół, może rozważy jakiś nowy pomysł. Zdziwił się też niezmiernie, gdy Florian Bawar nagle podniósł głowę i rzekł, wciąż na Wietora nie patrząc:

— Jednak sprawiedliwie należał się wam ów tytuł Typografa Jego Królewskiej Mości, Hieronimie...

-84-

Wietor chciał coś odrzec, ale służba wino właśnie wniosła w dzbanie i ustawiła szklanice.

— Tedy za waszą pomyślność! — rzekł Ungler ujmując szklanice.

— Za n a s z ą pomyślność! — poprawił go Wietor.

Trunek rozszedł się ciepłą falą po całym ciele Unglera: miał uczucie, że serce nawet zaczyna w nim tajać. „Przecieżśmy tak mogli od lat przyjaźnie gwarzyć” — przeleciało mu przez głowę.

Wietor tymczasem znów napełnił szklanice czerwonym płynem, grającym barwą niby najpiękniejsze rubiny. Uniósł swoją w górę, ale się jej nie przyglądał, jak to zwykł był czynić, jeno prosto ku Unglerowi się zwrócił i rzekł głosem cichym, w którym drżała nuta tajonej troski:

— Za to wypijmy teraz, Florianie Bawarze, by się nasze dzieło nie rozsypało, gdy nas nie stanie, jak się to dzieje z Hallerową oficyną. Za to wypijmy, by po nas nowi ludzie przyszli, co by księgi nie mniej miłowali i pięknej sztuce imprymowania służyć chcieli. To mi się bowiem zda z wszystkiego najważniejsze, by ona trwała...

— Oby się tak stało, jakeście rzekli, Hieronimie!

Cichutko zadźwięczały szklanice, gdy stuknęli się nimi przed spełnieniem toastu. Cichutko, niepewnie — i zaraz umilkły.

Lecz w tejże właśnie chwili odezwał się głos inny, dolatujący z miasta, ten głos, który od wieków brzmiał nad Krakowem: hejnał mariacki.

Wietor podniósł się od stołu, uchylił okna i wpuścił do komnaty ową melodię lekką i czystą, niby ptaka, co dobrą wieść niesie.

„WSZYTKIM SWOJE KSIĘGI DAJĘ...”

liczna była Elżbieta. Patrząc na nią Jan przypominał sobie oglądane w Italii anioły na obrazach sławnego malarza Botticellego. Takie właśnie miały twarze: pierwszy raz spojrzawszy — i nic, ale za drugim, trzecim razem już odkrywał coś niezwykłego w szafirowych oczach. I w uśmiechu... Nie, nawet nie w uśmiechu, lecz w lekkim drgnięciu warg — w półuśmiechu...

Wtedy patrzeć można było nienasycenie: na twarze aniołów mistrza Botticellego i na twarz Elżbiety tak samo. Wiedziała o tym doskonale i wiedziała też, jak wdzięcznie wygląda w aksamitnym gorseciku, spod którego wyziera haftowane srebrnymi nićmi giez-łeczko z najcieńszego jedwabiu. Ręką lekko unosiła przymarszczo-ną suto spódnicę, by nie zabrudzić jej błotem, a trochę też i dlatego, by Jan zauważył, że ma nowe butki, zrobione z niebieskiego safianu według włoskiej mody.

Ale Jan nie zauważył butków; był dzisiaj zamyślony, co nawet trochę drażniło Elżbietę. Bo jakże to? Idzie już spory kawałek drogi, od Bramy Szewskiej aż do samego Rynku, idzie i rozmyśla nie wiedzieć o czym, a przecież najpiękniejszą dziewczynę w całym Krakowie ze sobą wiezie! Nie znajdzie drugiej takiej nawet na królewskim zamku.

Prawda, są tam dworki bogatsze i szlachetniej urodzone, niejedna może i w złotogłów czasem się przystroi, ale co z tego? Niechże się która przyrówna do Elżbiety zgrabnością, wdziękiem, urodą...

— Janie! — rzekła w końcu lekko nadąsana. — Za dwie niedziele nasze weselisko, a ty ani gadać ze mną wcale nie chcesz.

— Najmilsza moja! — roześmiał się. — Gdzie bym ja gadać

-86-

z tobą nie chcia! Jen sama wiesz, przeróżnych spraw mam wiele na głowie, więc się czasem nad nimi zamyślę.

— • Aż takie to ważne sprawy, że mi nawet nie rzekłeś nic miłego przez całą drogę? A możeś nierad, żem przy tobie?

Musiał się zatrzymać pośrodku Rynku, pod samymi Sukiennicami, za rękę ją musiał ująć. Chciał rzec coś na przeprosiny, ale zamiast tego, wyrzekł słowa wiersza:

Jakoby słońce zaszło, kiedy nie masz ciebie,

A z tobą i w pół nocy zda się dzień na niebie.

Jakże mu za te słowa mogła nie wybaczyć jednej chwili długiego zamyślenia?

— O Janie! Nieczęsto chyba mężowie tak gładkimi słowy do niewiast zdolni są przemawiać, jako ty do mnie teraz.

— Nieczęsto, Halszko. Pierwszy to raz się zdarza w naszym kraju.

Tego nie umiała pojąć; zamruła długimi, ciemnymi rzęsami w wielkim zdziwieniu.

— Więc ty tak pierwszy? Ty... do mnie?

Była dumna i uradowana; już sama dla siebie powtórzyła:

Jakoby słońce zaszło, kiedy nie masz ciebie...

— Piękne — powiedział Jan. — Prawda, jakie piękne? Ani Biernat z Lublina, ani Rej, ani Janicki nawet takich rymów nie składali, tylko on jeden...

— On?

Teraz Jan z kolei wyglądał na dumnego i rozradowanego, gdy odpowiadał Elżbiecie:

— On. Jan z Czarnolasu. Kochanowski. To jego słowami do ciebie mówiłem.

Elżbieta poczuła się zawiedziona. Chwilę szła w milczeniu, ale zasłyszane rymy Wciąż jej tkwiły w pamięci; słuchałaby ich bez końca. Wydawało się, że przecież nikt inny na świecie, tylko właśnie jej Jan, i tylko do niej, Elżbiety, tak może przemawiać, a także i ona do niego... Że to słowa najbardziej własne i aż dziw, że ich sami nie umieli znaleźć dotychczas...

— Skądże on wie — wyrzekła powoli, rozkładając obie dłonie — skąd wie, że to tak jest, nie inaczej?

Jan zadumał się chwilę, bo i jemu trudno było znaleźć odpowiedź.

— On poeta — powiedział w końcu — a poeci dziwnie wiedzą,

-87-

co się w sercach ludzkich dzieć musi, gdy umiłowaniem są przepętnione.

— Ty go znasz, Janie? — spytała cicho Elżbieta.

— Jeno że niezbyt blisko. Fraszki jego znam dobrze i pieśni, co w odpisach między ludźmi krążą. Toż przed rokiem dopiero z Italii wróciłem do Krakowa, a on choć już od siedmiu lat w swoim Czarnolesie przebywa, rzadko tu zjeżdża. O, chciałbym go zobaczyć; wiele miałbym z nim do ugwarzenia... — powiedział gorąco.

— A o czymże to?

— O tym, by zebrać jego wszystkie rymy, wszystkie rzeczy jego, żadnym wiekiem niezrównane i...

— Janie! — prawie krzyknęła Elżbieta.

Już wiedziała, o czym będzie teraz mówić: o swojej drukarni, dziedziczonej po ojcu, o księgach. Nie lubiła tej drukarni, nie chciała mieć męża typografa! Niechby na dworze królewskim był dalej; sekretarz samego króla Stefana Batorego więcej chyba znaczy niż typograf ubabrany drukarskimi farbami. A w dodatku Jan przecież rozumem jak mało kto jest obdarzony: ile języków obcych zna, ile się po świecie najeździł! Czy to wielu jest mężów w Krakowie, którzy aż w Padwie nauki pobierali, bo im własnej Akademii było mało? Ludzie nisko głowy pochylają przed takimi jak Jan, najświatlejsi nawet — z szacunkiem wypowiadają: „O, Janu-szowski to Padewczyk!”

Gdyby tylko Jan zechciał, nie na sekretarzowaniu królowi by się skończyło; jeszcze znaczniejsze stanowisko mógłby mieć. Gdyby tylko zechciał...

— Ja, Elżbieto, nie rzucę improwowania — powiedział, jakby odczytując jej myśli. — Miła moja, i ty się jeszcze przekonasz, że więcej ono warte zachodu niżli wszystko inne na świecie.

— Więc moje prośby ci za nic?

Miała ochotę rozplakać się tu, na Rynku, w samo słoneczne południe, ale że wstyd by to był straszny, nie do zniesienia, więc mrugała tylko szybko powiekami, chcąc powstrzymać łzy, które się gwałtem cisnęły do oczu.

Zawróciła nagle i szybkim krokiem, nie oglądając się na Jana, szła w stronę swego domu, na ulicę Szewską.

— Elżbieto! — usiłował ją zatrzymać, ale nawet głowy nie odwróciła.

Już się przecież tyle naprosiła: „Sprzedaj tę drukarnię, dom sobie nowy, zupełnie nowy postawimy. No, nie tak może, jak to opowiadałeś, że w Italii budują, ale także z dziedzińcem krużgankowym, z kolumnkami cienkimi, a od ulicy attykę zrobić każemy

jak w Bonerowskim pałacu... Według najnowszej mody, żeby zaraz gadki poszły a zachwyty po całym Krakowie..."

Prosiła tak nieraz, wpatrując się w Jana swoimi modrymi oczami. Niejeden by się wyzbył wszystkiego za takie spojrzenia, niejeden, ale nie Jan. Nigdy też nic nie przyobiecował. -

„A idź na tę swoją Gołębią ulicę, do drukarni swojej idź, skoro ci ona milsza ode mnie!” — miała zamiar rzec mu teraz, ale sama się przestraszyła, że może naprawdę by poszedł i potem nie wrócił. Tego przecież nie chciały za nic! Żeby jednak okazać mu, jak bardzo w tej chwili jest zagniewana, szła nie oglądając się, a doszedłszy do domu, szybko wbiegła w otwartą bramę. Liczyła przez chwilę, że Jan podąży za nią, nasłuchiwała nawet, zatrzymawszy się na schodach, czy kroki jego nie rozlegną się w sieni... Ale nie, nic nie posłyszała.

Tymczasem Jan smutny stał na ulicy, patrząc za oddalającą się niewiastką, potem zaś ze zwieszoną głową począł iść w stronę ulicy Gołębiej.

Zanim jeszcze doszedł do bramy, już posłyszał stukot prasy drukarskiej. Równy, spokojny, trochę głuchy odgłos wprowadził ład jakiś w myśli Jana. I odbiegły one od spraw dworskich, od Elżbiety nawet, powróciły zaś wszystkie do tej jedynej, najbardziej znajomej bramy, do jedyne go w Krakowie domu, gdzie wzrastał pośród owego spokojnego odgłosu pras drukarskich, które szły niezmiennie od wielu dziesiątków lat. Za ojca Janowego — Łazarza Andrysowica, i wcześniej jeszcze... od owego roku, gdy przesławny impresor Hieronim Wietor przeniósł swoją oficynę z ulicy św. Jana, ponieważ tu właśnie, przy ulicy Gołębiej, pobudował się na parceli otrzymana-

89

nej w darze od króla za zasługi około drukarstwa polskiego położone.

Tu Wietorowa oficyna nabrała największego blasku i sławy, Aktora szła szeroko poza granice Rzeczypospolitej.

A potem...

Jan z opowiadań ojcowych wiedział, jak się rzecz miała, choć «ojciec wiele mówić nie lubił. Potem też i czeladnicy dopowiedzieli nieco i Jan niemal że wiedział, niby\* na obrazie ruchomym, co się działo przed laty, kiedy go jeszcze na świecie nie było.

Gdy się Wietorowi pomarło, w oficynie popłoch się uczynił niebywały. I nie tylko w oficynie — w całym mieście, jakby miastu sławy ubyło od straty tej miary typografa. Wtedy to podobno przez dni kilka prasy zostały zatrzymane, bo ludzie w warsztatach nie wiedzieli, co mają robić. Łazarz Andrysowic siedział przy prasach trzy dni i trzy noce, nie śpiąc, nie jedząc, głuchy na wszystko i niemy. Aż nagle jednego dnia otworzyły się drzwi z trzaskiem: stanęła w nich wdowa po Wietorze — Barbara Wietorowa. Szeroka,

rozłożysta, szeleszcząca licznymi spódnicami. Ujęła się pod boki, brwi zmarszczyła, aż się jej w jedną grubą krechę nad oczyma zbiegły, i krzyknęła, a głos miała ostry, niski, prawie męski:

— Dopokąd tu siedzieć będziecie nic nie robiący? Darmozjady, wałkonie! Wszystkieście to księgi pokończyli wybijać, że nic przy nich nie działacie?

Przypadli do niej, nie zważając na łajania, jeden przez drugiego pytali:

— Tedy oficyna ma iść dalej?

— A cóżeście myśleli? Moja teraz oficyna i ja w niej rządzą! A za te trzy dni leniuchowania grosza zapłaty wam nie dam!

Nie upominali się o zapłatę, jak oszaleli rzucili się do roboty. Nie w pieniądzech rzecz była, tylko żeby dzieło Wietorowego żywota nie poszło w zniszczenie, żeby ta oficyna w obce ręce, niegodne, się nie dostała.

Tak więc Barbara zaczęła w niej rządzić. Obliczała dochody, wypłacała należności — to trzeba przyznać — lepiej nawet niż sam Wietor. Tylko z księgami nie umiała sobie poradzić, żeby dawnej świetności nie utraciły, ani też autorów nagabywać nie potrafiła, by jej właśnie cenne swe prace do druku dawali. To robił Łazarz Andrysowic.

I wkrótce Barbara pojęła, że bez Łazarza rady sobie nie da i że gdyby mu się kiedyś praca u niej miała nie spodobać — oficyna przestanie istnieć. Powiedziała mu tedy krótko, rzeczowo, że najlepiej by było, gdyby się pobrali i razem już prowadzili drukarnię. Łazarz się zgodził i ślub się odbył niezadługo. Po paru latach ludzie

-90-

w Krakowie nie mówili już „Wietorowa oficyna”, tylko „drukarnia Łazarzowa”, a Łazarzowe druki nie mniej stały się sławne niż dawniejsze, które Hieronim Wietor imprymował. Przybywały nowe komplety inicjałów i drzeworytów...

A jednego dnia do łomotliwych głosów pras drukarskich i pokrzykiwań czeladników dołączył się głos nowy: bezradny, cienki płacz niemowlęcy. To Barbarze i Łazarzowi urodził się syn. Było słoneczne południe w dzień świętego Jana, więc też i Jan dostał na imię.

Jakież to wszystko dawne! Barbara umarła, umarł także i Łazarz Andrysowic. Dziś Jan ma dwadzieścia siedem lat, odbyte studia na Akademii padewskiej, znajomość wielkiego świata, piękne stanowisko na królewskim dworze — i Elżbietę, niewiastkę niby anieli z obrazów Botticellego, na żonę ma przyrzeczoną... Gdybyż tylko pojąć chciała, że nawet za spojrzenia najbardziej proszące jej modrych oczu, za zaszczyty dworskie, za wszystko złoto świata nie potrafi Jan porzucić tego domu i ksiąg, i łomotu pras, i zapachu farb drukarskich...

Gdybyż to Elżbieta pojęła!

Ech, ułoży się w końcu wszystko, musi się ułożyć. Nie darmo przecież sam Jan Kochanowski w swej pieśni dziewiątej powiada:

Nie porzucaj nadzieje,

Jakoć się kolwiek dzieje:

Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,

A po złej chwili piękny dzień przychodzi. .

Było wesele, było! Postawił się rodzic Elżbiety, by cały Kraków wiedział, że nie byle kogo Jan Januszowski za małżonkę bierze, lecz córkę mieszczańską, zasną a sutym wianem obdarzoną. Jan po prawdzie niejedną raz powtarzał, że nie wiano mu najważniejsze, ale sama Elżbieta... kto by tam jednak dawał wiarę takim zapewnieniom!

I tak Elżbieta zjechała w dom mążowski, wioząc w skrzyniach posagowych piękne szatki i w srebrze kute naczynia, a także dwie opony flandryjskie, które w niezmiernej były cenie.

— Królewskie wiano! — śmiał się Jan.

— Królowa Bona, gdy do Polski zjechała, trzydzieści skrzyń pono miała — przekomarzała się Elżbieta — a ja jeno trzy!

Ale sama była dumna z tych swoich trzech; nie darmo przecież najprzedniejszy snycerz krakowski modą włoską je robił.

Jan też mówił, że skrzynie nad podziw piękne, a Jan wiele ładnych sprzętów widywał będąc w Italii. Zwłaszcza jedną zachwycał się najbardziej: z orzechowego drzewa, ciemno barwionego.

-91-

Wsparta była na czterech lwich łapach, pokryta pięknymi płaskorzeźbami, narożniki zaś miała ujęte w liście akantu.

— We Florencji takie właśnie widziałem! — zakrzyknął Jan, gdy ją pierwszy raz zobaczył.

Rad był w ogóle wszystkiemu i cieszył się każdym ich teraz już wspólnym sprzętem, każdym dzbanem czy kielichem, cieszył się na pewno, chociaż może mniej, niż to sobie Elżbieta wyobrażała. Za to jakże był dumny, gdy szerokim, dworskim ruchem zaprosił jednego dnia żonę do warsztatu drukarskiego, by obejrzała sobie prasy i poznała pracujących w oficynie czeladników. Poderwali się ze swoich miejsc, witając nową impresorową i usiłując odgadnąć z jej twarzy, jak też ich będzie karmiła: czy aby nie pokusi się robić oszczędności na ich żołądkach, skąpiąc piwa, krup, chleba lub mięsiwa.

Elżbieta nie bardzo wiedziała, jak się ma zachować, prawdę mówiąc, niezbyt ją to wszystko interesowało i chciała co rychlej do izby swej powrócić, ale Jan miał taki wyraz oczu, jakby czekał na jakieś słowo uznania czy zachwyty.



Nie wiedząc, co by tu sobie można upodobać, Elżbieta w końcu bąknęła niepewnie:

— Przednia oficyna mi się widzi, nie znaleźć chyba drugiej takiej w Krakowie...

Dobrze widać utrafiła, bo mąż skinął głową.

— Nie znaleźć drugiej takiej — powtórzył. — Bo też to sobie musisz dobrze zapamiętać, moja Halszko, że choć sławne oficyny bywały w Krakowie, przecież nie urodzeni Polacy je prowadzili, ale ludzie z zagranicy do Krakowa przybyli. Ta zaś, drukarnia Łazarzowa, pierwsza jest w kraju, co ją impresor polskiego pochodzenia, a rodzic mój, wielce sławną uczynił.

Elżbieta pomyślała, że gdyby ją mąż na zamek królewski wprowadzał, pewnie by z nie mniejszym dostojnictwem o nim prawił aniżeli teraz o swoim warsztacie.

Ech, dworny był Jan, miły i niepośledniej urody, umiejętności także przeróżne nie były mu obce, a przecież... Czasem smutno się robiło Elżbiecie,

-92-

gdy przystrojona w piękne szaty oczekiwała go wieczorem, wypatrując przez okno, czy powraca do domu. Nie mogła pojąć, dlaczego nie spędza z nią całych wieczorów, tylko wychodzi gdzieś spotykać się z towarzyszami. Że też mu rozmowy z nimi miłsze się zdawały niż spoglądanie w oczy Elżbiety czy nucenie jej italskich piosenek miłosnych przy cichym wtórze lutni. Dziś także niemal pół dnia przesiedział w oficynie, drugie pół gdzieś w mieście. A Elżbieta rada by była przecież z mężem porozmawiać, zwłaszcza że tyle spraw przeróżnych ma do opowiadania.

O, wraca wreszcie, słyhać jego kroki na schodach. Już jest blisko, już drzwi otwiera, w progu staje.

— Nidecki do Krakow'a przybył! — zawołał. — O Kochanowskiego go rozpytywałem, bo to przecież jego przyjaciel szczery. Odwiedzał go też niedawno w Czarnolesie i powiada...

— Ach, Janie! — przerwała mu Elżbieta. — Gdybyś to wiedział, jak piękne wstęgi dziś zakupiłam w Sukiennicach... Musisz je obaczyć.

I zanim dziewczka służebna posiłek do izby wniosła, Elżbieta rozłożyła swoje skarby: ba, nie tylko wstęgi, ale też i materiał precudny, od którego wprost oczu nie można było oderwać.

— Widzi mi się, że piękniejsza z niego będzie szata niżli ta, co ją na naszym weselu Zofka miała.

Elżbieta sama nie wiedziała, co ją bardziej cieszyło: czy piękność materiału, czy to, że zakasuje swą szatą cioteczną siostrę.

Ale do tego się mężowi nie przyznała; opowiedziała natomiast, ile się uciesznych plotek nasłuchiwała na Rynku od znajomych niewiast.

— Prawda to, że Wirzbięta, onże impresor, co ma oficynę przy ulicy Sławkowskiej, żonę swą obić w ubiegły poniedziałek? Pono krzyku takiego narobiła, że aż się ludzie pod dom zlecieli. Ale są też i tacy, którzy twierdzą, że wszystko to kłamstwo wierutne, przez nieżyczliwych Wirzbięcie ludzi wymyślone.

Aha, co jeszcze... — przypominała sobie i za chwilę jak z rękawa sypała zasłyszanyimi plotkami.

-93-

cə

1

ï

Vi l

"^

Więc że Żyda jakiegoś wczoraj zacy pobili; że na Kleparzu u jednej gospodyni kura zniosła jajo niezwyklej wielkości, że podrożowało w kramach sukno morawskie, że... Najciekawsza jednak była wieść o Wirzbięcie... Jan go przecież zna, bo także impresor, więc niechby powiedział, czy to prawda z tym biciem?

Elżbieta nie rozumiała zupełnie, dlaczego mąż przestał się uśmiechać i zdawał się być zniecierpliwiony.

— Powiedz, Janie — prosiła przymilnie. — Zofce obiecałam, że się u ciebie prawdy dowiem. Nieskładnie by mi było, gdybyś...

— Ja się w sprawę Wirzbięty i małżonki jego nie mieszam — powiedział ostro Jan. — Co innego ci o nim rzec mogę, że...

— Rzeknij wszystko, co wiesz!

— ...że wielkich to zasług impresor. Nie byle kto, jeno sam Mikołaj Rej z Nagłowic wszystkie niemal książki jemu imprymować dawał.

Twarz Jana ożywiła się nagle, gdy począł wyliczać drukowane u Wirzbięty książki Rejowe:

— ...„Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego”, „Zwierzyniec”, „Zwierciadło”... Ba, i nie tylko Rej, ale i Łukasz Górnicki...

Zbliżył się szybko do stołu i podał Elżbiecie jedną z książek tam leżących.

— „Dworzanin” Łukasza Górnickiego — przeczytała Elżbieta półgłosem. I dalej: — Jest rozkazanie listowne Króla Jego Miłości, aby żaden mimo Macieja Wirzbięte tych książek do lat dziesięci nie drukował ani indziej drukowanych w państwie Jego Królewskiej M. przedawał. A kto się nad rozkazanie Królewskie

tego poważy, ten księgi takowe, co ich kolwiek będzie miał, straci wszystkie i nad to dziesięć grzywien złota winy zapłaci.

Elżbieta lekko wzruszyła ramionami: nie tego przecież chciała się dowiedzieć o Wirzbięcie, ale Jan ruchu tego nie dostrzegł; łagodnie wyjął z rąk Elżbiety księgę i z powrotem na stół ją położył.

— Oto, widzisz, co o Wirzbięcie wiedzieć należy — powiedział. — A gdybyś owego „Dworzanina” czytać kiedyś chciała, tu oto on zawsze leży. Nie będę ci wzbraniał czytania; przeciwnie, rad byłbym wielce...

Dziewka posiłek już wniosła, misy ustawiła; smakowicie zapachniało pieczone mięsiwo.

I jakże się to stało, że cała radość Elżbiety z posiadanych wstąg i materiału na szatkę gdzieś się zapodziała? Nawet nie zdążyła wszystkich gadek opowiedzieć... Księgi, księgi — zawsze Jan tylko o tych księgach najchętniej prawi. A Elżbieta ich nie lubi i nawet patrzeć na nie nie umie przychylnie, bo myśli Jana od niej, żony,

-94-

odciągają. Że Wirzbięta jakiegoś ci tam pana Reja drukował czy Górnickiego...

— A niechże sobie wszystko od niego wychodzi, i Rejowe, i Górnickiego, i innych. A ty... — nie wytrzymała już i głos jej się załamał, jakby za chwilę miała się rozplakać.

— Elżbieto, Halszko! Co ci to, miła? Możeś niezdrowa, może ziąb cię chwycił? — dopytywał się Jan troskliwie. Naprawdę nie wiedział, czym mógł żonie zrobić przykrość; chciał pogwarzyć z nią jak z przyjacielem bliskim, opowiedzieć o swych troskach i radościach — o tym zwłaszcza, że Nidecki dał mu w odpisie parę nowych wierszy poety z Czarnolasu, że może oto ziści się marzenie Janowe i z jego oficyny, z drukarni Łazarzowej, wyjdą na świat ku ludziom te rymy, w których język polski jaśniej nie spotykana dotychczas pięknoscią...

— Elżbieto miła, co ci?

— Nic, Janie, tak tylko. Gorącość mnie jakowaś naszła.

Jakże go nie miłować, Jana, gdy przemawia tak troskliwie, gdy wpatruje się w Elżbietę wzrokiem pełnym niepokoju? Gdybyż tylko zawsze chciał tak słodko w oczy spoglądać, słowa miłe-prawić...

— Już ci lepiej? — spytał Jan, a gdy Elżbieta kiwnęła głową potakująco, dodał z rozjaśnioną twarzą: — Tedy posłuchaj, bo-rzecz nad wszelki wyraz cudną ci odczytam:

Nie wierz Fortunie, co siedzisz wysoko; Miej na poślednie koła pilne oko: Bo to niestała pani z przyrodzenia, Często więc rada sprawy swe odmienia.

Nie dufaj w złoto i w żadne pokłady, Każdej godziny obawiaj się zdrady; Fortuna, co da, to zasię wziąć może, A u niej żadna dawność nie pomoże...

Złożone na podołku ręce Elżbiety białły nieruchomo na tle zielonego jak woda materiału. „Nie dufaj w złoto...” W cóż tedy dufae należy? Dziwne rzeczy prawi ów poeta czarnoleski, dziwne, lecz-i bliskie widać Janowi niezmiernie, bo jakimże on głosem rymy te odczytywał! Jakby słowo po słowie z samego dna własnego serca wyjmował.

Cnota skarb wieczny, cnota klenot drogi! Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi, Nie spali ogień, nie zabierze woda; Nad wszystkim inszym panuje przygoda.

-95-

Białe ręce uniosły się nagle z mieniącej się zielenią materii i niespokojnym ruchem skrzyżowały na piersi. Modre oczy ze skupioną uwagą wpatrywały się w ożywioną twarz męża.

Nie, nie wolno przecież zezwolić na to, by „zła przygoda” zapanować miała nad ich życiem, życiem Elżbiety i Jana. Dziwna myśl przyszła nagle Elżbiecie do głowy: skoro te księgi, te rymy tak bardzo sobie mąż upodobał, to może nie trzeba mu ich z serca wydzierać ani niechęcią kazić, lecz spróbować pomieścić się wraz z nimi w tym sercu Janowym. Tylko... tylko... jakże

to uczynić?

Dłonie Elżbiety spletały się, to rozplatały bezradnie. Jan nie widział niczego, nie domyślał się nawet; pochylony nad zapisanym wierszami arkuszem, czytał je dalej, jeden po drugim, nie podnosząc oczu na żonę:

W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny, Nadzieją kładą...

Nigdy nie dowiedział się, dlaczego spośród wszystkich czytanych dzisiejszego wieczoru rymów czarnoleskiego poety tę właśnie jedną strofę wybrała sobie Elżbieta, by powtórzyć ją nagle głosem wysokim, jakby wzywającym pomocy...

Postawiwszy posiłek na stole, Elżbieta jak szafirowy ptak frunęła ku drzwiom, by gości samych z mężem zostawić, ale ją Wirzbięta w ostatniej chwili od wyjścia z izby powstrzymał.

— Siąǳcie z nami, miła pani — powiedziały. — Wszak ci nie rozprawiamy o żadnych sprawach, których słuchanie byłoby rzeczą nieprzystojną dla niewieściego ucha.

Sprawy, o których tu gwarzono, nic były wprawdzie Elżbiecie obce — zdążył; już przywyknąć do nich i częściowo nawe

-96-

/m

r

l

y

zrozumieć, nie do tego stopnia przecież, by dyskutować teraz z najlepszymi drukarzami Krakowa. Zresztą czuła się wśród nich onieśmielona, toteż z pewnym zażenowaniem odpowiedziała Wirzbięcie:

— Sprawy drukarskie, chociaż i przystojne dla niewieściego ucha, nadto są zawile, by je umysł białogłowy objąć zdołał...

Musiła się zarumienić, takim gromkim śmiechem wybuchnął Wirzbięta, a za nim i inni drukarze: Piotrkowczyk, dwaj bracia Szarffenbergerowie, a nawet jej własny mąż, Jan, roześmiał się także — może nie tak gromko jak inni, ale zawsze... Potem jeden przez drugiego zaczęli ją upewniać, że się bardzo myli, poczęli przypominać, co sami widzieli albo też od drugich słyszeli, jako to niewiasty dzielnie sobie potrafiły radzić w drukarni.

— A Unglerowa Helena! — wołał Wirzbięta. — Gdy mąż pomarł, sama do roboty stanęła, sto czterdzieści ksiąg wydała w swojej oficynie!

— I to jakich! „Kronikę wszytkiego świata” Bielskiego jako ostatnią!

— Albo nasza matka Agnieszka — przypomnieli Szarffenbergerowie, Stanisław z Mikołajem.

Jan, by Elżbiety nie płoszyć, nie wspominał o swej matce, która

7 — Przyjacieli na zawsze

-97-

też przecie ręk nie opuściła, gdy jej przyszło poprowadzić oficynę. I rad był widząc, że Elżbieta wolnym krokiem przybliżyła się do stołu, przy którym siedzieli, chociaż jeszcze nie zasiadła wespół.

Przywołali, by została z nimi — a za chwilę jakby zapomnieli o jej obecności.

Jan pokazywał im jakieś księgi przywiezione z zagranicy.

— To! To jest dzieło, którego sława nigdy nie zgaśnie — gruby Piotrkowczyk trzymał w ręku zgrabną, niedużego formatu książkę drukowaną dziwnymi, lekko pochylonymi literami, przypominającymi trochę pismo ręczne. — I kiedy to było wydane? Prawie osiemdziesiąt lat temu!

— Ba, oficyna Aida Manucjusza do najświetniejszych w świecie należy...

Elżbieta na próżno szukała w pamięci kogokolwiek w Krakowie noszącego to nazwisko, odważyła się więc wtrącić pytanie: gdzie to ów Manucjusz ma swą oficynę, że tak o nim mało słyhać w mieście? A może zgoła nie w Krakowie on swe księgi imprimuje?

— Z Wenecji jest, a raczej był, bo już wnuk jego o tymże samym imieniu dalej po dziadku i ojcu oficynę prowadzi.

I znów wypadło się zapłonić Elżbiecie, pożałować gorzko, że nigdy jakoś nie przyszło jej na myśl zainteresować się, gdzie i kto wydaje księgi, które Jan z taką radością do domu przynosi lub też które mu przysyłano z odległych krajów.

Jan zresztą nieraz jej o tych sprawach opowiadał, tłumaczył coś, pokazywał... Prawda, było tak, tylko że go Elżbieta wtedy niezbyt uważnie słuchała, bo się jej to wszystko nieciekawe zdawało. Skądże mogła wiedzieć, nieboga, że to cała wielka wiedza jest o tych ksiąg drukowaniu, że nie tylko Jan, ale i inni drukarze w Krakowie biedzą się wciąż<sup>1</sup> nad tym, by jak najpiękniej swe księgi wydawać. Ba, i czy aby tylko w Krakowie? Na pewno i w innych miastach po kraju rozrzuconych. A teraz jeszcze słyszy, że nie w kraju tylko, ale i daleko gdzieś, w Italii...

„Że się też tak można w drukarstwie zasłużyć, by sława na cały świat szła jak owego Aida — dumiała Elżbieta. — Że też tak można...”

A oni tymczasem już o czym innym gwarzyli, inne już druki oglądali, zaś Jan wołał z pałającymi oczami:

— Nie będę więcej zdobił ksiąg drzeworytami, jako dawniej czyniono.

Wirzbięta aż uniósł się z krzesła.

— Tedy czym księgę ozdobisz? Najprzedniejsi impresorzy drzeworytami zdobili: i Ungler, i Wietor, i ojciec twój tak samo...

Gruby Andrzej Piotrkowczyk, który oficynę miał przy ulicy

-98-

Floriańskiej, przymrużył wąskie jak szparki oczy i zaczął się śmiać. 'Skory był zawsze do śmiechu, a i teraz ten spór Januszow-skiego z Wirzbiętą wydał mu się zabawny. Sam oczywiście przyznawał rację Wirzbięcie — stary to drukarz, wie dobrze, co mówi. Żaden zresztą z obecnych tu nie był równie zasłużony: nie darmo się przecie mówiło o Wirzbięcie, że jest pana Rejowym drukarzem. Tak, Wirzbiętą wydał Reja, a Januszowski co? Ledwie od roku oficynę prowadzi i oto nie mając zasług żadnych, śmie się spierać... Ale Januszowski mimo młodego wieku spierał się dalej, widać

pewny swego:

— Inicjały piękne, tak, będę je dawał w swych księgach, które zdobić jednak będę tylko ramkami, nie drzeworytami.

Wirzbiętą wzruszył nieznacznie ramionami i lekko przygładził swą siwiejącą brodę: ramkami jeno księgi zdobić? Uśmiechał się z wyrozumiałością i nie zdawał sobie z tego sprawy, że na widok jego uśmiechu brwi Elżbiety ściągnęły się, a głowa jej uniosła się do góry ruchem pełnym godności. Nie rozumiała wiele z tych spraw, ale jedno wiedziała na pewno: że nikomu nie wolno lekko sobie traktować Jana. Chociażby za to umiłowanie sztuki drukarskiej, za oddanie jej myśli i czasu...

Jakże była rada, gdy Jan odpowiedział spokojnie:

— Sam Estienne w Paryżu, którego druki słyną z doskonałości, tak właśnie je zdobi: ramkami...

Nazwisko Estienne podziało na obecnych jak zakłęcie: można się sprzeciwiać pomysłom Jana Januszowskiego z Krakowa, ale Estienne? Nie- mniej on przecież sławny od Aida Manucjusza.

Szarffenbergerowie wiele się nie odzywali; zarówno Mikołaj, jak i Stanisław znali jeszcze Janowego ojca i bardzo go cenili. Lubili też i Jana, więc bez gniewu i bez zazdrości słuchali, jak opowiadał o swych zamiarach. Dlaczego Wirzbiętą uprzedza się do niego? Trzeba młodemu dać czas, by pokazał, co umie.

Ale stary Wirzbiętą nie bardzo się dawał przekonać.

— Na obce wzory patrzysz, te ci się tylko podobają! Nadrukował się Reja i wiele jego myśli przejął za swoje: w ogródek

swój jeno patrzeć, w czterech ścianach domu się zamknąć z żoną a dziećmi, by wieść żywot jednostajny, pracowity i błogi... Rej nie zjechał świata, nie widział, jak ludzie żyją gdzie indziej — z Polski nigdzie się przez całe życie nie ruszył. Wirzbiętą też w jedno tylko patrzył: żeby mu w drukarni wszystko szło spokojnie, gładko; tak jak dawniej, tak samo i dziś.

Ale Jan widział świat, niejedną w świecie oficynę, i wiedział: w drukarstwie cuda czynić można, nowości wprowadzać — cudze pomysły i własne. Jak treść książki zmienia się z latami, jako język

-99-

polski, którym jest pisana, wciąż pięknieje — tak i drukarz wciąż •coś nowego musi wprowadzać w swoją robotę.

— Kochanowski inaczej winien być wydany niżli Rej, bo i pisanie ich odmienne, chociaż w mowie tej samej...

Bracia Szarffenbergerowie w porę się spostrzegli, że do takiej dysputy nie wolno już dopuścić: Wirzbięta nie pozwoli, by kogokolwiek wyżej stawiano nad Reja, Januszowskiemu zaś — wiadomo — Kochanowski pierwszy! Jakoż Wirzbięcie ostry błysk -w oczach zamigotał, Jan zaś mocno rękę o stół oparł... W tejże •chwili Mikołaj Szarffenberger rzucił krótkie pytanie:

— A pokażalbyś nam, Janie, jeszcze druki Plantyna z Antwerpii. Prawda to, że zdobi on swe księgi sposobem czysto drukarskim: łuksztab doborem, budową kolumny?

Dobrze wiedział Mikołaj, na co rozmowę skierować, gdyż Jan ponad wszystko tę właśnie oficynę cenil i śladami Plantyna iść pragnął. Zaraz też przyniósł Plantynowe druki, rozłożył na stole. Mikołaj uśmiechnął się przelotnie, gdy zauważył, że ostry błysk zgasł w oczach Wirzbięty; rad był wielce, że mu się udało nie dopuścić do przykrej sprzeczki.

Pochylili się teraz wszyscy nad drukami i Elżbieta także się podniosła.

Trzy nazwiska z trzech różnych krajów zostały jej z tego wieczoru już na zawsze w pamięci: Manucjusz z Wenecji, Estienne z Paryża, Plantyn z Antwerpii.

— A gdyby to, Janie — powiedziała z uśmiechem, kiedy się już goście do domów rozeszli — gdyby to czwarte jeszcze przy tych najstawniejszych być mogło... gdyby twoje?

Jan podniósł na nią zamyślane oczy; przez chwilę nie pojmował, o czym właściwie mówiła... i nagle z głuchym okrzykiem chwycił ją obiema dłońmi za ramiona z taką siłą, że ledwie dech mogła złapać.

Przestraszyła się. Nie gwałtownego gestu męża, nie jego siły, ale że tak lekko, żartobliwie niemal mogła rzec o tym, co Jan jeszcze najstaranniej sam przed sobą zapewne ukryć się starał.

Zaczął się od widzenia z Kochanowskim, gdy ten zjechał któregoś dnia do Krakowa; długo wtedy rozprawiał z Januszowskim, pilnie oglądał wydane przez niego księgi. Sami nie wiedzieli, jak się to stało, że tak popijając wino i gwarząc, nie tylko zresztą o wierszach i księgach, ale też wspominając z nutką melancholii dawne czasy padewskie — rozgadali się jak para przyjaciół.

Od tej pory zaczęły przychodzić listy od Kochanowskiego, a potem i cała paczka rękopisów nadeszła z Czarnolasu.

-100-

Wkrótce też przysłany w owej paczce „Psałterz” Kochanowskiego poszedł pod prasy drukarni Łazarzowej i Elżbieta z niemałym wzruszeniem odczytywała ulubione słowa siódmego psalmu, wydrukowane na białym pięknym papierze: W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny, Nadzieję kładę...

W jakiś czas potem Andrzej Piotrkowczyk, niby ze śmiechem, a trochę też i z zazdrością, której mu nikt, nawet sam Januszowski, za złe nie brał — opowiadał wśród krakowskich drukarzy, że się chyba jakowaś bania z utworami Kochanowskiego rozbiła nad drukarnią Łazarzową.

A ludzie zachłannie kupowali dzieła poety z Czarnolasu, wyczekiwali, kiedy ukażą się nowe. Mało im było jednego wydania, więc po pierwszym szło drugie i dalsze wydania „Psałterza” czy „Trenów”.

Żeby ze wszystkim nadążyć, musiał Januszowski czwartą prasę sprowadzić do i tak już zapchanego warsztatu, zwłaszcza że prócz utworów Kochanowskiego wiele jeszcze innych ksiąg wydawał, nawet i w obcych językach.

Pewnego przedzimowego dnia nadeszła paczka, a w niej uporządkowany przez poetę z Czarnolasu zbiór „Fraszek” — do druku. Znane już one były szeroko z odpisów; wiele z nich nieodmiennie wygłaszano na każdej biesiadzie, bo też żadne wiersze nie nadawały się tak do cytowania wśród wesołej przyjacielskiej po-gwarki przy winie.

Chyba jeszcze tamto wino, spijane przez Kochanowskiego przed laty na dworskich biesiadach, musiało szumieć w tych rymach i brzmiały w nich także na pewno dalekie echa włoskich piosenek miłosnych śpiewanych pannom w uczuciach niestałym.

Gdy czeladnicy Januszowskiego zaczęli tekst składać, nierzadko wybuchali nad nim wesołym, beztróskim śmiechem, a co senty-



л

I órych fraszek na pamięć, by po-

iiie.

powiadali z wciąż rosnącą

nuszowski Typografem Jego Kró-

idy, przecież — trzeba przy-

ugi w drukarstwie polskim położył.

co na takie gadanie, rychło jednak

sprzeciwiać, bo go inni zakrzyczą, i to nie

"ii inaczey przepowiadał:

em królewskim Januszowski

stanie.

:! krótkim, urywanym śmiechem,

irytację. Raz jednak nie zdołał się opanować

•ii: niechże podobnych żartów zaprze-

sce nikt jeszcze i nigdy tak znakomitego tytułu

1 yło zbić z tropu; nawet się na Wirzbiętę

krótko wszystkim przypomniał: iii taki właśnie ma tytuł. Kraków zaś od \_\_\_\_l

nie tylko w kraju, ale

mi.

9ZZJ>r&jac)ffin j spotykać, do Elżbiety zaś dochodził

mentalniejszy — uczył się poniekórych fraszek na pamięć, by powtórzyć je swojej dziewczynie.

Zaś drukarze, schodząc się razem, przepowiadali z wciąż rosnącą pewnością, że tylko patrzeć, a Januszowski Typografem Jego Królewskiej Mości zostanie, bo chociaż młody, przecież — trzeba przyznać — niepomierne już zasługi w drukarstwie polskim położył.

Wirzbięta zrazu zżymał się nieco na takie gadanie, rychło jednak pojął, że nie ma co się sprzeciwiać, bo go inni zakrzyczą, i to nie bez racji. Piotrkowczyk zresztą jeszcze inaczej przepowiadał:

— Nie typografem, architypografem królewskim Januszowski zostanie. Będziecie widzieć, że się tak stanie.

Wirzbięta na te słowa parsknął krótkim, urywanym śmiechem, chcąc pokryć nim irytację. Raz jednak nie zdołał się opanować i ostro Piotrkowczyka skarcił: niechże podobnych żartów zaprzestanie, jako że w Polsce nikt jeszcze i nigdy tak znakomitego tytułu

nie posiadał.

Ale Andrzeja niełatwo Yylo zbić z tropu; nawet się na Wirzbięte nie obejrzawszy, dobitni? a krótko wszystkim przypomniał:

— Plantyn w Antwei piii taki właśnie ma tytuł. Kraków zaś od Antwerpii nie gorszy, przecież głośno o nim nie tylko w kraju, ale i daleko poza jego granicami.

Januszowski nic o tych pogwarkach nie wiedział, bo nieczęsto mógł się teraz z przyjaciółmi spotykać, do Elżbiety zaś dochodziły one drogami bardzo okrężnymi, poprzez plotki, mocno czasem zniekształcone, a powtarzane wśród żon drukarzy:

— Druki Januszowskiego równie wspaniałe, jak Plantynowe...

Niewiele niewiast wiedziało, co to znaczy, ale Elżbieta już pojmowała i miłe jej było słuchanie takich gadek. Jak na skrzydłach śpieszyła potem do domu, by powtórzyć owe pochwały mężowi. Tylko że Jan wcale się nie radował; słuchał tego obojętnie, jakby to nie o nim była mowa, albo i zżymał się nawet:

— Wstyd powtarzać rzeczy nierozumne: mnie tak do Plantyna, jako miesiącu do słońca. A druki moje wciąż nie tak doskonałe, jakbym je widzieć pragnął.

I niepomny wszystkich pochwał, zarówno niesłusznych, jak i słusznych, nie szczędził czasu ni trudu, by druki swoje doskonalić.

" — Jeszcze trochę — powiadał — a zobaczysz, co zrobię.

Elżbieta uśmiechała się:

— Pewnikiem znów buksztaby będą nowe, kroju francusko-ni-derlandzkiego...

— Nie, Elżbieto, chcę mieć... wiesz, chcę mieć czcionki nowe, ale polskiego kroju!

-102-

— Powiadałeś, że Wietor takie robił.

— Ja dalej poprowadzę Wietorowe zamysły.

— Już nie wiem, kiedy to zrobić wydołasz — zatroskała się Elżbieta. — „Fraszki” jeszcze nie ukończone.

-r- Żeby się tylko księga Kochanowskiemu podobała — troskał ię Jan. — Chciałbym mu dogodzić, by nigdy nie pożałował, że rawie wszystkie swe dzieła mnie do druku daje. — Jeszcze by też żałować miał... Znamienitszego typografa i całym kraju nie znajdzie! — obruszyła się Elżbieta. — Kiedy iu pošlesz, Janie, książki?

— Już niezadługo.

— A do Czarnolasu kiedy pojedziesz?

— A też wnet pewnie. Wiesz, Halszko — zastanawiał się Jan — ak z „Fraszki” robotę skończę, może pojedę. Chyba... — Jan iie potrafił skryć uśmiechu — chyba że mi znów coś nowego mistrz :zarnoleski do druku nadeśle...

Nie nadesłał jednak. Żaden umyślny paczki rękopisów nie przywiózł. Tak się zdarzyło, że sam Jan musiał jechać po nie — po wszystkie, po całą spuściznę poety.

Stało się bowiem, że owe „Fraszki” radosne i lekkie, wyszłe ;pod pras drukarni Lazarzowej, były ostatnią z ksiąg Kochanow-ikiego, za życia poety wydaną.

Sierpień się właśnie kończył. Słońce było już wysoko, gdy Janu-szowski dojeżdżał do Czarnolasu. Zarówno wieś, jak i dom Kochanowskiego, widoczny z daleka bielą ścian, wydały mu się zrazu liepokażne i nie bardzo umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego to po-sta zdecydował się porzucić dworskie splendory, by osiąść w zakątku tak mało ciekawym, położonym na równinie porostej gęstymi lasami. Gdzieniegdzie tylko mignęła z daleka tafla jeziora czy stawu i dawały się słyszeć wrzaskliwe wołania wodnego ptactwa. Słońce paliło bez umiaru, gęsty pot rosł czoło Januszowskiego. Żałował, że nie wybrał się wcześniej, gdy jeszcze żył Kochanowski, teraz bowiem niewiele obiecywał sobie po rozmowie z panią Dorotą i biedził się nawet, czy niewiasta zdoła pojąć wszystko, o co mu chodzi, i czy da rękopisy. Już dawno układali się z Kochanowskim, że mu Januszowski wszystkie dzieła wyda w całości; śpieszył więc teraz Jan, by rękopisy uzyskać i obietnicy swej jak najrychlej dopełnić. Niechże mu tam inni marmurowe nagrobki stawiają, epitafia żalosne na nich dłutem ryją... Mniej się to zdawało Janu-szowskiemu trwałe i godne pamięci poety niż każdy wiersz wydany drukiem. „Zaprawdę — myślał jadąc — wielu dziwne się to zdać

-103-

może, ale dzieło pras drukarskich większą ma trwałość niżli najtwardsze marmury...”

Konie zmęczone upałem wlokły się noga za nogą i szeroka aleja lipowa wiodąca ku dworkowi przybliżała się niezmiernie powoli. W końcu jednak dojechali do niej, radzi, że da schronienie przed nieznośną spiekotą. Aleja była długa, a lipy, którymi z obu stron ją wysadzono, z pewnością wiele lat miały, bo pnie ich nie dałyby się objąć ramionami jednego człowieka, zaś gałęzie szeroko rozrośnięte tworzyły niby dach zielony nad podróżnymi.

Miły chłód w alei i przyćmione zielenią gęstych liści światło miały w sobie coś tak spokojnego i pogodnego zarazem, że Januszowski przez chwilę zapragnął, by mogli tak jechać jeszcze długo — wolniutko i cicho, do niczego się nie śpiesząc i niczym się nie kłopotując. Wyobrażał też sobie, jak to Kochanowski nieraz musiał tą samą aleją chadzać i odpoczywać w jej chłodzie, nasłuchując szumu wiatru wśród gałęzi.

Jednak aleja wnet się skończyła i dworek niepokąźny wprawdzie, ale miły ukazał się już zupełnie blisko. Obok domu, pod rozłożystą lipą, stała ława i stół drewniany, dalej ciągnął się sad i dworskie zabudowania. Januszowski dostrzegł też, że przed otwarte drzwi domu wyszła na próg niewiasta i ocieniwszy dłonią oczy, spoglądała w stronę nadjeżdżających. Domyślił się, że ma przed sobą panią Dorotę Kochanowską.

-104-

Wysiadłszy powitał ją dwornie i rzekł, z czym przyjeżdża. Okazało się, że sprawy te nie były jej obce; wiedziała o zamysłach męża, co zaś do rękopisów:

— Jest ich wiele — rzekła — uporządkowałam wszystkie: Niektóre utwory nigdy jeszcze nie były drukowane. Siądźcie, panie, boście pewnie zdrożony. Jadła i napitku wam przyniosę, ale nie pogniwajcie się, że nie taki on będzie jak ten, do którego pewnie w mieście jesteście przyzwyczajeni.

Pani Dorota znikła we wnętrzu domu, a Januszowski usiadł na ławie pod lipą. Miejsce to wydało mu się dziwnie znajome; zdała mu się, że w szumie liści niemal słyszy słowa Kochanowskiego,, które tak niedawno jeszcze pieczołowicie drukował we „Fraszkach”:

Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie! Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie, Choć się nawyśzej wzbije, a proste promienie Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie. Tu zawsze chłodne wiatry z pola zawiewają...

— Więc to tu... — powiedział Januszowski nie widząc, że pani Dorota już od chwili stoi z boku. Wdzięczny jej był, że jakimś zwykłym słowem nie przerwała mu słuchania lipy i przywoływania na pamięć słów poety.

— Tu — powtórzyła. — Lubił to miejsce nad wyraz... Milczeli chwilę oboje, po czym pani Dorota już głosem zwykłym,

spokojnym rzekła:

— Tak też myślałam sobie, że rychło przyjedziecie. Rękopisy są; przyniosę, wszystko wam w ręce oddam. Wydacie je, prawda?

— Wydam — powiedział Januszowski.

Chciał jeszcze rzec coś więcej, ale pani Dorota dalej wypowiadała głośno swoje myśli:

— A tytuł tej książki? — zapytała. — Wdzięczna bym wam była, gdybyście nad tym zechcieli pomyśleć. Ja już się zastanawiałam, ale sama nie wiem: nie można przecie w tytule wymienić rozlicznych utworów w księdze zawartych... Jakże więc dać tytuł, by wszystko w sobie pomieścić?

— To nie będzie łatwe... — odpowiedział zamyślony Januszowski.

Słońce powoli zaczęło schodzić nad las, a z rżysk podniosła się wielogłosowa muzyka polnych świerszczy. Nie mąciła ona jednak ciszy wkoło panującej, zdawała się brzmieć poza nią.

— Zgoła inaczej wiersze niektóre pojmuję teraz, gdy tu jestem — przyznał Januszowski.

-105-

Pani Dorota nie była zbyt rozmowna, a i Januszowskiemu nie zdawało się, by wiele mówić należało. Rad byłby dłużej tu pozostać, ale robota w drukarni nagliła, więc mimo zmęczenia jeszcze wieczorem wyruszyć chciał w drogę powrotną.

Pani Dorota dała mu paczkę dużą, starannie opakowaną, a głos jej drżał mocno, gdy mówiła:

— Jeno nie urońcie nic z tego; jeno pilnujcie jako duszy własnej. Chyba pojmować musicie, że skarb to jest mój największy... Chciał rzec, że nie jej tylko, że wszystkich chyba, kraju całego; chciał przypomnieć, jak to Rej nazwał Kochanowskiego „kochaniem wieku swego”; chciał zapewnić, że nie swego wieku, ale i wszystkich następnych wieków kochaniem pozostanie ten wielki poeta. Chciał rzec jeszcze wiele, ale w końcu nic nie powiedział, by żadnym własnym słowem nie skazić tej chwili, gdy wstawszy z ławy, przyjmował z rąk pani Doroty arkusze gęsto zapisane tak znajomym, drobnym pismem.

Niezadługo zaś znów jechał aleją lipową. Już nie było skwaru, słońce znikło za lasem, ozłacając tylko nieliczne chmurki nieruchomo tkwiące na poszarzałym niebie. Na trawie zaczynała osiadać wieczorna rosa.

Lecz nie byłby chyba Januszowski pierwszym typografem w Królestwie, gdyby trzymając na kolanach szczelnie zawinięte rękopisy nie wybiegał myślą do chwili przyszłej, kiedy rymy w nich zawarte będą już wydrukowane i w oprawnych księgach na cały kraj do ludzi wyjdą.

Będzie na tych księgach jako i na wszystkich innych, dawniej za życia ojca wydawanych, znak drukarni Łazarzowej: wysoki obelisk, ptaki nad nim lecące kluczem pod chmurami i napis: „W Krakowie. W drukarni Łazarzowej. 1585”.

Januszowski przymknął powieki, starając się wyobrazić sobie kartę tytułową książki... Już ją niemal widział: zdobioną listwą o specjalnie delikatnym rysunku. Listwa na wzór ramy obejmowała tytuł. Nie otwierając oczu, Jan zmarszczył brwi: tytuł? Tytułu nie umiał sobie wyobrazić. Prawdę mówiła pani Dorota — wszystko musi on w sobie pomieścić: niefrasobliwą radość jednych utworów, powagę innych — aż po głęboką żalność „Trenów”. Całego, całego człowieka, który w swych rymach umiał najprawdziej wypowiedzieć dobre i złe chwile życia.

Kopyta końskie klaskały o wyschniętą, stwardniałą drogę. Na niebie zaczęły wyblyskiwać pierwsze gwiazdy i blady, zamazany sierp księżycy wyłonił się zza drzew. Woźnica raz i drugi krzyknął coś do koni, by je przynaglić, bo w oddali ukazały się już zabudowania Radomia.

-206-

Gdy Jan przyjechał wreszcie do Krakowa, Elżbieta o nic nie pytała. Zatrzaszczyła się tylko, żeby zjadł choć trochę, napił się czegoś gorącego, żeby się dobrze wyspał. Taki był zmizerowany i przejęty, smutny i zamyślony. Trzeba go było zostawić w spokoju, pytaniami ani niepotrzebnym mówieniem nie dręczyć; sam, gdy zechce, o wszystkim powie.

Ale Jan tym razem nawet niezbyt wiele opowiadał, za to całymi godzinami przesiadywał nad poprzednimi wydaniem niektórych dzieł i nad przywiezionymi rękopisami. Okazało się, że i takie wiersze w nich znalazł, które jeszcze nigdy nie były drukowane. Widocznie Kochanowski zatrzymywał je dla jakichś sobie tylko wiadomych przyczyn. Teraz jednak pani Dorota najtroskliwiej każdą zapisaną kartkę odnalazła i Januszowskiemu dała. Część z nich nawet niezbyt wyraźnie była pisana i Januszowski z wielką troską myślał, że niektóre słowa przy składaniu czcionkami łatwo można przeinaczyć.

Wszystkim swoje księgi daję... — pisał Kochanowski.

Gest poety szeroki i piękny...

Teraz było już rzeczą drukarza, by dar ów wspaniały istotnie do wszystkich dotarł w tysięcznych nakładach książkowych.

Januszowski czuł wagę sprawy, jak może nigdy dotychczas, i za swoją niemal przyjął ową strofę mistrza z Czarnolasu, sił nie szczędząc ni pracy, ni woli najlepszej.

Niezbyt może rychło, ale z wielkim staraniem przygotowywał arkusz po arkuszu do druku i dawał do składania. Korekty sam przeprowadzał, jeszcze raz i jeszcze wszystko sprawdzał, na nowo odbijać kazał, aż wreszcie zlecenie dawał czeladnikom:

— Można drukować!

I chociaż starali się wszyscy, jak mogli, chociaż więcej godzin, niżby się należało, przy prasach spędzali — przecież Januszowski jeszcze sam doglądał druku każdego arkusza.

Wreszcie przyniósł jeden, z jakimś uroczystym wyrazem twarzy, ze wzruszeniem, które na próżno starał się ukryć — sam przyniósł, dał Elżbiecie...

— Zobacz!

Podniosła na niego zdziwione oczy.

— Dlaczego nie od pierwszego arkusza zaczynasz druk, Janie? — Wiedziała już, że nigdy tego nie robił; gdy książka szła do składania, miał zawsze opracowaną stronę tytułową.

— Dlaczego, Janie? — powtórzyła. Odpowiedział gwałtownie, jakby nierad, że o to pyta:

— Nie mogę, nie mogę, Elżbieto, znaleźć tytułu dla tych rymów wszystkich... Jeszcze ciągle nie wiem...

-107 -

— Jakże? — cienkie brwi Elżbiety uniosły się w górę. — Księga bez tytułu?

Jan wzruszył ramionami i podszedł ku oknu. Nawet nie słuchał, gdy żona wychwalała arkusze, że pięknie, starannie odbity, że jest zdobiony dyskretnie: nie za wiele — tyle, ile potrzeba...

W jakiś czas potem wyszedł spod pras trzeci, potem czwarty arkuś i dalsze, a Jan wciąż jeszcze nie miał tytułu. W uszach dźwięczały mu słowa pani Doroty: „Jakież więc dać tytuł, by wszystko w sobie pomieścić?”

I Elżbieta widać musiała przemyśliwać nad tą sprawą, bo któregoś dnia siedząc nad rozdartą szatką małego synka, spytała, nie podnosząc głowy: „

— Jakże będzie, Janie? Przecież widzi mi się, że rychło Kochanowski już do ludzi iść winien.

— Cóżżeś rzekła? — Jan w pierwszej chwili nie zorientował się, o co szło żonie.

— O Kochanowskim, o rymach jego... Jakże inaczej nazwać mam księgę, skoro jeszcze tytułu nie ma?

Nagle stało się coś niespodziewanego: Jan wstał od stołu i chwycił świecę na nim stojącą. Trzymając ją wysoko, nad głową, podszedł do żony.

— Halszko — spytał, wpatrując się z natężeniem w jej oczy wzniesione ku niemu. — Halszko miła, jakożżeś rzekła? Rychło... rychło...

— ...rychło Kochanowski już do-ludzi iść winien... — powtórzyła cicho, patrząc na męża z rosnącym niepokojem. Przemęczony jest ostatnio, wciąż zdenerwowany. Czasem nawet trudno pojąć, z jakiej przyczyny w gniew wpaść potrafi. Więc i teraz... Lecz twarz Jana nie zdradzała gniewu, raczej myśli natężenie.

— Janie, co tobie?

Elżbieta zobaczyła, że oczy męża zapaliły się nagłym błyskim tryumfu, radości, że twarz mu się rozjaśniła. Miętko, pełnym serdeczności ruchem położyła dłoń na ramieniu żony.

— Miła moja, żeś ty to pojęła, żeś odnalazła tytuł księgi!

— Ja?

— Ty! Ty jedna, jako żywo! Jam rozmyślał i biedził się przez czas długi, a przecież nie zrozumiał, że żadne, żadne inne słowo nie obejmie pełniej tych rymów, w których mistrz czarnoleski siebie całego wypowiedział.

— Nie pojmuję zgoła, Janie...

A przecież — niepewnie jeszcze — zaczynała pojmować, o co mężowi chodziło, czemu nagle, pełen radości, rzucił się ku schodkom pośpiesznie, żwawo, jakby mu dziesięć lat ubyło.

- 108-

Słyszała, jak nawoływał w warsztacie:

— Czcionki dawajcie, a żywo. Listwy co najpiękniejsze! Tytułową kartę składać będziemy. Jutro rano druk pierwszego arkusza się zacznie.

A gdy w niedługi czas potem Elżbieta ów pierwszy arkusz w ręce dostała, nie zdziwiła się zobaczywszy na nim tytuł, który sama nie wiedząc podsunęła: „Jan Kochanowski”.

„Prawda — pomyślała — że się wiele w tym tytule mieści — treść rymów wszystkich, cały poeta...”

Na dole równomiernie łomotały prasy; Jan umawiał się z introligatorem.

Wzrok Elżbiety ześliznął się niżej i zatrzymał na słowach pozornie nieważnych: „W drukarni Łazarzowej. 1585”, na wyrysowanym obelisku z lecącymi nad nim ptakami...

Śłf^ N \ 11.OHIWSHilJ „POD W IEWIÓKKĄ '

nsztownej roboty umieszczony na wieży Ratusza ■Bgc lelodią dzwonów oznajmił południe mieszkan-  
ce a, w chwilę zaś potem z drugiej wieży —

W uszowa, smuklejszej i cudownie zdobionej koroną - rozległ się dźwięczny, jasny głos hejnału. Iyba ani jednego człowieka na Rynku, ani jednego ród kilkunastu tysięcy mieszkańców miasta, w którym en dźwięk, tak przecież bardzo pogodny i czysty, nie za-

rce niepokojem.

Ł cuerywali robotę, zwracali twarze w stronę, skąd ów egai, wsłuchiwali się w każdą nutkę, a kiedy i ta ostatnia i na chrapliwym dźwiękiem trąbki nagle milkła — nastu:-cze długą, bardzo długą chwilę, aż się głos rozplynie trzu. Potem jeszcze słuchali ciszy... czy nie zmąci jej pogłos trąbki, w którym juz nie hejnał zadźwięczy, ale staro-i pieśń rycerska, wiodąca niegdyś wojsko polskie do ataku unwaldzkich polach — „Bogurodzica”.

niespokojne to były czasy, ta druga połowa siedemnastego

ku. Mocno jeszcze w sercach i pamięci ludzkiej tkwiła pięć lat

a wojna ze Szwedami, po której bogate, przez długie setki

ie miasto, ze znanstwem zdobione i umiłowaniem —



ęści legło w gruzach. W tych to czasach jakże często

— "hasło do natychmia-

NA FLORIAŃSKIEJ „POD WIEWIÓRKĄ"

><\$%%> eFar kunsztownej roboty umieszczony na wieży Ratusza

IIЩY5 łagodną melodią dzwonów oznajmił południe mieszkań-

JŁ. com Krakowa, w chwilę zaś potem z drugiej wieży —

wyższej niż ratuszowa, smuklejszej i cudownie zdobionej koroną

ze złoconej blachy — rozległ się dźwięczny, jasny głos hejnału.

Nie było chyba ani jednego człowieka na Rynku, ani jednego nawet spośród kilkunastu tysięcy mieszkańców miasta, w którym by na ten dźwięk, tak przecież bardzo pogodny i czysty, nie zadrgało serce niepokojem,

Ludzie przerywali robotę, zwracali twarze w stronę, skąd ow głos dobiegał, wsluchiwali się w każdą nutkę, a kiedy i ta ostatnia przerwana chrapliwym dźwiękiem trąbki nagle milkła — nasłuchiwali jeszcze długą, bardzo długą chwilę, aż się głos rozplynie w powietrzu. Potem jeszcze słuchali ciszy... czy nie zmąci jej ponowny głos trąbki, w którym już nie hejnał zadźwięczy, ale starodawna pieśń rycerska, wiodąca niegdyś wojsko polskie do ataku na grunwaldzkich polach — „Bogurodzica".

Bo niespokojne to były czasy, ta druga połowa siedemnastego wieku. Mocno jeszcze w sercach i pamięci ludzkiej tkwiła pięć lat trwająca wojna ze Szwedami, po której bogate, przez długie setki lat zdobione miasto, ze znanstwem zdobione i umiłowaniem — w dużej części legło w- gruzach. W tych to czasach jakże często trąbiono z Mariackiej wieży „Bogurodzicę" — hasło do natychmiastowego chwytania za broń. A po siedmioletnim zaledwie pokoju już inna wojna się rozpętała — z Turkami. I znów, chociaż nawet dobre wieści przychodziły o tym, jak pan hetman Sobieski gromi nieprzyjaciół, przecież każdy żył w niepokoju, nasłuchując jednakowo i pogłosek wojennych, i dźwięku trąbki, który pewnego dnia mógł przynieść wiadomość najgorszą — o oblężeniu miasta.

- 110-

•

Dziś wieści złej nie było i ludzie odetchnęli jakoś swobodniej, a Stanisław Piotrkowczyk, drukarz krakowski, uśmiechnął się nawet lekko i zaczął się przyglądać srebrnym nitkom babiego lata, których dużo fruwało w powietrzu.

Ruszył żwawym krokiem w stronę ulicy Floriańskiej, gdzie w domu „Pod Wiewiórką" mieścił się jego warsztat drukarski i mieszkanie. Właściwie rad był dzisiaj: zakupił dobry papier, sporo miał roboty w warsztacie... Nie ma co, sprawnie mu idzie drukarnia, dochód z niej niezgorszy, a do tego uznanie wszystkich — też przecież rzecz miła.

Nie darmo powiadali ludzie, że najlepsze druki tego wieku z dwóch drukarni wychodziły: Piotrkowczyków i Cezarych. Teraz drukarnia Cezarych od paru lat jest nieczynna, więc już nawet nie ma do kogo przyrównać Stanisława Piotrkowczyka. Najprzedniejszy jest — to pewne, bo warsztatów Góreckiego, Smieszkowicza czy Mościckiego właściwie nie ma co liczyć; nic godnego uwagi od nich nie wyszło. Byleby więc tylko Turcy pod Kraków nie podeszli, a naprawdę i jest, i będzie Panu Bogu za co dziękować.

Stanisław wypiął pierś, głowę uniósł w górę i tak pełen zadowolenia godnie kroczył Rynkiem, od czasu do czasu odpowiadając poważnym skinieniem na ukłony różnych znajomych.

I nagle natknął się na tego, którego najmniej chyba w całym Krakowie pragnął spotkać: na Franciszka Cezarego. Nie lubił tego młodzika, chociaż znał go niemal od dziecka. Nie lubił jego ruchliwej twarzy, nieopanowanych ruchów, nie lubił nade wszystko

I

jego głosu, w którym prawie zawsze czuło się jakąś nieuchwytną nutkę kpiny.

— Witajcie, sławny dziedzicu sławnego rodu! — wykrzyknął Franciszek, zamaszystym ruchem kłaniając się Piotrkowczykowi.

— Witaj! — krótko odrzekł Stanisław, a że się przechodzący ludzie zaczęli na nich oglądać, dodał też: — Dałbyś spokój...

— Alboż to nie jesteście sławny? — chłopak podniósł obie ręce i nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty Stanisława, wołał dalej: — Alboż to nie z waszej drukarni pochodzą owe utwory pełne wychwalania przymiotów pań dostojnych? Czyż nie wy drukujecie owe mowy wzniosłe, które na pogrzebach znamienitości różnych wygłasza...

„Błazna, jak zwykle, z siebie robi!” — pomyślał Stanisław, zaś głośno powiedział:

— Konstytucje sejmowe też drukuję, a jeślibyś chciał wszystkie druki wyszłe z drukarni mojej wyliczyć, toby ci dnia dzisiejszego nie starczyło.

— Zapewne i dwóch by mało było — niefrasobliwie przyznał Franciszek, opuszczając ręce.

Stał teraz przed Piotrkowczykiem drobny, smukły z ciemnymi włosami spadającymi na ramiona, bardzo młodzieńczy i bardzo podobny do swego stryja, który już od lat nie żył i który był poetą.

— No, a u was w warsztacie jakże? — spytał Stanisław, chociaż i tak wiedział, co mu chłopak odpowie.

Nie omylił się.

— W drukarni? Co ma być? — Franciszek wzruszył lekko ramionami. — Nic.

— Bobyście ją sprzedali — poradził Piotrkowczyk. — Byle tylko dobrego kupca znaleźć, który zapłaci...

— Prawda? — zawołał Franciszek z zupełnie jawną drwiną. — Bo i po co warsztat drukarski, skoro od śmierci babki mojej nic

-112-

z niego nie wyszło? Święta to racja, co mówicie. A jakby się cieszyli i ciotka Anna, i mój wuj, gdyby jeszcze żył, słysząc wasze słowa. Oni z dawna już chcieli drukarnię sprzedać.

Wybuchnął nagle śmiechem, nie wesołym, nie młodzieńczym — gorzkim jakimś, chrapliwym.

Stanisław odrócił się niechętnie i nie patrząc na Franciszka, rzekł:

— Jak nie chcesz sprzedawać, nikt cię przymuszać nie będzie. Za parę lat, gdy ci matka objąć warsztat pozwoli, możesz się drukarstwem zająć. Wiele się teraz w Polsce drukuje...

— Wiele — z irytacją podjął młodzik. Przechylił się, zaglądając w oczy Stanisławowi, i głosem, w którym daremnie byłoby szukać teraz kpiny, tak pełen był tajonego żalu, zapytał: — Jeno co się drukuje, Stanisławie, dziedzicu Andrzeja Piotrkowczyka, który drukarnię zakładał za wielkich czasów Jana Kochanowskiego?

Stanisław nie odezwał się w pierwszej chwili, patrzył na pytającego zgorzony, nie rozumiejąc, czego chłopak chce. Po co dziada Piotrkowczyka wspomina? Po co Kochanowskiego, którego nikt już dziś nie czyta?

— Upiłeś się czyś się blekotu najadł? — spytał wreszcie. Franciszek spoważniał; już bez kpiny, bez złośliwości powiedział:

— Nie, tyłkom dziś miał w ręku dzieła Jana z Czarnolasu przez Januszowskiego drukowane, więc wiecie...  
”

— Więc cóż? — uśmiechnął się z pewną wyższością Piotrkowczyk. — Ja też je mam w domu. Dziad mój ponoć był w zażyłości z owym Januszowskim, dostawał od niego książki, a gdy tamten pomarł, sam też niemało dzieł Kochanowskiego wydał.

— Ooo! — zdziwił się Franciszek. — Naprawdę?

I zamyślił się głęboko; siedł obok Piotrkowczyka milczący i pochmurny.

„Tak, tylko jedna jedyna babka Barbara — wspominał — inna była niż wszyscy i z nią o każdej sprawie można było mówić. Nigdy nie wypominała różnicy wieku, słuchała mądrze i umiała poradzić. Do ostatniego tchu prowadziła drukarnię, druki podpisywać kazała: »U wdowy i dziedziców Franciszka Cezarego«”.

— Gdy ty obejmiesz drukarnię — prawila wnukowi — tak jak twój dziad będziesz podpisywał, bo i jego imię nosisz: „W oficynie Franciszka Cezarego”.

Franciszek nie miał wtedy nawet dziesięciu lat, ale niezmiennie obiecywał:

— Będę!

Kochał babkę i podziwiał, a po jej śmierci czuł się bardzo samotny.

8 — Przyjaciół na zawsze

-13-

I teraz oto Piotrkowczyk prawi mu o sprzedaży drukarni... A niechby góry złota kładli — nic z tego!

Piotrkowczyk obserwował spod oka milczącego chłopca: gdyby nie te jego błazeństwa, kpiny, może dałby się lubić. Tylko że taki niespokojny...

A jednak Piotrkowczyk wyciągnął dłoń, poklepał chłopca po ramieniu, mówiąc:

— Jeżeli cię tak owe rymy Kochanowskiego ciekawią, co je Januszowski drukował, możesz zejść któregoś dnia do mego domu, to ci je pokażę.

Twarz Franciszka rozjaśniła się uśmiechem.

— Nie żartujecie? Rad bym je w samej rzeczy zobaczyć. I jakby chciał wyjaśnić tę ciekawość swoją, dodał tęsknie:

— A na drukach, które babka moja wydawała, znak kładła, wiecie: obelisk wysoki, a nad obeliskiem ptaki lecące pod chmurami.

Stanisław nie zrozumiał, jaki to może mieć związek z księgami, które w swym domu posiadał i do których, prawdę rzekłszy, nieczęsto zaglądał.

— Nie potrzebujesz opisywać: znak wasz mi nieobcy.

— Znak nasz wam nieobcy — przyznał Franciszek, patrząc nie na Piotrkowczyka, lecz gdzieś przed siebie — ale może nie wiecie, że nie babka go wymyśliła...

Stanisław zmarszczył brwi, coś sobie usiłował przypomnieć. Prawda, widział już i na innych drukach ten obelisk, na księgach....

— Nie pomnę w tej chwili, kto dawniej dawał znak podobny — przyznał niezadowolony.

— Januszowski. Znak to drukarni Łazarzowej.

— Tak też mi się coś i widziało!

Rozdrażniło go, że chłopak wciąż uparcie wracał do tamtych dawnych czasów, jakby dziś nie było drukarzy w kraju, których by sobie mógł za wzór obrać. Z najprzedniejszym w tej chwili przecież rozmawia, a wciąż innych wspomina... Jakże to powiedział? „Wielkie czasy Jana Kochanowskiego?”

■— Ja też, gdy drukarnię obejmę, będę tak znaczył swe księgi — powiedział bardzo czystym głosem Franciszek.

— Księgi? Księgi chcesz drukować? Rymy może jakoweś? — roześmiał się ubawiony tymi projektami Piotrkowczyk.

Ale we wzroku chłopca było coś takiego, że się poczuł nieswojo-i nie wiedząc czemu, śmiech urwał.

— Odziedziczyliście wy warsztat drukarski, czcionki, inicjały, prasy... a przecież czegoś wam nie dostaje — w zamyśleniu powiedział Franciszek.

-114-

Stanisław zdumiał się.

— Czegóż by mi miało nie dostawać? Dość mam przecież wszystkiego, a jak mi będzie mało, zamówię czcionki czy nową prasę. Wszystko będę miał, czego potrzeba do drukowania.

— Do drukowania mów pogrzebowych czy pochwalnych? — szyderczo spytał Franciszek mrużąc oczy.

— Znów zaczynasz błaznować — niechętnie powiedział Stanisław i jednym ruchem ręki odsunawszy lekko chłopca, ruszył naprzód.

Czuł jakiś niepokój i na próżno starał się znów przywołać owo pogodne, miłe zadowolenie, którym się sycił jeszcze przed godziną. Dziwne, że nie chciało powrócić.

„Ech! — pomyślał w końcu, dochodząc już niemal do swego domu. — Wszystko jest dobrze: drukarnia i zarobki, i sława... Wszystko jest dobrze. Pewnikiem zjadłem coś niestrawnego. Wywaru z ziół się napiję...”

Któregoś dnia Stanisław stwierdził z niemałym zdziwieniem, że przecież nader niecierpliwie wyczekuje obiecanego przyjścia Franciszka Cezarego.

Śmieszne mu się to wydało i iwciale nie pasujące do sławnego drukarza, właściciela zasobnego domostwa i warsztatu. A jednak czekał, nawet przyspieszył o kilka dni zakup nowego mebla: ogromnej, masywnej szafy gdańskiej. Jakby się tym sprzętem chciał pochwalić, jakby jeszcze nie dość było żółto-niebieskich tkanin, pokrywających ściany zarówno\* większej, jak i mniejszej izby, i kobierców na kamiennoceglanych podłogach. Zresztą sam piec z zielonych kafli, które na dobre weszły w modę, ale były jeszcze bardzo drogie, świadczył o bogactwie domu, nie mówiąc już o zegarze wybijającym godziny drewnianymi młoteczkami.

Stanisławowi przyszło na myśl, że może rację miała jego żona, pragnąc koniecznie mieć w izbie także i komodę robioną według francuskiej mody. Rzadki to jeszcze mebel w Krakowie, ale już u zamożniejszych będący w użyciu.

Niemniej nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego to chciał się tak swą zamożnością pochwalić przed Franciszkiem Cezarym. Czyżby dlatego, że Franciszek, jak mu się wydawało, mało uwagi do tego wszystkiego przywiązywał, ceniąc jakieś sprawy zupełnie odmienne i dla Stanisława dalekie?

Jednak chłopiec — jeśli tylko któregoś dnia przyjdzie, jak obiecał — na pewno nie oprze się zazdrości, zobaczywszy rzecz tak cenną i rzadką jak zwierciadło. Mało kto mógł sobie na podobny

-115-

zbytek pozwolić. Zwierciadło było wspaniałe, aż spod Wenecji sprowadzone, w Polsce bowiem nikt czegoś takiego nie umiałby zrobić.

W tym zwierciadle Stanisław Piotrkowczyk przyglądał się przez chwilę swej zażywej postaci w turkusowym, aksamitnym żupa-nie o niskim kołnierzu i zwężających się rękawach. Widział swoją twarz jowialną i pełną zadowolenia. Byle tylko Turcy do miasta nie wtargnęli, ma przed sobą żywot spokojny i błogi.

Odszedł od zwierciadła i zbliżył się do okna.

-116-

— Zofka! — krzyknął do żony. — Każ służebnej bramę zamknąć, bo się już ściemniać zaczyna!

Za chwilę zgrzytnęła brama, ale ledwie służebna zdążyła wrócić z sieni na piętro, gdy rozległ się ostry dźwięk kołatki,

Stanisław pomyślał, że to pewnie ktoś z czeladników drukarskich, ale okazało się, że nie: niespodziewanie, bez zapowiedzenia pojawił się Franciszek.

— Dozwoliłeś, bym twe książki zobaczył, dozwól też, bym i do warsztatu zajrzał — rzekł wesoło zaraz po powitaniu.

— Czemuż by nie — zgodził się Stanisław. — Pusto tam teraz, bo robota skończona. Ale możemy zejść na dół, skoro druki chcesz widzieć.

. — Nie, prasy. Podobno masz jedną z mosiężną śrubą miast drewnianej.

Stanisław skinął głową. Już ojciec jego tę prasę sprowadził z Norymbergi, nie uważał więc jej za jakąś nowość. Zdziwił się nawet, że Franciszek tak się tym zainteresował.

— U was na drewnianej śrubie prasy chodziły? — spytał. Franciszek przytwierdził, dodał także, że mają prasy stare, bo

pochodzące jeszcze z drukarni Macieja i Stanisława Szarffenbergerów, a kto wie, czy jedna z nich nie była kiedyś własnością samego Marka Szarffenberga, który to nie byle kogo, bo prześwietnego typografa Hieronima Wietora do przybycia w gród krakowski zachęcił.

— „Za wielkich czasów Jana Kochanowskiego” — uśmiechnął się Stanisław.

— Nie, jeszcze wcześniej. Gdy się pierwsza księga w mowie polskiej ukazała. Ale to też były wielkie czasy... — łagodnie wyjaśnił Franciszek, a Stanisław zdumiał się, że chłopak tyle posiadał wiadomości o drukarstwie.

„Babka mu pewnie naopowiadała” — pomyślał, obserwując Franciszka, który stał przy prasie, z uwagą wielką przykręcając śrubę, jakby nie mógł się dość nadziwić jej nowości.

— Kto wie — powiedział zadumany Franciszek — może kiedyś te nasze prasy wcale inaczej wyglądać będą...

— Po cóż by miały wyglądać inaczej? — obruszył się Stanisław. — Ta z mosiężną śrubą jest dobra i lepszej nam nie trzeba.

— Może całą prasę z metalu da się kiedyś zrobić.

— Ale tam! — machnął ręką Piotrkowczyk. — Pójdźmy lepiej na górę powieczerać, bom już głodny okrutnie, a i ty byś pewnie chętnie coś przekąsił.

Ale Franciszek Cezary niezbyt rad wychodził z drukarni. Jeszcze

-117 -

pytał o to i owo, jeszcze się dziwił, że Stanisław tak nieczęsto w swym warsztacie przesiaduje.

— Przecież mam majstra sprawnego; płacę mu dobrze, by roboty doglądał. Czas bym tylko po próżnicy tracił.

Wyjaśnienie to chyba jednak nie trafiło Franciszkowi do przekonania, bo tylko się lekko uśmiechnął, po czym już bez ociągania poszedł schodami do izby.

Stół był przygotowany do wieczerzy. Na ozdobnym obrusie stały cynowe talerze i czarki, na półmiskach dymiły różnorakie dania mięsne; nie brak było sosów: żółtego z szafranu i białego ze śmietaną; różowiły się też cienkie plastry wędzonego łososia.

— Chętnie bym cię i kartoflami uraczył — rzekł z fałszywą skromnością Piotrkowczyk — jeno że nader rzadki to specjał, pono tylko na królewskim dworze jadany.

Rad był, że żona godny poczęstunek przygotowała, a jednocześnie zawiedziony, że gość ani słowem nie dał poznać, jak sobie taką wieczerzę ceni.

— A i kawy ci jeszcze przyrządzić każę — dodał — chociaż nie wiem, czy ją pić zechcesz.

— Czemu? — zdziwił się Cezary. — Piłem ją już dwakroć w życiu i wielce przyjemny mi się ten trunek wydał, bo myśli rozjaśnia i spać nie daje...

— Jako i to ziele apteczne, co się „herbatą” zowie... — wtrąciła Zofka.

— Ale kawa zda mi się lepsza w smaku — cmoknął wargami Piotrkowczyk — chociaż kawę dostać niełatwo. Wielu zresztą jest jej przeciwnych.

— Czemuż to?

— Powiadają, że to trunek pogański, który plugawi gęby chrześcijańskie — wyjaśnił Piotrkowczyk.

Rozmowa przy stole niezbyt się kleiła. Gość zachowywał się uprzejmie, lecz zdawał się być zamyślony. Zofka strzygła w jego stronę czarnymi oczami, wtrącała często jakieś słówko górnotne i wyszukane, śmiała się głośno, odchylając głowę do tyłu. Stanisław wiele rozprawiał o sposobie przyrządzania indyka, a także przypominał różne pikantne zagraniczne przysmaki, które się właśnie u kupców pokazały. A prawił o tym z dużym znanstwem i zamiłowaniem, oczami przewracając na znak lubości i głos wznosząc dla zaznaczenia wagi sprawy.

Franciszek słuchał tego wszystkiego z roztargnieniem, niejednokrotnie tłumiąc nawet ziewanie.

Wydawał się prawdziwie rad, gdy wreszcie skończyli wieczerzać.

-118-

Wtedy Stanisław pojął, że nie sprawił gościowi żadnej przyjemności obfitym poczęstunkiem ani nie zainteresował swymi opowieściami; pojął, że Cezary czeka na coś zgoła innego, i to czeka niecierpliwie.

— Zanim nam kawę podadzą — rzekł — księgi ci pokażę, których byłeś ciekaw.

Leżały one w skrzyni, od długich lat nie ruszane. Franciszek wyjmował je ostrożnie i każdą długo trzymał w rękach, jakby się nią delektował, zanim zdecydował się zajrzeć do środka — do kart zadrukowanych, zdobionych drzeworytami czy listwami.

— Piękne to jest — powiedział poważnie. — Jakże oni wypracowywali każdą kolumnę...

— Dla mnie zaś niezbyt piękne — skrzywił się Stanisław. — Któż by teraz księgę drzeworytami zdobił? Miedzioryty jeno są w modzie. Ja swoje druki tylko miedziorytami zdobię.

— Znajdujesz, że piękniejsze? — spytał poważnie Cezary. Stanisław wzruszył ramionami.

— Piękniejsze nie piękniejsze; nie myślałem, po prawdzie, o tym. Ale są w powszechnym użyciu.

Jakoś niezręczne wydało mu się to wyjaśnienie; czuł, że Franciszek innego oczekiwał.

— Patrz — powiedział, sięgając po jedną z ksiąg. — Masz oto swój obelisk z ptakami. Z drukarni Łazarzowej.

Podał gościowi książkę.

— Tego, czego dziś nie ma — krótko rzekł Cezary. — Sztuki drukarskiej, która gdzieś się teraz zapodziała...



I nagle ozwał się głośno:

— Nie ma jej, pojmujesz? Rzemieślnikami jeno wszyscy jesteśmy! Gdzie są te czasy, kiedy pięknie tłoczone słowo polskie rozchodziło się szeroko z oficyn drukarskich? Gdzie są dzieła, które by ludziom żyć pomagały? Gdzie są rymy, tak piękne jak Kochanowskiego, na które by ludzie czekali?

— NOO — bąknął niepewnie Piotrkowczyk równie zdziwiony, jak i zaniepokojony tym wybuchem. — Wacław Potocki pono jakoweś tworzy,, ktoś mi powiadał, że parę w odpisie czytał.

— Potocki? — powtórzył z zainteresowaniem Franciszek.

Piotrkowczyk ruszył ramionami.

— Kiedy na to szkoda by nawet prasy, farby i papieru.

— Mało warte?

— Nie mnie sądzić, na rymach się nie znam. Po co by mi to było. Ale kto się dziś w rymach lubuje? Kto je czyta? Nikt!

Franciszek podniósł się.

— Czas mi iść — powiedział. Jeszcze raz spojrzął na porozkładane książki. — Bogactwo masz... — szepnął.

— Tak, nie można rzec; niezgorzej mi się wiedzie — przyznał Stanisław z zadowoleniem, patrząc na ciężką gdańską szafę i żółto-niebieskie szpalery. — Rad bym jeszcze tylko fotel kryty skórą wyślaczaną, co się kurdyban zowie, nabyć...

— Co? — spytał Franciszek, jakby się ze snu obudził.

Po kawie, którą wypili, nie chciało się spać Stanisławowi jeszcze przez długie godziny. Wkrótce po odejściu gościa cały dom się pogrążył we śnie i Piotrkowczyk sam został w izbie, przykazawszy tylko przynieść sobie świece na zapas.

Zamierzał z powrotem poskładać do skrzyni książki. Pochylił się nad nimi: pachniały jakimś dziwnym zapachem.

Haller, Ungler, Wietor, Łazarz Andrysowic, Jan

Januszowski... nazwiska, które sławne były kiedyś nie tylko w Krakowie, nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Cóż mówiły dzisiaj komukolwiek? Kto o nich pamiętał?

A oto leżały przed Piotrkowczykiem ich dzieła, którym wiele trudu poświęcili: Rej, Kochanowski, Górnicki.

Stanisław starał się wyobrazić rozłożone, tak jak te — swoje druki i nie tylko swoje, ale z wszystkich istniejących obecnie drukarni zebrane: mowy pochwalne, mowy pogrzebowe, kazania, konstytucje sejmowe... Jakże mizernie wyglądałyby przy tamtych.

Wstał, podszedł szybko do okna i otworzył je na oścież, chociaż chłód jesienny panował na dworze. Biegł wzrokiem przez ciemną, błotnistą, nie oświetloną nawet księżycowym blaskiem ulicę, jakby goniąc w ślad za Franciszkiem Cezarym...

— Patrzcie! — zdumiał się któregoś dnia Stanisław. — Toż niezadługo będzie siedemdziesiąt pięć lat, jak drukarnia nasza istnieje.

Coraz częściej zaglądał Piotrkowczyk do starych druków swego dziada i późniejszych — ojca. Nawet ich zapiski odnalazł, notatki jakies, rachunki za sprowadzone farby czy papier.

— Siedemdziesiąt pięć lat — powtórzył. — Słyszysz, Zofka?

— To co? — zdziwiła się.

Przemyśliwała właśnie nad tym, że przydałyby się jej jedwabne zielone pończochy, takie jak w sklepie wczoraj widziała po dwanaście złotych polskich za parę. A już do tak wykwinnych pończoch trzeba by też irchowych, malowanych w kwiaty pantofli na wysokich obcasach i jeszcze chusteczki ozdobnej, z cieniutkiej materii...

Bardzo jej to wszystko potrzebne; prawdę mówiąc, nawet konieczne, bo najmodniejsze, i niejedna już białogłowa w Krakowie takie właśnie nosi. Co to Stanisław o drukarni prawić? Już jej z głowy wyleciało... Stanisław zresztą coraz częściej do tych spraw powracał, coraz częściej stare księgi

wyciągał ze skrzyni i coraz częściej zapraszał do domu młodego Franciszka Cezarego.

A niech robi sobie, co chce, byle nie skąpił żonie grosza na strojne przyodziewki.

— Siedemdziesiąt pięć lat... — powtórzył Stanisław po raz trzeci i podpartszy ręką brodę, siedział zamyślony. Bruzda mu się wyżyłobiła między brwiami; wydawał się jakiś starszy niż zazwyczaj i jakby znużony.

Nagle trzepnął ręką o kolano i dorzucił z rezygnacją:

— Widzi mi się, że nie będzie komu warsztatu zostawić, gdy mi przyjdzie zemrzeć.

— Młodyś jeszcze — przestraszyła się Zofka. — Po co o śmierci prawić. Nieprędko ona nadejdzie.

— Nieprędko — zgodził się Stanisław. — Ale tak sobie myślę, że przecież trzeba by już mi uczyć następcę, jako i mnie ojciec mój przyuczał do roboty za młodu, bym prowadząc drukarnię, wyznawał się we wszystkim.... A tu — rozłożył ręce — a tu nie ma kogo uczyć.

— Prawisz, jakbyśmy bezdzietni byli; syn przecież jest... — bąknęła Zofka, ale bez przekonania.

Wiedziała, że syn żadnego zamięłowania do drukarstwa nie zdradza, wojaczka mu tylko w głowie.

— Ech! — krótko westchnął mąż. — Nie tak to u nas, jak u Cezarych...

— Szczęście całe! — wykrzyknęła Zofka. — Z głodu byśmy chyba pomarli.

U Cezarych wprawdzie nikt z głodu nie umierał, ale pewne było, że nie tak im się dobrze działo jak Piotrkowczykom, skoro drukarnia stała nieczynna.

Stanisław uparcie wracał do swoich myśli.

— Stara Barbara spokojnie zejść mogła ze świata...

— Franciszek całkiem mi się nierozumny zdaje — wtrąciła Zofka, poprawiając sobie włosy.

Osiągnęła tyle, że mąż się roześmiał.

— Nierozumny to on jest — powiedział dziwnie miękko — ale może nie tak bardzo, jak mi się dawniej wydawało. Stara Barbara wiedziała, komu dziedzictwo ostawić.

W odpowiedzi Zofka wzruszyła lekko ramionami. Stanisław wstał i począł przyodziewać się do wyjścia. Wybierał się do Jerzego Szedla, także drukarza, który pono jakieś ciekawe nowiny przywiózł z Paryża.

— A nie zapomnij spytać, co białogłowy na się przywdziewają w tamtym kraju — przymilnie poprosiła Zofka.

-122-

Żeby go nie męczyła prośbami, o-biecał, że zapyta, ale wiedział: na pewno tego nie zrobi.

U Szedla zastał już całe towarzystwo: Bartłomieja Nowodworskiego, Wojciecha Góreckiego, Jakuba Mościckiego. Ten ostatni rozprawiał właśnie najwięcej, gdy nadszedł Piotrkowczyk. Z niemałym zdziwieniem Stanisław spostrzegł wśród obecnych także Franciszka Cezarego.

Siedział nieco z boku, słuchał chciwie wszystkiego, co mówiono. Sam się nie odzywał, czasem tylko bokiem zerkał do przyległej izby, gdzie przez otwarte drzwi widać było krzątającą się wiotką postać dziewczyny — Anny Szedłówny.

— Nie u nas tylko — grzmiał Mościcki mocnym jeszcze jak na swoje lata głosem — nie u nas tylko drukarstwo upadło; na świecie całym tak się dzieje. A rady na to nie ma żadnej. Kończy się sztuka drukarska i nie ma co się jej trzymać.

— Póki jeszcze mamy co drukować, można się trzymać — wtrącił Górecki.

— Bez przyszłości żadnej zajęcie — machnął ręką Nowodworski, krzywiąc się przy tym, jakby się piotunu napił.

Stanisław zwrócił się do Jerzego Szedla, o nowiny z Francji zapytał: czy tam też, jak w Polsce, tylko konstytucje, mowy pochwalne czy inne podobne broszury wydają...

Spojrzał przy tym na Franciszka, jakby mu chciał rzec: „Widzisz chłopcze, niepotrzebnie się gnębisz. Może i masz rację, że ci żal dawnych czasów świetności drukarskiej, ale tak jest na całym świecie. Cóż prze-

-123-

\

ciw świata poradzisz? Było, przeminęło i trudno! Niepotrzebnie się tym kłopotujesz i niepotrzebnie mnie niepokoisz”.

I żał mu się nagle zrobiło, że do swego syna nawet w myśli nie potrafiłby tak zagadać, że ten syn wcale by tego nie pragnął ani potrzebował.

— Więc jakże tam jest w Paryżu? Powiadaj, Jerzy, cóżś widział i słyszał.

Szedel zwrócił ku mówiącemu bystre, ciemne oczy i wzniosł rękę do góry.

— Kto wie — wyrzekł dobitnie — kto wie, czy się wielka sztuka drukarska nie ma ku odrodzeniu.

— To już chyba nie u nas! — pokręcił głową Górecki.

— U nas może nie — westchnął przeciągle Szedel — ale we Francji. Drukarnia Królewska, co ją tam zowią Imprimerie Royale, przez Ludwika XIII założona, przednie druki wypuszcza...

— By jeno zdobyć chociaż jeden! — wyrwało się Franciszkowi Cezaremu. — By zobaczyć...

Spojrzeli na niego z przyganą, bo młody nie powinien był się mieszać do rozmowy. Dość, że mu przyjść i słuchać dozwolono. Zrozumiał i umilkł.

Ale ten okrzyk pełen zapału wzbudził w nich jakiś żal, że już nie stać ich było na wiarę w zmianę na lepsze. Zaczęli też jeden przez drugiego znowu rozprawiać, że świetność drukarstwa polskiego ma się ku końcowi...

— Dawno już się skończyła — nieoczekiwanie nawet dla siebie powiedział Piotrkowczyk.

Nikt mu nie zaprzeczył.

Franciszek oparł łokcie na kolanach i zamyślony spoglądał w podłogę. Czuł się prawie jak na skraju przepaści; mało kiedy zdawał sobie sprawę tak wyraźnie jak dziś, że wszystkie od lat piastowane marzenia mogą mu niby woda przeciec przez palce, że może żadnego z nich nie uda mu się urzeczywistnić. Franciszek wzdrygnął się i wyprostował.

— Profesorowie Krakowskiej Akademii uradzili pono, że chcą mieć własną drukarnię — dobiegły go słowa Szedla.

— Nie byle jaką przecież zakupią, jeno chyba najprzedniejszą — dorzucił Nowodworski.

Wszyscy spojrzeli na Piotrkowczyka.

— Mielibyscie okazję niemałą, by swoją sprzedać, Stanisławie.

Franciszek Cezary uśmiechnął się, przyjmując te słowa skierowane do Piotrkowczyka za żart, ale nikt się nie roześmiał, Piotrkowczyk zaś jakoś nie zaprotestował: siedział spokojnie, bębniąc palcami o blat stołu i nie patrząc na nikogo z obecnych.

- 124

— Ano, kto wie? Może bym i sprzedał — wyrzekł w końcu powoli i jakby się chciał sam przed sobą czy przed wszystkimi usprawiedliwić, dodał szybko: — Bo i komuż bym miał ją zostawić? Niechby już lepiej Akademia miała...

Wielka cisza zaległa po tych słowach.

Nie tylko w domu, ale i wśród znajomych naśmiewano się z Franciszka, że wciąż książki jakieś przy sobie nosi i każdą wolną chwilę na czytanie wykorzystuje.

Pytali z pobłażliwą drwiną, czy i do łoża je ze sobą bierze, czy i nocą bez nich nie może się obejść. Nie obrażał się ani nic nie tłumaczył — naprawdę nie umiał się obejść bez czytania i najmilej mu było, gdy mógł pozostawać sam ze swymi książkami, które najczęściej wypożyczał teraz od Piotrkowczyka. Lubił dawno zapomnianego Mikołaja Reja, a zwłaszcza często powracał do jego zdania: ...azaż to nie rozkosz też sobie czas upatrzwszy nad książkami posiedzieć... Takie mu się to bliskie zdawało i proste.

Lubił też wiersze łacińskie dawnego poety Klemensa Janickiego, który będąc w pięknym włoskim mieście tęsknił do swego kraju i tęsknotę w smutne rymy przyoblekał:

Dziwię się Włochom, Polskę wielbię szczerze, Tutaj podziwem, tam miłością stoję; Do mojej Polski prawnie przynależę, Tu mam gościnę, a tam bogi moje. Ach, oby prędzej — jakże sobie życzę — Wrócić na łono ojczyzny kochane...

A chociaż to wszystko wydarzyło się więcej niż przed stu laty, dobrze było myśleć, że ów poeta, syn chłopca wielkopolskiego, dzięki możnym kształcony w Padwie, powrócił do swego kraju, i to nie byle jak, ale z doktoratem i wieńcem laurowym, którym tylko znamienitych mistrzów słowa wieńczono.

Tamci ludzie, dawno pomarli i dziś zapomniani, wydawali się przecież Franciszkowi dziwnie znani i bliscy. Oni to, a już mistrz czarnoleski nade wszystko, przemawiali językiem prostym i jakże pięknym. Czemu to teraz ludzie potrzebują tak bardzo wielu słów, by wyrazić myśli i sprawy? Czemu znikła gdzieś spokojna, pełna wytwornego umiaru radość życia? Szarpią się teraz wszyscy między pragnieniem bogactw i przepychu a pociągami do wyrzeczenia się świata wraz z jego dobrami. Czemu, dlaczego?

Tysiące owych „dlaczego” przepływały przez głowę Franciszka, gdy siedział nad książkami dawnymi i współczesnymi, nawołujący-

mi w słowach wyszukanych do cnót pielęgnacji i oderwania się od spraw ziemskich. Nowe czasy się rozpoczynały, a Franciszek błędził na rozstaju między nimi a tymi minionymi, nie umiejąc znaleźć miejsca dla siebie.

Niepokój jakiś był w ludziach, mimo pozoru zadowolenia i sytości. Kto wie, czy owym słów zalewem nie pragnęli niepokoju tego zagłuszyć, ukryć pustki, którą mieli w sercach i umysłach!

Franciszek był młody, nie pragnął niczego ukrywać; szukał swojej drogi, u końca której miał się wznosić ów obelisk wysoki z lecącymi pod chmurami ptakami i napis krótki, przez babkę Barbarę przekazany: „Drukowane w oficynie Franciszka Cezarego”.

Drukowane... Ale co?

Na stole przed Franciszkiem leżały dwa druki, u Stanisława Piotrkowczyka wyszłe: „Nauki i zabawki świętobliwe dla wszystkich w prostocie serca Boga szukających” i drugi: „Chwalebna cnót nieśmiertelnych ozdoba przezacnej matrony Heleny Masalskiej przy akcie pogrzebowym...”

— Znowu w tych księgach siedzisz? — zapytała matka, zaglądając do izby.

Nie czekając odpowiedzi, dodała:

— Z Rynku wracam właśnie. Powiadają, że Piotrkowczyk warsztat swój sprzedaje Akademii. Prawda to? Nie słyszałeś?

Franciszek skoczył na równe nogi: mimo że Stanisław przecież wspominał o zamiarze sprzedania, trudno było w to uwierzyć...

— Jakże? Teraz, już?

— ■ Pono akt sprzedaży ma dziś podpisywać — powiedziała matka.

Mówiła to mimochodem, dla niepoznaki spoglądając w okno, ale Franciszek dobrze wiedział, co miała na myśli: „My też, my też winniśmy warsztat odsprzedać. Nic z niego już nie będzie, a pieniądze potrzebne”.

— Teraz? Już? — powtórzył Franciszek. 1 — Cóżes się tak poderwał?

— Nie, nic.

— Widać zdawało mi się.

W głosie matki nie było troskliwości, raczej zaciekawienie, kiedy zwróciła ku chłopcu twarz bladą, o rysach ostrych i wargach cienkich, zaciśniętych.

Gdy się przez długą chwilę nie odzywał, zawróciła drobnymi krokami w stronę drzwi. Zamknęła je za sobą głośno, jakby w zniecierpliwieniu.

Franciszek stał na środku izby, przecierając dłonią czoło. Piotrkowczyk wydał mu się niemal zdrajcą. Wszak co innego jest mówić nawet o najgorszych rzeczach, zaś co innego je robić. Haller, Un-

-126-

W

gier, Wietor i Januszowski, i dziad Franciszka, i dziad Stanisława,, i ojcowie... czy porzuciliby samochcąc swoje drukarnie?

— Pójdę do Piotrkowczyka, dowiem się, czy to prawda — powiedział w chwilę potem matce.

— Przecież mówiła. Cóż by w tym zresztą było dziwnego? Albo to on pierwszy sprzedaje!

— Nie — powiedział Franciszek.

— ...i nie ostatni najpewniej — dodała.

W kilkanaście minut później Franciszek i Stanisław stali na Floriańskiej przed domem Piotrkowczyka, nad którego bramą wykuta była w kamieniu mała wiewiórka.

Piotrkowczyk spojrzał na nią.

— Za lat kilkanaście ludzie w Krakowie zapomną w ogóle, że tu kiedyś była moja drukarnia.

Nawet nie wydawał się w tej chwili tak bardzo smutny.

— Nic wam nie żal? — spytał cicho Franciszek.

— Nie czas już mówić o tym ani żałosciom się poddawać — szorstko odrzekł Piotrkowczyk, wciąż nie mogąc oczu oderwać od kamiennej wiewiórki. — Dziad mój kazał ją tu zrobić... — dodał niby obojętnie.

— Pójdę... — zdecydował nagle Franciszek.

— Dokąd?

— A tak: po mieście.

— Zostań...

Piotrkowczyk przytrzymał go ręką.

„Gdyby mój chłopiec był taki jak ty — pomyślał — może bym się tak łatwo warsztatu nie wyzywał”

— Tedy to już ostatnie chwile, gdy zwać was można drukarzem... — powiedział w zamyśleniu Franciszek.

A potem jakby się odmienił, jakby nie ten sam był, co ostatnimi czasy, gdy się mimo różnicy lat i usposobień zaprzyjaźnili z Piotr-kowczykiem. Znów stał się drwiący i nieznośny, kąśliwy i wyszydający. Stanisława zniecierpliwilo to w końcu i gdy nadszedł przedstawiciel Akademii, by załatwić ostatnie sprawy sprzedaży, Piotrkowczyk rzekł, że przecież Franciszek nie będzie potrzebny, więc, jeśli chce, może przejść się po Krakowie, jak przedtem pragnął.

Pokłonem niskim, zbyt niskim, by szacunek, a nie naigrzanie mógł wyrażać, pożegnał Franciszek Cezary Stanisława Piotrkowczyka.

— Żegnajcie, dziedzicu sławnego rodu. A gdy siedemdziesięcio-pięciolecie drukarni tej oto będzie mijalo, wspomnijcie, cóżście z nią uczynili...

-127-

— Idź! — sucho rzucił Piotrkowczyk. A do profesora Akademii, która z dawna już sławną być przestała, powiedział:

— Pozwólcie, panie, sprawę załatwić i nie pogardźcie poczęstunkiem, którym was uraczyć pragnę.

Franciszek szedł ulicą Floriańską, u końca której wyrastała smukła budowla Mariackiego kościoła. Kopnął po drodze leżący na ulicy kamień, przepłoszył wygrzewającego się w słabym słońcu kota...

Minął parę rozwalonych, a wciąż jeszcze po wojnie szwedzkiej nie odnowionych kamienic i wyszedł na Rynek.

Tu też sporo było zniszczeń; ludzie już się do nich przyzwyczaili i nikt się nimi zbytnio nie przejmował. Franciszek nie patrzył zresztą na nic, czuł się tak, jakby to nie on szedł ulicami znanego miasta, ale ktoś zupełnie inny. Czasem we śnie miewa się takie wrażenie.

Nie zauważył też, że zza rogu wyszła Anna Szedłówna, a zobaczywszy go zatrzymała się, czekając, aż bliżej podejdzie.

Patrzyła spokojnie swymi migdałowego kształtu oczami. Gdy się zbliżył, spytała głosem miękkim, matowym:

— Skąd to wracasz, Franciszku, tak zamyślony?

Opowiedział — opowiadał długo, bo z nią chyba jedną nie pozwalał sobie na drwiny ani opryskliwość. Anna zaś słuchała uważnie, czasem cienkie brwi marszcząc;

Anna pochodziła z rodu typografów: nie tylko ojciec drukował, nie tylko stryj, ale i dziad — ów Krzysztof Szedel, który ich drukarnię założył. Anna, jak na białogłową, wielce obeznana była z tymi sprawami i Franciszek poczuł się zawiedziony, że tak spokojnie przyjęła wiadomość o sprzedaży najprzedniejszej w mieście drukarni.

”



— Zachowujesz się zgoła niemęsko — skarciła go nawet. — Wszak na Piotrkowczykach drukarstwo się nie kończy.

— Tedy się na Cezarych skończy później... — gorzko rzekł Franciszek.

— We Francji już się odradza — przypomniała. — Sam słyszałeś...

Franciszek już nie potrafił opanować się, krzyknął głośno, rękami się zamachnął:

— Więc cóż mi, że we Francji? Co po tym, kiedy my tu w ciemnocie żyjemy, naukę mamy za nic, księgi za nic...

— To wojny — powiedziała łagodnie Anna — wojny wszystko uczyniły. W czasach pokoju miasto by kwitło i ludzie miłowaliby księgi jak dawniej.

- Dawniej? — powtórzył Franciszek już nieco spokojniej. —

-128-

фйНщ

d / Ж

шл

Wiesz, Anno, jako dawniej ludzie o Krakowie powiadali? Od babki o tym słyszałem—

— Jak powiadali? — Anna wzniosła ku niemu oczy.

— „Cracovia totius Poloniae urbs celeberrima...!” — a wiedząc, że dziewczyna nie zna łaciny, mimo tak powszechnego w owych czasach jej używania, przetłumaczył: — „Kraków — w całej Polsce miasto najznamienitsze”.

— Jakie to piękne, gdy tak można rzec o swoim mieście — powiedziała Anna.

— Nikt już tak więcej nie będzie o nim mówił. Zresztą w całym kraju to samo... — wzruszył ramionami Franciszek. — W niedobrych czasach żyjemy, Anno. Za późno urodziliśmy się.

Anna potrząsnęła głową: nie lubiła rozprawiać o rzeczach, na które nie mogła nic poradzić. I nie lubiła złych nastrojów Franciszka, chociaż potrafiła je zrozumieć. Serdecznym, przyjacielskim ruchem ujęła go za rękę.

— Przestań — rzekła dźwięcznie. — Czyż naprawdę sądzisz, że prócz ciebie nikt ksiąg nie miłuje i miłować nie będzie?

fl — Przyjaciół na zawsze

- 129-

Zamilkła na chwilę, po czym dodała:

— Ja bo dobrze sobie wyobrazić umiem, że znów kiedyś i Kochanowski, i Rej powrócą do ludzi i nie będą już zapomniani. A wiesz co, Franciszku?

Zajrzała mu w oczy tak wdzięcznie, że musiał się rozpogodzić.

— Co, Anno?

— A to, że może jeszcze kiedyś będą krakowskie prasy drukować i te słowa, których cię babka uczyła. Jeszcze i one do ludzi powrócą... Jakże to brzmi? Powtórz te słowa, Franciszku.

Powtórzył, tak jak się mówi bajkę o cudach upragnionych, które ziścić się nie bardzo mogą:

— „Kraków — w całej Polsce miasto najznamienitsze...”

vJ Ш

U PANA GROLLA W MARYW1LU

ЙЕ^C an Michał Charczewski bardzo był zawiedziony, że go\* aШкт ukochana niezbyt łzawie żegnała, że nie zostawiła zasu-\_\_\_\_2\_ szonogo kwiatka, nie pytała po stokroć, czy ją wspomni

przez te miesiące, gdy u stryja w Heilsbergu będzie przebywała,

a później w stolicy.

I sama nie zaklinała się, przysięg czułych nie składała, że serce

jej chyba z tęsknoty zamrze — przez ten długi czas niewidzenia.

Gdzie tam! Panna jak nieprzytomna biegała po domu, zbierała

swoje rysunekzki, troskała się, owszem, lecz nie o pana Michała,.

tylko czy aby wzięła wszystkie przybory do miedziorytnictwa.

A oczy przy tym miała płonące od wesołości i wciąż powtarzała:

„Stryjaszek to obiecał... stryjaszek tamto ma pokazać... stryjaszek

owo...”

Pan Michał wcale nie był rad z tego wyjazdu, lecz cóż? Panna Anna nic sobie wytłumaczyć nie dała, zaraz słowami stryja odparowywała:

— Jakże to? Uczyć się trzeba! A czegoż ja się tu w Dubiecku nauczę? Po francusku nawet niezbyt składnie wyrazić się potrafię i... — tu paniencie głos aż zamierał z rozpaczy — ...czytanie Encyklopedii, co to ją panowie d'Alembert i Diderot wydają w Paryżu,, z tak wielką trudnością mi idzie...

Oto zmartwienia białogłowy!

— W Warszawie podobno są odczyty publiczne o „Objawach prądów elektrycznych”. I nie tylko te: także inne wykłady przeróżne. My zaś tu o nauce pojęcia żadnego nie mamy. Sam stryjasek powiada...

Pan Michał w końcu na wszystko się zgadzał: niechże już panna Anna jedzie, skoro żyć bez nauki nie może, skoro te jej rysunki takie są ważne, że aż w Warszawie obejrzeć je mają, skoro stryj to wszystko doradza.

-131-

Niechże jedzie...

Pan Michał jedną wszakże miał prośbę: by balując po najpierw-szych salonach stolicy, przecież zachowała go w pamięci, nie dając się zwieść gładkim słówkom fircyków w pudrowanych perukach, od których się podobno tam roi.

Obiecywała, że nie, gdzieżby tam: przecież fircyki jej nie w głowie — zresztą ze stryjaskiem wciąż będzie przebywać... Pan Michał westchnął, bo ów stryj aszek mimo wszystko wcale mu się nie wydawał takim najstateczniejszym opiekunem, ale cóż było robić?

Kufry spakowane, karoca przed gankiem. Rozpromieniona panienska z rozmachem rzuciła się w objęcia rodziców, jakieś czułości szepnęła miłemu, lecz w takim pośpiechu, że nie bardzo nawet mógł zrozumieć. Potem już tylko różowa chusteczka powiewała z okna karocy, zresztą, też trzeba przyznać, nie nazbyt długo.

Za to wkrótce list przyszedł — jednak nie taki, jakiego pan Michał oczekiwał. Ani wzdychań w nim, ani żalów nad rozstaniem. Zamiast tego — najdokładniejszy opis starego zamku w Heilsbergu że nie zamek to nawet, lecz prawdziwe zamczysko staroświeckie, o grubych murach i gotyckich sklepieniach. A ponure! Nie dziw, iż stryj aszek nosem kręci i powiada, że owszem, na pokutę, na re-kolekcyj odprawianie przybytek to dobry, byle tylko w nim nie mieszkać, bo melancholii można dostać.

Tu pan Michał musiał się uśmiechnąć, bo już komu jak komu, lecz stryjaskowi panny Anny do melancholii było daleko.

Dalej w liście: że obok starego zamczyska jest też zamek nowy, lecz wcale nie piękny ani nie wesoły, więc go trzeba przebudować, komnaty na nowo odmalować. Stryjasek już sobie wszystko ukła-

da, a nawet z Anną dwa wieczory przegadali o obrazach, które zawisnąć tam powinny.

Drugi list nadszedł krótszy — o bliskim wyjeździe do stolicy było w nim wiele. Panienska trochę usiłowała tłumaczyć: że jej na pisanie brak czasu, bo rysowaniem niezmiernie zatrudniona. /Co tak pilnie rysuje,

nie wspomniała. Potem listów nie było długo, długo... Pan Michał domyślił się, że jego miła wraz ze stryjem musiała udać się do Warszawy...

Karocą poszóstną mknie przez warszawskie ulice, wciąż głowę wychylając z okna, by przyrzeć się stolicy, jakieś sobie zdanie o niej wyrobić. Gdy się za kilka dni w salonach spytają: „Jakże się waćpannie u nas podoba?” — trzeba będzie przecież szybko znaleźć sensowną odpowiedź, dowcipem też zabarwioną.

Warszawa widziana z okienka karocy przedstawia się dosyć dziwnie: tu pałac wysoki, bogaty, snadź dopiero co wybudowany, obok zaś nędzna chałupa kryta słomą; dalej znów parać, i to piękny, przy nim zaś sklecone z desek baraki...

Oto karoca przejeżdża obok ogrodu Dołożonego w środku miasta i lekki Dowiew przynosi miłą woń jakichś Iziwnych, nie spotykanych w Du-лески kwiatów. Trwa to jednak crótką chwilę, gdy mijają bowiem iterty śmieci leżących przed domami ia ulicy, bije stąd odór tak nie-;nośny, że Anna stara się wstrzymać >ddech, a stryj aszek co prędzej pod-iosi do nosa cienką chusteczkę skrojoną francuską perfumą.

Siedzi rozparty wygodnie na miękkich poduszkach; nawet nie wydaje się znużony, chociaż niezbyt wypoczywał po męczącej podróży z Heilsbergu. Uśmiecha się leciutko, żartując sobie z panieńskich zachwyków Anny nad każdą świetniejszą budowlą, ale jednocześnie jest zadowolony, że bratanica na wszystko ma oczy otwarte.

— A czy króla zobacze? Chociażby z daleka, gdy przejażdżki będzie zażywał... A Zamek, w którym mieszka, bibliotekę zamkową, stryjaszku?

Stryjaszek — różowy, jak panna gładki — potrząsa głową w białej, nieskazitelnej peruczce i dworuje sobie z Anny, każąc jej żałować, że się niewiastą urodziła, bo gdyby nie to:

— Zaraz jutro byś przed królem stanęła, na obiad czwartkowy mógłbym cię wprowadzić. Dopiero byś się nasłuchiwała! Ależ cóż? Niewiasty tam wstępu nie mają, sami mężczyźni, i to najświetlejsi w kraju: Trembecki, Naruszewicz, Bohomolec...

— ...i stryj aszek dobrodziej — wtrąca Anna pełna dumy.

— Bez wątpienia... — przyznaje stryj swobodnym tonem, jakby rozprawiał o czymś powszechnie wiadomym i nie podlegającym żadnej dyskusji.

Tymczasem stangret zaczyna się niepokoić i lekko wstrzymuje bieg koni. Lada chwila już będzie przecznica, w którą zazwyczaj pan jego każe skręcać... a tym razem nic! Czyżby odmienił zwyczaje? Laufrowie biegnący przed karocą odwracają niepewnie głowy, przystrojone w kolorowe czapki z długimi piórami. Stangret w odpowiedzi wzrusza ramionami: aż dc niego dolatują różne „ochy” i „achy” wykrzykiwane w karocy.

— ...bo, ach! gdybym samego mistrza Bacciarellego poznać mogła!

Za chwilę zaś:

— Och, stryj aszku! Canaletto salę zamkową zdobi obrazami ulic warszawskich?

Tymczasem pierwsza para koni niemal dobiega przecznicy. Foryś, siedzący na koniu z lewej strony, odwraca głowę i czyni ręką gest pełen zdziwienia. Ale w tejże chwili z okna karocy wychyla się głowa w białej peruce i wreszcie padają oczekiwane słowa:

— Do Marywilu!

Foryś podnosi do ust trąbkę, dając znak przechodniom, by się usunęli z drogi. Dwóch laufrów, powiewając piórami u czapek, a za nimi karoca, w pełnym biegu biorą zakręt.

Nikt nie pyta, gdzie się należy zatrzymać: już widać dom ogromny, szeroki, z obszerną bramą wjazdową.

Trzy pary koni szarpnięte cugłami zatrzymują się, jakby nagle w ziemię wrosły, a stryj ożywiony wielce i uśmiechnięty daje bratanicy znak ręką, że wysiadać pora.

— Obejrzyj z uwagą budowlę, Anusiu; na wzór paryskiego Palais Royale wzniesiona...

Wchodząc na wielki dziedziniec ze wszech stron otoczony arkadami, Anna szeroko otwiera zdumione oczy. Bo też jest się czemu dziwić; toż to nie dom zwykły, lecz hale targowe tak ogromnych rozmiarów, że się prawie osobnym miastem być zdają, małym miastem w środku wielkiej Warszawy. Sklepy tu na dziesiątki trzeba by liczyć. Lecz nie takie zwyczajne, jak w halach targowych bywają — eleganckie niezmiernie, z towarami zagranicznymi, najbardziej zbytkowymi.

Stryjaszek dobrodziej wie, gdzie po zakupy przyjechać, rozmiłowany jest przecież w rzeczach wytwornych. Perfumę kupi? Maść pachnącą zagranicznego wyrobu? Pu-

der może? Anna próbuje zgadywać, lecz żadną miarą jej się to nie udaje. Stryj mija sklep za sklepem, nie zwracając nawet na nie uwagi. Wreszcie wyjaśnić raczył bratanicy:

— Pod numer dziewiętnasty idziemy...

Pod numerem dziewiętnastym jest szyld szeroki nad wejściem. Anna usiłuje odczytać:

„Pod... Pod znakiem Poetów Polskich”.

A niżej:

„Michał Gróll, księgarz nadworny J. K. Mci”.

Już się zbliżają, jeszcze chwila, a stryjaszek kołatką we drzwi zastuka...

Lecz zanim zdążył to zrobić, w oknie pokazuje się na mgnienie oka zaciekawiona twarz mężczyzny i zaraz dają się słyszeć słowa, gdzieś w głąb mieszkania rzucone:

— Karol, Karol! Kopersztychy angielskie wykładaj! Książę biskup warmiński, Ignacy Krasicki, zjechać raczył...

Pan Michał Groll wygląda zabawnie: niski, gruby, toczy się po pokoju na krótkich nogach niby baryłka. I do tego nosi się z francuska — żółte pantalone, niebieski frak niemożliwie opięty i kamizelka z deseniem w zielone małpki, trzymające w łapkach parasolki.

Coś mu się peruka trochę przekrzywiła, ale nawet tego nie zauważył: nie myśli też, że stał mu się puder z nosa i policzków.

Za to Anna na widok pana Karola niby od niechcienia poprawiła sobie koronki przy sukni i muskając dłonią włosy, sprawdziła, czy wszystkie loczki są jak należy ułożone, czy się aby który nie rozwichrzył w czasie jazdy karocą.

Tylko że pan Karol wcale na panienkę nie zwracał uwagi, jak w słońce — w jej stryja wpatrzony. Podsuwał mu kopersztychy, z ożywieniem wskazywał jakieś ich szczegóły wyjątkowej piękności. Księżę biskup był zachwycony, a że wybornie znał się na sztuce miedziorytniczej, więc spytał Karola, gdy ten mu pokazywał także swojej roboty kopersztychy: :

— Skądże waćpan ma wiadomości tyle o pracy w miedzi i tyle wprawy?

— Kształcę się w tym — wyjaśnił syn Grolla i ze źle ukrywaną dumą dodał: — Ojciec ma zamiar wystać mnie do Berlina na naukę, bym się tam rysunku wyuczył u Daniela Chodowieckiego...

Księżę biskup był mile zdziwiony.

— Niezadługo więc pewnie będzie ojciec książki wydawał z ry- j cinami waćpana?

- 136-

— Ojciec jest bardzo wybredny, trudno mu w gust utrafić. Krasicki podniósł uśmiechnięte oczy na Grólla.

— Bo też ojciec waćpana nie ma sobie równego w książek drukowaniu.

Gróll nie podziękował za pochwałę; przeciwnie, uniósł się oburzeniem. Cóż z tego wszystkiego, kiedy ma takie trudności! Czcionki sprowadzaj z Anglii albo z Francji; rytowników polskich nie ma, a jeżeliby nawet i byli, to u nas nie można dobrze rycin odbić...

— O, proszę. Księżę biskup zobaczyć raczy, korekta nowej książki: „Sielanki polskie z różnych autorów zebrane”. Piękne to, prawda? Ale gdzie jest drukowane? W Lipsku! A ryciny jakie ładne! Tylko że nie przez tutejszych artystów robione. Więc też Karol musi wszystkie siły włożyć w to, żeby stać się rytownikiem, i oczywiście nie byle jakiej miary!

Pan Groll szarpnął się, niemal potoczył do przedpokoju, a potem-gdzieś dalej jedno, drugie drzwi trzasnęły...

— Ojciec waćpana sam pewnie nie wie, jak wiele zdziałał — powiedział niespodziewanie poważnym głosem Krasicki. — Jego to dziełem jest w niepośledniej mierze, iż ludzie teraz wiele czytają, że się każdą nową książką interesują.

— Bo też ojciec, gdy nowość jakąś sam wyda lub gdzie indziej wydaną do księgarni sprowadzi, zaraz ogłoszenie do „Gazety Warszawskiej” daje albo też katalogi specjalne drukuje.

Właśnie pan Groll pojawił się w pokoju, dźwigając stertę książek.

— Wszystkiego mało — sapnął, usłyszawszy koniec rozmowy — wszystkiego jeszcze mało, bo kraj w wiekowej ciemności się znajdował: jedzenie, picie, bogacenie się i warcholstwo było ludziom w głowie, nie nauka ani rymy czy powieści. Teraz dopiero splywa na kraj... — pan Groll zastanowił się chwilę, ale książkę biskup dokończył za niego:

— Teraz splywa na kraj oświecenie.

Anna rzadko kiedy widziała stryja takim; zwykle, gdy się znalazł w towarzystwie, bawił ludzi rozmową lekką i wykwinną, pełną dowcipu. Kiedy wszyscy wybuchali głośnym śmiechem, on sam zaledwie raczył się uśmiechać, a oczy przy tym miał pełne-pobłażliwej ironii. Teraz natomiast wydawał się jakiś inny, chociaż pan Groll robił wiele rzeczy, których stryj nie lubił: mówił głośno, z przesadną afektacją, ruszał się kanciasto i niezgrabnie, jakby mu każdy sprzęt w pokoju zawadzał, głośno nos wycierał...

— Oto moje ostatnie druki! — wołał. — Papier piękny, prawda? Nie darmo król jegomość, przywilej dając na założenie księgarni i drukarni, zastrzegł, że nakłady mają być drukowane na

- 137 -

dobrym papierze... Król się żywo interesuje, by polskie książki dobrze były wydawane, i mało dobrze: pięknie!

Zapalał się: to siadał, to znów podnosił się z fotela i biegając wokół gościa, raz z prawa, raz z lewa, podsuwał mu druki, perorując zawzięcie.

O Annie chyba wszyscy zapomnieli, więc czuła się zawiedziona. Chciałaby też parę słów wtrącić do rozmowy, lecz niezbyt wiedziała, do czego nawiązać. Cały kontenans straciła. Jakoś łatwiej było wieść dysputy z panem Michałem w Dubiecku niż tu, pośród znawców niepoślednich, o książkach parę słów wtrącić.

Czytywała przecież niemało, a już rytownictwo szczególnie ją interesowało. Miała nawet odpowiednie przybory, choć niezbyt sprawnie jeszcze posługiwała się nimi. Trudna to sztuka, zwłaszcza gdy się żadnych lekcji nie pobierało.

Prawdę mówiąc, panienska miała już dość tej wizyty u pana Grolla; rada by zabrać się stąd i Warszawę dalej oglądać, ale stryj-jaszek dobrodziej niezbyt się z wyjściem śpieszył, owszem, bardzo rad gwarzył i uśmiechał się, powściągliwie jak zazwyczaj, lecz zarazem przyjaźnie, miło, pogodnie.

Och i po cóż to jeszcze pan Groll poszedł do przyległego pokoju? Znów zapewne nową stertę książek przyniesie... Panienska dyskretnie przysłania usta dłonią i tłumi ziewanie.

Ale nie, nie książki pan Groll przyniósł, lecz niewielką figurkę.

— Z Francji sprowadziłem, i to parę sztuk za ledwie. Jedną sam król kazał sobie przysłać. Księżę biskup pewnie też zechce mieć taką w Heilsbergu.

— Ojciec waćpana nie samymi książkami się zajmuje, jak widzę — Anna usiłowała nawiązać rozmowę z panem Karolem.

— Ojciec? — Karol zaśmiał się dobrodusznie. — Ojciec wszystko robi, by jak. Najwięcej ludzi ściągnąć do naszej księgarni czy też wypożyczalni książek, więc na przynętę i inne przedmioty sprzedaje. Przychodzi ktoś zakupić saską farfurkę lub pachnidło francuskie, to najczęściej i z książką ze sklepu wychodzi...

— Jakże to? — otworzyła szeroko oczy panienka, a potem już przypuściła szturm generalny do przystojnego młodziana: — Powiadali u nas, że warszawscy kawalerowie wielce obrotni są w dyskursjach i gładko nimi zabawić damy umieją, czego po waćpanu spostrzec się tak łatwo nie daje...

Ale pan Karol odparował gładko:

— Księżę biskup najznamienitsze zna domy w stolicy, tedy, jak sędzę, sama waćpanna w krótkim czasie zdanie sobie zdołasz wyrobić o kawalerach tutejszych.

-138-

Panienka pomyślała: „Gbur!” i w cichości ducha westchnęła do pana Michała. Nieborak pocziwy! Strzec się jej przykazywał fircyków w stolicy. Jeśli tacy oni, jak onże Karol Groll, to i przestrzegać przed czym nie było.

Karol zaś myślał: „A jaka to czupurna! Nad-skakiwań się jej zachciewa”. I też w duchu westchnął, że chociaż prowincjałka z ubioru i daleko jej do elegancji pań warszawskich, przecież wdziękiem niejedną potrafiłaby prześcignąć... A może — tu pan Karol jakoś wbrew woli spojrzął na panienkę — a może i wszystkie by przyćmiła? Zresztą, co mu tam do niej! Niech na salonach próbuje swoich wdzięków.

Księżę biskup tymczasem wybrał kilka najpiękniejszych kopiersztychów angielskich; nim pan Groll je zapakuje, miło jeszcze raz im się przyjrzeć. Krasicki przybliżył je do oczu, oddalał — widać, że się dość zachwycić nimi nie mógł. A figurkę przyniesioną przez księgarza również wziął w ręce.

— Voltaire... — powiedział i kiwnął lekko głową niby na powitanie z kimś dobrze znajomym.

Panna Anna myszkowała w pamięci: Vol-taire, Voitaire... Ależ tak, już wie: to filozof, który mieszka we Francji, znakomity podobno. Stryjaszek ogromnie się jego dziełami zachwyca. Voltaire... Figurka jest niewielka, ale misternie wykonana — twarz filozofa mądra, lecz niemiła, chociaż uśmiechnięta. Drwi, drwi sobie ze wszystkiego złośliwie i bezlitośnie.

— Czym Voltaire we Francji, tym wasza miłość u nas w Polsce — rzekł poważnie Groll.

Ale Anna, która przecież dobrze zna stryja, kocha i podziwia, niechętnie przyjęła to porównanie. Może i równy jest umysłem wielkiemu francuskiemu filozofowi, lecz nie ma w nim tyle chłodnego szyderstwa, takiej obcości wobec świata.



I bezwiednie porównała te dwa uśmiechy: stryja i Voltaire'a.

Krasicki zaś tymczasem, nieświadom rozmyślań bratanicy, wybrał sobie parę zagranicznych książek i wszystko to kazał odnieść do karocy.

— Książę biskup odwiedzić nas jeszcze raczy przed wyjazdem do Heilsbergu? — spytał pan Groll.

Książę biskup zapewnił najuprzejmiej, że owszem, ma zamiar nawet kilkakroć tu zajrzeć w czasie swego pobytu w stolicy, i dalej tonem lekkim, bynajmniej nie proszącym zapytał, czy pan Karol nie zechciałby tu obecnej panny Anny zaznajomić bliżej ze sztuką rytowniczą, bowiem bratanica interesuje się nią żywo.

Rysuje, jak się zdaje, bardzo udatnie.

— Pokaż, Anusiu, szkice, by pan Groll swoje zdanie mógł o nich wypowiedzieć.

Mina pana Karola nie zdradziła zbyt wielkiego zainteresowania i panienka, widząc to, zagryzła wargi z irytacji, lecz lekkie uniesienie brwi stryja przywołało ją szybko do porządku. Z dygiem, który niezbyt zręcznie wypadł, podsunęła panu Grollowi kilka swoich szkiców.

Książę biskup rozsiadł się wygodnie w fotelu, jakby zamierzał tu dobrych parę godzin spędzić, i chociaż zdawał się obserwować pilnie winietę w leżącej na stole książce, Anna wiedziała doskonale, że śledził wyraz twarzy zarówno starego wydawcy, jak i jego syna. Anna też je śledziła z zapartym oddechem.

Pan Groll włożył okulary, zdjął je, przetaił miękką skórką i włożył znowu.

— Mnisi? — zdumiał się otwarcie. — Na strychu niby, z jako-wymiś księgami? A to co znowu?! — nie powstrzymał się od okrzyku na widok wizerunku opastego mnicha z wielkim kielichem w rękach. Krasicki dłonią zakrył leciutki uśmiech, którego nie umiał powstrzymać.

Pan Michał Groll chrząknął, pan Karol zaczął coś mówić, lecz zaraz urwał.

— Rad bym widział ryciny te w książce przez was wydanej — skłonił głowę Krasicki.

— Ba, tak! — wykrztusił wreszcie Groll. — To wcale nie są złe rysunki. I ruchy uchwycone dobrze, i zabawne to jest nawet, ale...

- 140-

Groll przerwał, czyniąc w powietrzu nieokreślony ruch ręką. Karol stał za nim, nic nie mówiąc, z uwagą wpatrzony w rysunki.

— Słucham? — powiedział z uroczym uśmiechem książę biskup.

— Ależ tak! — Groll nagle wrócił do zwykłego swego tonu. — To by było zupełnie dobre, wiem, co mówię: zupełnie dobre, tylko że jeszcze popracować trzeba. Ale chyba warto...

— Warto! — potwierdził Karol.

Anna nie była pewna, czy mówił z przekonaniem, czy też, by się okazać grzecznym. Spłonęła cała, ale nawet nie spojrzała na niego.

— Słucham — powtórzył książę biskup, łagodnym ruchem pochylając się ku przodowi.

— Rzecz jest w tym — zakończył Groll — w tym rzecz, że gdyby nawet i waćpanna chciała szkice przerobić jeszcze, uzupełnić, jak się to mówi powszechnie: wyczelować, nawet na płytkę rytowniczą przenieść, to przecież i tak nie mielibyśmy do czego takich rycin użyć. Tekstu odpowiedniego nie mamy — rozłożył obie ręce, po czym je złożył, a za chwilę znów uniósł do góry, zdjął okulary, jakby dając tym do zrozumienia, że cała sprawa została wyczerpana i nic już więcej na ten temat powiedzieć się nie da.

Panna Anna spojrzała wyczekująco na stryja, ten zaś rzekł z niezmienną uprzejmością, a jednocześnie z lekkim rozbawieniem:

— Tekst jest. Bratanica te szkice robiła do mego tekstu, który niemal że jest gotowy.

I z doskonałą obojętnością udawał, że nie widzi, jak pan Groll rozwarł ramiona niby chwytając jakiś skarb niespodziewanie spadający z nieba.

— Prawda to czy też książę biskup raczy dworować? Przecież od lat czekam na tę chwilę, bym wreszcie jego słowa mógł drukować. I czy ja jeden czekam? Chyba kraj cały wypatruje tego! Rzecz jest większa? I wiesz to czy proza? A może...

— Wiersz.

— O mnichach? Czyżby rzecz jakaś o nastrojach sprzyjających pobożności?

— Niezupełnie...

— Książę biskup zostawić raczy rękopis już teraz, dziś?

Groll promieniał i spalał się cały z ciekawości. Już chciałby wiedzieć wszystko, już chciałby sobie wyobrazić, jak też tę książkę wyda. Zna przecież i prozę, i wiersze księcia biskupa warmińskiego. Prozę mądrą, rzetelną, otwarcie wywlekającą nieuctwo i koł-tuństwo panoszące się w kraju — tę prozę, którą Krasicki ogłaszał w „Monitorze”. I drukowane w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych” wiersze — lekkie, dowcipne, gdzie mowa polska migoce i skrzy się jak klejnot precyzyjnie szlifowany. I jeszcze ten wiersz

-141-

zna, który każdego dnia rano powtarza zamiast modlitwy cała Szkoła Rycerska w Warszawie. Zamiast modlitwy, bo równie podniosłe brzmiały jego dwie strofy o „świętej miłości kochanej ojczyzny”.

Jakież zatem będzie nowe dzieło? Ale książę biskup nie raczył nic więcej o nim mówić: uśmiechał się jedynie i... Tak, teraz właśnie, gdy myślał o tym swoim dziele, uśmiechał się tak, jak ów Voltaire na kupionej figurynce.

— Ach, pewne jest, że rysunki waćpanny weźmiemy — zwrócił się Groll do panienki — skoro księżę biskup tego sobie życzy. I Karol wszystko pokaże, cokolwiek sam umie w rytownictwie.

Karol zmarszczył brwi i nie odpowiedział spojrzeniem na rzucone spod długich rzęs spojrzenie Anny. Krasicki podniósł się z fotela.

— Rad bym dłużej pozostać, ale do księżnej Izabelli Czartoryskiej mi pora; bratanicę pod jej opiekę chcę oddać na czas pobytu w stolicy.

Zaczął się żegnać. Anna pochyliła głowę w ukłonie.

Gróll rękę wyciągnął, sapał, przestępował z nogi na nogę, wreszcie nie umiając się wstrzymać dłużej, zagadnął:

— A gdzież się to wszystko dzieć będzie? — ruchem głowy wskazał na szkice Anny. — Owe mnichy gdzie żyją?

Księżę biskup już od drzwi się odwrócił. Rzekł z błyskiem rozbawienia w oczach, jakby dowcip opowiadał:

W mieście, którego nazwiska nie powiem, Nic to albowiem do rzeczy nie przyda...

Anna roześmiała się dźwięcznie, swobodnie. Ona tylko poza stryjem wiedziała, że jest to początek jednej z pierwszych strof owej „Monachomachii, czyli wojny mnichów”, która z jej, Anny, rycinami rychło wyjdzie z drukarni Michała Grolla, rychło po całej Polsce się rozejdzie z księgarni jego w Marywilu.

Na nic tu w stolicy najśliczniejsze szatki, w których panna Anna zadawała szyku na dubieckich zabawach; na nic w loczki utrefiona głowa ani rumieńce własne i długie rzęsy, co to się nimi pan Michał dość nazachwycać nie mógł! Księżna Czartoryska, zlustrowawszy panienkę, tylko dłonie rozłożyła i wymownie spojrzała na księcia biskupa.

A stryjaszek zrozumiał, o co chodzi; zaraz sypnął groszem na

-142-

krawczynię, na materiały tak cienkie, jakby z mgieł różowych i obłoczków tkane, na koronki, kwiatki, wstążki...

Anna ich nawet nie wybierała; Krasicki się zastrzegł, by bratanicę sama księżna Izabella przyodziła według własnego gustu.

Więc się zaczęły przymiarki, krygowania przed lustrami; fryzjer od rana biedził się nad uczesaniem: loczki poszły precz, zamiast nich na głowie panny Anny wyrosła fryzura chyba na pół metra wysoka, podtrzymywana misternymi rusztowaniami z drutu. W tę to fryzurę księżna jeszcze wpiąć przykazała... kwiat? Gdzieżby kwiat: dwa maluśkie, kolorowe ptaszki, siedzące w gniazdeczku uplecionym z wstążek.

A co też jeszcze z twarzą panienki wyczyniały pokojowe, rozstawiwszy uprzednio chyba ze dwa tuziny przeróżnych pudełeczek pełnych woniejących kremów, pudrów i innych mastyków, o których panna Anna pojęcia nie miała, że takowe mogą istnieć na. bożym świecie.

Za to teraz jest na co popatrzeć, tyle że trudno odbicie własne w zwierciadle rozpoznać po tych wszystkich zabiegach.

Księżna Izabella jest zadowolona.

— No! — uśmiecha się miło. — Stryj waćpanny chyba jej nie pozna, gdy na balu się spotkamy u księżnej Lubomirskiej.

Anna leciutko wzdycha, chociaż sama nie wie dlaczego. Właściwie rada jest, że z niej taką wdzięczną pannę uczyniono, przybierając w te tiule i koronki.

Wciśnięta mocno w gorset, w pasie cienka jest niby osa. Niewygodne to, prawda, ale czegoż się nie robi dla piękności i mody? A w stolicy każda pani musi być urodziwa, zwłaszcza gdy się na balu ma pokazać. Tak przynajmniej prawi księżna Izabella i dodaje, że Polki przecież, a już warszawianki szczególnie, i za granicą słynne są z piękności.

— Z piękności i z wykształcenia, z książek czytania, z dysput,, które umieją wieść zgrabnie i uczenie...

No i jeszcze z tańców. Bo i to też niezmiernie ważne, jak tam panna Anna z kontredansem sobie radzi, czy płynnie krok stawia, czy w figurach się nie myli?

Panienka z tego wszystkiego zupełnie głowę traci, już sama nie wie, co umie, a czego nie umie. Taka rezolutna w Dubiecku, za-strachała się w stolicy ze szczeniem. Głupio przecież tak stać tu jak lalka, głowę obracać, okręcać się wokół i wciąż powtarzać niby wyuczona papuga:

— Tak, wasza miłość. Nie, wasza miłość...

Aż dziw, skąd to stryjaszek w takiej przyjaźni jest z księżną, skoro ona ani przyjemna, ani wesoła; ostra nawet jakaś, sztywna.

-143-

7, wysoka na wszystkich patrząca. Czartoryscy — ród wielce znakomity... Stryjaszek nadto mówił, że i oświecony, a już księżna Izabella chyba jedna z najmędrszych niewiast w kraju.

— Wielka to okazja dla ciebie, że się z nią zetknąć możesz, bo właśnie do Warszawy zjechała.

— Nie mieszka tu stale?

— Gdzieżby! W Puławach ma pałac i ogród prowadzony według najnowszej angielskiej mody. W pałacu zaś biblioteka nie byle

jaka.

Więc Anna wmawia teraz w siebie, jak może, tę radość z powodu opieki, którą księżna Izabella raczy nad nią roztaczać, chociaż wie, że nie dla niej to robi, tylko z wielkiej przyjaźni dla stryja.

Pewnie też z tej przyjaźni uszczęśliwiła Annę pięknym spacerem do wsi położonej za Warszawą, gdzie miała pałac i rzadkiej piękności ogrody — na Powązki. Panienska w życiu swoim nie widziała nic równie pięknego, ale dzień zaledwie tam spędziły, bo księżnej spieszno było wracać do stolicy, by poczynić przygotowania na bal, wydany przez kuzynkę — księżną Lubomirską.

I oto Anna stoi teraz przed lustrem, nie mogąc się napatrzeć samej sobie: kto by pomyślał, że potrafi wyglądać tak wdzięcznie. Tylko jaka to szkoda, że rodzice nie mogą zobaczyć jej w tych szatkach cudnej j'piękności. Ani pan Michał...

Anna wychyla głowę spośród tiulów, sprawdzając, czy aby się jej mała, czarna muszka nie odlepiła z twarzy... Szkoda też, że pan Karol Groll jej nie widzi. Może bardziej byłby rozmowny? A może będzie na balu? Nie wypada o to pytać księżnej... Tak, czarna muszka dobrze się trzyma na pudrowanym policzku... Nie będzie nikogo pytała o pana Karola; sama go wypatrzy na balu. Może do kontredansa ją poprosi? Może do poloneza?

Anna mnie w rękę cieniutką, koronkową chusteczkę, nasyconą delikatną perfumą. Serce jej łomocze w piersiach i nawet puder nie jest w stanie ukryć łuny rumieńca, buchającego na policzki. Taki wielki bal! Sam król ma być na nim. I straszno o tym myśleć, i cudownie... Chyba rozplące się z radości! Chociaż... nie, płakać za nic nie wolno: czernidło na rzęsach gotowe by się rozpuścić od wilgotności oczu.

— Księżna pani zawiadamia, że toaleta jej ukończona — lokaj zgina się w ukłonie.

— Idę!

Powiedziała, że idzie, lecz to nieprawda: płynie przez komnatę i długi korytarz, niemal nie dotykając podłogi stopami. Szeroka suknia to rozwija się wokół nóg okrągłą linią, to faluje łagodnie; jedwabne halki szeleszczą przy każdym kroku. W takiej szacie nie

-144-

• \* ■

można chodzić normalnie — można fruwać pań ziemią, można tańczyć, można... ukłon piękny złożyć, co też Anna czyni, wchodząc do go to walni księżnej. Na krótki moment suknia rozkłada się na podłodze niby olbrzymi kwiat o blad różowej koronie.

Księżna Izabella ma na suknię narzucony płaszcz z amaranto-wego aksamitu podbity gronostajami.

Przed pałacem Błękitnym stoi karoca zdobiona herbem Czartoryskich...

A potem już wszystko dzieje się jak we śnie; nawet majowy, późny zmrok, opadający na warszawskie ulice, ma w sobie coś baśniowego. Karety suną nie kończącym się szeregiem, a przed każdą biegną laufry z pochodniami. Cała ulica zdaje się wyłożona żółtymi światłami pochodni, z których czasami rój iskier rozsypuje się na boki.

I oto już pałac książąt Lubomirskich na Mokotowie. Przed nim sotnia kozaków książęcych, w sieni — oddziały straży.

Gdy Anna wkracza do apartamentu, gdzie setki świec woskowych goreją, oświetlając wszystko jak w dzień najbardziej słoneczny, już na progu wydaje się jej, że każdy z tam obecnych oczy ku niej zwraca — i panience na jeden krótki moment zamiera serce z przejęcia.

Ale po chwili sama się śmieje z siebie: bo i jakżeby kto patrzył na nią, gdy taka ciżba ludzi? Prawie wszyscy przystrojeni z francuska: panowie w aksamitnych lub jedwabnych kolorowych frakach, z upudrowanymi fryzurami, w koronkowych żabotach; panie mienia się od klejnotów, a na głowach dźwigają wysokie fryzury, nierzadko coś imitujące, jak u księżnej Lubomirskiej na przykład: fale morskie, wśród których płynie okręcik z koralu i złota.

Powitania, wymiana ukłonów. Panie krytycznym okiem szacują suknie: która też ma najpiękniejszą, która najbogatszą. Ale muszą umilknąć wszystkie, gdy księżna Czartoryska zrzuca swój płaszcz amarantowy — jej suknia biała, naszywana perłami, nie ma sobie równej.

Księżna Lubomirska lekko wargi zacina na ten widok; już od lat rywalizuje we wszystkim ze swą kuzynką. Gdy Izabella urządziła Puławy i Powązki, księżna Lubomirska sprowadziła zaraz najbieglejszego ogrodnika i budowniczych, by przyozdobili jej Mokotów. Aby broń Boże od Powązek nie był mniej piękny, ba, żeby je pięknością przewyższył.

A jednak nie przewyższył, bo księżna Lubomirska nie dorównywała kuzynce Izabelli ani w gustach, ani też w wykształceniu... I teraz nawet równać się nie może z jej elegancją: suknia Lu-

10 — Przyjaciół na zawsze

-245-

bomirskiej jest wprawdzie z nie mniej drogiego materiału, lecz to papuzie tło, na którym bujają motyle i ptaki najjaskrawszych kolorów! Jakoś to prostacko wygląda przy śnieżnej bieli i przyćmionym blasku uriańskich pereł księżnej Czartoryskiej.

— Król jedzie! — wpada do sali marszałek książęcego dworu.

Wszyscy powstają z miejsc, a książęca para śpieszy do przedpokoju witać najjaśniejszego pana.

Wśród nagłej ciszy, mąconej tylko szmerem przytłumionych oddechów, prowadzony przez oboje księstwo wchodzi król Stanisław August. Szczupły, wytworny w każdym ruchu, z uśmiechem pełnym

galanterii, ale i znużenia, w aksamitach zdobionych brylantowymi guzikami, w haftowanej złotem kamizelce, z niebieską wstęgą Orła Białego spływającą z lewego ramienia.

Anna staje na palcach, by osobę królewską jak najdokładniej zobaczyć — przejęta, szczęśliwa, zachwycona wszystkim dokoła, upojona tą ciszą wywołaną wejściem majestatu, odurzona światłem, bogactwem strojów i zapachem, którym wszystko jest przesycone: woń to perfum czy kwiatów — nie sposób rozeznąć.

Kapela gra poloneza. Król, lekko odkłoniwszy się wszystkim, otwiera bal z panią domu, prowadząc ją w pierwszej parze. Niemal że w tej samej chwili Anna widzi białą suknię księżnej Izabelli, tańczącej w drugiej parze — i już jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pary poczynają się mnożyć; więcej niż sto ich sunie przez komnaty po lśniących posadzkach.

Nie wiedząc nawet kiedy, Anna też znajduje się wśród tańczących. Jeśli kiedykolwiek nie była pewna, czy z odpowiednią gracją potrafi tańczyć poloneza, to teraz pierchają wszelkie obawy. Nogi same płynnie i lekko suną w takt muzyki. Przed oczami przesuwiają się twarze męskie i kobiece, kwiaty powpinane we włosy, wstążki, klejnoty; jarzą się świece w srebrnych wieloramiennych kandelabrach — wszystko wraz z malowidłami na ścianach i suficie płynie w polonezowym takcie.

Gdzieś w przelocie migają wpółuśmiechnięte oczy księcia biskupa warmińskiego i dłoń jego wypielęgowana, wychylająca się pełnym zrównoważenia gestem z brabanckich koronek rękawa. Stryj z kimś rozmawia, uśmiecha się, coś prawi, ale co? Anna nie może usłyszeć. Tancerz, wymuskany i krygujący się przy każdym słowie,, pochyla się ku panience.

— Sam ksiązę biskup bal dzisiejszy zaszczycił... Ten oto, który teraz przy stoliku zasiadł i z szambelanem Trembeckim rozprawia. Niechże waćpanna korzysta z okazji, by mu się przyjrzeć...

Anna śmieje się.

— To stryj mój — mówi, zasłaniając sobie usta chusteczką. Nagle chce się jej śmiać i nie umie się od śmiechu powstrzymać,

na co danser patrzy nieco zgorzony, udając z trudem, że mu się to podoba. Jakżeby mogło się nie podobać coś, co czyni bratanica tak sławnej osoby, jak ksiązę biskup warmiński, ulubieniec króla, pisarz znakomity, którego samo ukazanie się przydaje splendoru każdej uroczystości?

Rytm muzyki się zmienia — tancerze się zmieniają. W krótkich przerwach Anna jest przedstawiana jakimś dostojnikom; ma pełne uszy znakomitych, znanych w całej Polsce nazwisk: Potocki, Radziwiłł, Czartoryscy, Poniatowski, starszy brat króla...

Wykonuje zgrabne dygi, pochyla głowę w ukłonach; mówi: „Tak, wasza miłość”, „Nie, wasza wysokość...”

Balem jest zachwycona. „Enchantee... oui, c'est charmant!” — powtarza słowa francuskie, jak gdyby polskie, własne, zbyt ubogie były dla wyrażenia zachwyty.

Ale o którejś godzinie, zanim jeszcze blade światło zraszane drobnym deszczem majowym zajrzał przez szerokie okna — poczuła się bardzo samotna wśród tej ciżby wystrojonej, rozbawionej, prawiącej wciąż te same dusery, nieszczerze, pełne przesady komplementa; wśród tych kobiet, z których żadna nie przepuściła okazji, by mizdrzyć się do króla; wśród mężczyzn wymuskanych, pachnących, upudrowanych, przypominających raczej dekoracje do upiększenia komnat niż żywych ludzi.

-147 -

Z wielkim trudem dotarła do stryja. Uśmiechnął się na jej widok serdecznie, trochę drwiąco.

— Anusia? Wyglądasz, jakbyś prosto z Paryża przyjechała, nie z Dubiecka.

— Księżna pani francuską modę stosować kazała — bąknęła

Anna.

Nie wiedzieć dlaczego poczuła się zażenowana. Gdybyż stryja-szek rzekł przynajmniej, że ładnie wygląda... Przecież zna się na tym. Ale nie! Spytał tylko, jak się bratanica bawi, czy zadowolona, że jest na tak znakomitym balu... I... czy jeszcze się tym wszystkim nie znudziła? Ostatnie pytanie zadał zniżając głos i porozumiewawczo przymrużając oczy.

— Bo to przecież nudne jest — dodał. — Nawet porozmawiać nie ma z kim.

— Przecież stryj rozmawiał...

— Ale Trembecki dawno się stąd zabrał. On nie lubi tłumu; powiada, że ma najlepsze towarzystwo w domu...

— Jakież to?

— Książki Platona, Cycerona, Montaigne'a i innych. Powiada, że najdogodniejsza to kompania i że lepszego towarzystwa nie znajdzie.

— Stryj też tak uważa, prawda? — uśmiechnęła się.

— Nie! — zaprzeczył najpoważniej książę biskup. — Moja kompania jest inna...

— Księżna Czartoryska, marszałek... Krasicki machnął ręką.

— Voltaire — powiedział — Voltaire, Diderot, d'Alembert... Nie dokończył wymieniania nazwisk francuskich filozofów,

w których się rozczytywał, bo się oboje z Anną roześmieli.

Tak, to właśnie było podobne do stryja, że nic sobie nie robił z nikogo, że mu nikt nie imponował znakomitym nazwiskiem czy urzędem. Nie wplątywał się w żadne intrygi dworskie, nie słuchał plotek, od których roило się w Warszawie. Powtarzał sobie za Kochanowskim miłą maksymę:



Niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję.

— Anusiu, pojedziemy jutro odwiedzić pana Grolla w Mary-wilu.

Takie to było niespodziewane: muzyka rozpoczęła właśnie kon-tredansa, rozliczne pary puściły się w płasy, a pośród tego wszystkiego o czym stryj myśli? O swojej książce.

— Dobrze, stryjaszku — powiedziała potulnie, chociaż jej wcale nie pytał o zdanie, i zaraz zagadnęła: — Oni nie zwykli bywać na takich jak ten balach?

— Kto taki?

— Pan Groll Michał i... i jego syn?

— Nikt by ich tu nie zaprosił!

— Zbyt to wielki byłby dla pana Grolla zaszczyt?

— Tak zapewne tu wszyscy myślą.

— Książę biskup warmiński zazwyczaj lubi inaczej sądzić niż inni — Anna przekornym ruchem przechyliła głowę, zaglądając stryjowi w oczy.

Nie zaprzeczył; pochylił się ku niej poufale, przyjacielsko.

— Nie strać głowy, Anusiu, bo tyle ci rzeknę, że nie warto sobie zbytecznych kłopotów, przysparzać. Co zaś do starego Grolla... — zawahał się chwilę, w jakich słowach rzec pannie to, co miał na myśli, lecz właśnie młodzian przed nią się skłonił, prosząc •do tańca.

Poszła w płasy .zadumana nad czymś, nie bardzo nawet słysząca gładkiego zagajania rozmowy przez partnera.

Dziwny czas i dziwne miejsce wybrał sobie uśmiechnięty książę biskup dla prawienia o takich sprawach... Miałżeby rację?

Ale wysoki ton skrzypiec, wybijający się ponad kapelę i wiodący taneczną melodię — niby wiatr wydmuchnął z głowy panienki wszelkie stryjowe słowa. Stopy uniosły się lekko, różowa mgła sukni zafalowała, światło niezliczonych świec rozchybotano się

w oczach...

Ze wszystkich myśli jedna tylko została: by nie pomylić trudnej

i igury kontredansa.

...i wyimaginować sobie Waćpan nie jesteś zdolny, jak wielu jest Judzi w stolicy, co się w czytaniu książek kochają. O księżnej Czartoryskiej nie wspomnę nawet, bo nie tylko że ma biblioteki obfite w Puławach,

Powązkach i Warszawie, ale z zagranicy wciąż sprowadza rzadkie jakoweś księgi lub rękopisy, za które ogromne pieniądze płacić jest zawsze gotowa...

Wielkie pióro trzymane w uperfumowanych paluszkach panny Anny zawisło na chwilę nad arkuszem papieru ze złożonymi rąb-

-150-

kami, lecz już po minucie znów wysokie i kształtne litery zapełniały arkusz:

Najdziwniejsze wszakże, że czytają tu wszyscy; i czy to pokojowa, czy kamerdyner, czy stangret nawet — każdy czas wolny na czytaniu przepędza. To mi się chyba najbardziej godne zachwycenia wydaje...

W dalekim Dubiecku pan Michał zdziwi się na pewno otrzymawszy to pismo: mało kto bowiem ze stolicy takie właśnie wrażenia wywozi, jak jego najmilsza. A i tak nie napisała połowy tego, co chciała, ani nawet ćwierci. Papieru by nie starczyło na opisanie wszystkiego, czemu się u pana Grolla w Marywilu napatrzyła lub czego się dowiedziała. Stąd tyle w liście o książkach.

Stryjaszek dobrodziej też zresztą nie zanieczywał niczego, by panience pokazać, co według niego godne było widzenia w stolicy. I nie byle co pokazał, bo bibliotekę przez pana Józefa Andrzeja Załuskiego, wielkiego referendarza koronnego, zebraną, liczącą sobie aż trzysta tysięcy tomów. Podobno była to jedna z dwóch lub trzech największych księżnic w Europie. Tak przynajmniej książkę biskup warmiński powiadał i przykazywał, by bratanica dobrze to sobie zapamiętała.

Zapamiętała oczywiście; rodzicom i panu Michałowi zaraz w Hastach o wszystkim doniosła.

Już po cichu tęsknić do nich zaczynała. Księżna Izabella niezbyt wiele czasu panience poświęcała, stryj zaś często u króla bawił lub też cyzelował swój rękopis o wojnie mnichów. Gdy pracę ukończy, wróć oboje do Heilsbergu, stamtąd zaś panna Anna pojedzie do Dubiecka. Krasicki zakazał bratanicy mówienia z kimkolwiek o swej książce; po powrocie do domu ma się tylko co rychlej zabrać do wykańczania rysunków.

— Dość będzie hałasu, gdy się „Monachomachia” ukaże — powiadał i uśmiechał się przy tym, jakby rad był z dobrego figla. — Mnichy krzyk podniosą... Ale teraz ani słowa nikomu.

Tak z panem Grollem uradzili.

Więc panienka jak zakłęta milczała na te temata, co jej zresztą bez trudu przychodziło, bo w Marywilu i tak dosyć było do mówienia. A najważniejsze rytowanie. Pan Karol prawił o wszystkim, co sam umiał, chociaż pełen był wątpliwości, których raz nie omieszkął zresztą wyrazić:

— Waćpanna przecież i tak rytować płyt nie będzie.

— Właśnie będę — sprzeciwiła się Anna.

Panu Karolowi podobało się, że panna nie taka jak inne, co to im tylko koafiury a muśliny w głowie, nie chciał jednak tego po sobie pokazać. Droczył się z nią dalej:

-151-

— Waćpanna do Dubiecka jak wrócisz, ani myśleć będziesz: o rysowaniu.

Panience niemal mowę odebrało z wielkiego oburzenia.

— Nigdy! — zawołała zapalczywie. — Nigdy nie porzucę rysunku! Będiesz to waćpan widział!

— Jakże będę widział — pan Karol mimo woli westchnął i zły był na siebie, że mu się to westchnienie wyrwało. — Gdzie Dubiecko, gdzie Berlin?

Właśnie: Berlin! Przecież niezadługo tam jedzie.

— W Berlinie waćpan zapomnisz o mnie... — rzekła panienka, czekając na żywe zaprzeczenie ze strony młodego Grolla. Już się tu w stolicy nauczyła zalotnego przechylania głowy, minek sentymentalnych...

Ale Karol nie przeczytał, tylko zaczerwienił się mocno pod ślicznym spojrzeniem panny.

I nagle wszystko prysnęło, znikły zalotne minki: w drzwiach pojawił się pan Michał Groll, okrągły, dobroduszny i niezwykle zaaferowany.

— Karol, Karol! — wołał od progu. — Zanieś uwiadomienie do „Gazety Warszawskiej”. Na jarmark do Łowicza pojadę niezadługo z książkami.

Stanął na środku pokoju, jeszcze raz sprawdzając napisany na kartce papieru tekst ogłoszenia.

— Zaraz, zaraz!... — krzyknął. — Karol, daj pióro!

Nie patrząc na syna, wziął z jego rąk pióro, jeszcze coś kreślił,

-152-

poprawiał — a sapał, a mamrotał pod nosem, z nogi na nogę prze-stępując. Tak się śpieszył, że nawet nie usiadł do pisania.

— No! — otarł pot z czoła wielką chustą, wcale nie pasującą do jego francuskiego ubioru, i głośno przeczytał ogłoszenie:

Podaje się do wiadomości wszystkim ichmościom kochającym się w literaturze, że dostateczny będzie skład różnych książek w ojczystym języku pisanych, w kraju drukowanych, a mianowicie tych, które od kilkunastu lat za nakładem księgarni Grollowskiej w Warszawie spod prasy wyszły...

Resztę już pod nosem sam do siebie wymruczał, Anna ledwie jedno zdanie uchwyciła:

...przez takowe przedsięwzięcie spodziewać się można. rozszerzenia chęci czytania aż ku najodleglejszym kraju. granicom...

— Jezus Maria! — wykrzyknęła, nie mogąc się opanować. — I jakże to będzie wyglądało, gdy waćpan książkami na jarmarku zaczniesz handlować jak, nie przymierzając, sprzedawca uliczny!

Sama za nic w świecie nie zrobiłaby czegoś podobnego, choć przecież właśnie, jak pan Groll powiada, „kochała się w literaturze”.

— Waćpan chyba żartujesz?

Groll wcale nie miał zamiaru żartować; spojrzał na pannę i serdecznie pożałował księcia biskupa warmińskiego, że ma tak nierozumną bratanicę, która zamiast wiedzieć, że z książką jak z sercem potrzeba wyjść ludziom naprzeciw, biedzi się teraz w swej głowi--nie, „jak to będzie wyglądało”.

Bo przecież w całej tej sprawie jedno właściwie jest ważne: żeby ludzie w całej Polsce mogli dotrzeć do książek. A jakże mają je nabywać gdzieś po małych miasteczkach, często naprawdę na skraju Rzeczypospolitej leżących, gdy żadnej księgarni tam nie ma? Trzeba więc, by on sam, Michał Groll, każdym sposobem dostarczał drukowane słowo polskie wszystkim, kto tylko chce czytać.

A niechże zresztą kupi i taki, co czytać nie chce; książka może poleżeć w domu, poczekać na chwilę sposobną, gdy się nad nią człowiek pochyli.

Stary wydawca bowiem nie miał żadnych wątpliwości, że gdy człowiek choć raz tak naprawdę spotka się z książką, już się z nią rozstać nie potrafi. Będzie mu ona odtąd przyjacielem koniecznym: i bliskim, który w dobrym czy złym — pozostanie na zawsze.

-153-

Żeby zaś do tych książek jak najwięcej ludzi przywabić, pan Groll także szereg-innych rzeczy ze sobą na jarmarki woził: wielkie i małe zwierciadła w ramach szklanych, różne gatunki pergaminu do pisania, fariury saskie, ba — nawet syrop kapillarowy francuski, gatunku przedniego, w afekcji kataralnych pomocny, albo też sprowadzone aż z Holandii nasiona koniczyny, którą właśnie zaczynano w Polsce uprawiać.

Taki jest pan Michał Groll.

A dla Karola też, widać, tamte sprawy ważne niebywale, bo pośpieszył do „Gazety Warszawskiej” z ogłoszeniem, ani nawet nie spojrzawszy na Annę. Więc panienska nie wiedziała, co ma teraz robić: stryjasek ją tu przywiózł, sam zaś karetą gdzieś na wizytę pojechał, zapowiadawszy, że dopiero za dwie godziny powróci.

— Waćpanna do księgarni raczy ze mną, bom właśnie świeży transport książek dostał; ciekawe tam rzeczy będą.

Cóż robić? Ale chociaż oglądanie nawet najpiękniejszych książek nie zastąpi dyskursji z gładkim kawalerem, panienska pośpieszyła za Grollem.

Myślała, że w księgarni będzie bawiona rozmową, lecz ledwie tam weszli, już wpadł ktoś ze służby.

— Szambelan Trembecki zajechał!

— Na salony prosić! — zawołał Groll, poprawiając w pośpiechu perukę i obciągając kamizelkę.

Anna przez okno patrzyła na wysiadającego z pojazdu szambelana: osoba była otyła, niechlujnie przyodziana, na gburowatą raczej wyglądająca.

Ale gdy Groll po półgodzinie wrócił do księgarni, promieniał niczym majowe słońce.

— Wystaw sobie, waćpanna: Voltaire'a zaczął przekładać. Na wszystko go zakląłem, by do Dufoura nie dawał, bo mu sam tę rzecz wydam najlepiej.

— Trembecki? — spytała Anna, przypominając sobie bal u księżnej Lubomirskiej w Mokotowie. — Ten, co to wiersze robi?

— I jakie wiersze! — Groll ręce składał i rozkładał z zachwytem. — A imaginuj sobie, waćpanna, że słowa całkowicie nowe do języka polskiego wprowadza...

— Jakże to możliwe?

— I to niejedno! — zapalił się Groll. — Znasz waćpanna słowo „żyjątko”? Nie, prawda? Nie było go dotychczas, teraz zaś już zostanie w polskiej mowie! Tak myślę, że chyba na zawsze zostanie. A bajki szambelana Trembeckiego waćpanna znasz?

I nie czekając odpowiedzi, pan Groll wgramolił się na stołek, by

-154-

ściągnąć z wysokiej półki cały rocznik pisma przez siebie drukowanego — „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne”.

— Czytaj że, waćpanna — rzekł krótko, rozkładając pismo przed panienką.

Tymczasem wbiegł służący meldując, że papier do druku przywieziono.

— Holenderski papier! — zawołał Groll i znów zniknął z księgarni.

Anna przez dłuższy czas siedziała sama, przeglądając „Zabawy”. Ucieszyła się napotkawszy tam kilka utworów stryja, Trembeckiego zaś ani jednego znaleźć nie mogła. Zaczytała się tak, że nawet nie postyszała, jak Karol wrócił. Widocznie śpieszył bardzo z powrotem, bo jeszcze tchu nie mógł złapać.

— Bałem się, że już waćpanny nie zastanę!

— A ja tu sobie czytam — powiedziała jakby nigdy nic panienka i tylko rzęsy jej zatrzepotały gwałtownie.

— Czytam i daremnie szukam wierszy pana Trembeckiego.

— Bo ich swym nazwiskiem nie podpisuje. — Karol szybko zbliżył się i przeczuciwszy kilka kartek wskazał pełną wdzięku, zabawną bajeczkę o przestraszonej myszce, co się kłóciła z kogutem od „obrzydłych krzykałów” mu wymyślając.

Oboje roześmiali się, tak im się ten utwór podobał.

Jakże to miło było czytać razem z panem Karolem i o tym, co się przeczytało, rozprawiać. Zgoła inne rozmowy niżli tamte na balach wiedzione.

I książki różne miło oglądać... Pan Karol nie co innego nawet zdjął z półki, tylko „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadku”, powieść, którą stryj Anny napisał.

— Mam to w domu! — zawołała panienka. — Tylko coś mi się zdaje, że w tej mojej książce papier jest chyba piękniejszy.

— A, pewnie taką waćpanna dostałaś — pan Karol pokazał inny egzemplarz o tym samym tytule.

Takuteńki był właśnie jak Anny.

— Widać tego lepszego papieru zabrakło na druk wszystkich

książek — usiłowała domyślić się panna.

Karol uśmiechnął się lekko.

— Papieru mamy dosyć, i z zagranicy sprowadzonego, i naszego, w Jeziornie robionego, który zagranicznemu nie ustępuje.

Nie, pan Karol sobie chyba dworował z Anny, bo nic więcej nie tłumacząc, jeszcze trzeci egzemplarz „Mikołaja Doświadczyńskiego” przed nią położył.

„Oho, coś w tym musi być! A na złość właśnie nie spytam; sama odkryć spróbuję” — postanowiła Anna.

-155-

Odkryła, owszem, że trzecia książka była na jeszcze gorszym papierze drukowana. Nie spieszyła się tym jednak. Najpewniej w różnych latach rzecz robiona; trzy wydania na pewno.

Wzięła w rękę pierwszą z pokazanych książek.

— W którym to roku ojciec waćpana ją robił?

— W 1776.

— A ta? — pytała dalej, z niewinną miną, myśląc w duchu: „O, już ja sama rzecz całą wy mi ar kuję...”

Z pewnym zdumieniem usłyszała, jak pan Karol spokojnie powiedział:

— W 1776.

Nie można się dziwić Annie, że już z irytacją w głosie o trzecią książkę pytała. A gdy znów taką samą odpowiedź jak poprzednio postyszała, skapitulować jej wypadło.

— Tedy musisz mnie waćpan oświecić: jakże się to dzieje, że tę samą książkę, w tym samym wydaniu, na trzech rodzajach papieru musicie drukować. Na co to komu potrzebne?

Karol się nie śmiał; z wielką chęcią do życzenia się przychylił.

— Ojca mego pomysł. Książka na najlepszym papierze drożej

musi kosztować i nie każdego stać na nią, więc ojciec na trzech różnych rodzajach papieru umyślił drukować, by w różnych cenach dzieło sprzedawane było i żeby każdy mógł je kupić wedle swej majątności.

I znów Anna jakoś nie bardzo mogła zrozumieć, czemu Gróllowi zależy, by każdy mógł książki kupować. Nie dla zarobku chyba tego pragnął, bo dom ma zamożny, a matka pana Karola podobno z jednej z najbogatszych rodzin w Warszawie pochodzi, więc posąg musiała wnieść niemały.

Ale nie pytała już o nic; wychwalała inne książki z Grollowskiej drukarni wyszłe, bo naprawdę były piękne i tak jakoś starannie, troskliwie wydane, że napatrzeć się im nie było można.

Dopiero później, gdy już stryj po nią przyjechał i razem karocą mknęli przez miasto, Anna sumując swe wszystkie warszawskie wrażenia i z dnia dzisiejszego, i te dawniejsze, raczej sobie samej niżli stryjowi zadała pełne zdumienia pytanie:

— Bo jakże to jest właściwie? W pałacach, na balach, wszędzie mowa francuska kwitnie, francuskie książki czytają, francuską modą szyte ubiory noszą... a pan Groll, jakby pod prąd szedł, polską książkę wszystkim w rękę wtyka, pisaną wybornie, wydaną pięknie... I czytają ją przecież, choć...

Panienka niezbyt dobrze umiała wyrazić swoje myśli; jeszcze różne zdania zasłyszane na balu przytoczyła: że to tylko dobre, co z zagranicy pochodzi, że...

Więc jakże to z tym jest? Więc co to znaczy?

Książę biskup nie lubił wielu słów, sam w swych utworach używał ich oszczędnie. Słuchając przydługich, nieskładnych wywodów bratanicy, unosił coraz wyżej swe brwi, cienkie, niemal kobiece. Wreszcie jednym zdaniem jej wątpliwości rozstrzygnął:

— Wzgarda kraju i języka własnego znaczy lekkość umysłu i serce nieprawe.

Leniwym ruchem oparł się o miękkie poduszki karocy i znów miał w oczach uśmiechniętą drwinę, gdy zaczął się lekko wachlować pachnącą chusteczką z najcieńszej koronki.

Ale Anna miała szesnaście lat i nie potrafiła zrozumieć wszystkiego od razu, nie umiała każdej wątpliwości rozstrzygnąć w okrągłym zdaniu. Za to z całą jasnością pojęła teraz, że niezmiernie prawe musi być serce starego, grubego i śmiesznego trochę w tym wiecznym zaaferowaniu pana Michała

Grolla, który tłucze się po całej Polsce z książkami w ojczystym języku pisanymi, jak to w swym ogłoszeniu zaznaczał.

Karoca przejeżdżała opodal Królewskiego Zamku. Przez błękitne niebo przepływały nad miastem białe, kłębiaste chmury; na

-157-

ich tle wysoko w górze czerniała sylwetka stojącego na smukłej kolumnie Zygmunta Trzeciego. U stóp pomnika przekupki sprzedawały owoce, jacyś ludzie z ciężkimi worami na plecach nawoływali śpiewnie: „Piaaasku, piaaasku białego, wiślanego!” Będzie żal niezadługo opuszczać Warszawę...

Minie chyba wiele, wiele czasu, zanim Anna znów będzie mogła tak wytańczyć się jak na warszawskich balach; spacerować po tak pięknych ogrodach jak warszawskie: Foksal czy Saski, zwany „letnim salonem Warszawy”; zanim znów zobaczy obrazy mistrzów takich, jak Canaletto albo Marcello Bacciarelli — malarzy nadwornych króla Stanisława zdobiących mu Zamek Królewski i nade wszystko ukochany pałacyk w Łazienkach.

Minie wiele czasu, zanim Anna jadąc ulicami stolicy będzie wypatrywać drukarń, o których nasłuchiwała się od pana Grolla: tej Piotra Dufoura na Rynku Starego Miasta i pojezuickiej na Świętojańskiej, i dwóch jeszcze, mieszczących się przy ulicy Długiej — pijarów i misjonarskiej. Bo — Anna to już wie — pan Groll nie jest jedynym, który książki wydaje, ale jest na pewno jedyny, który je właśnie tak pięknie wydać umie: czcionki dobrać, papier, format dać niewielki, wytworny...

Tak szybko dni biegły. Zdawałoby się, że dopiero tu ze stryjem przybyli, a proszę, oto ostatni raz przed opuszczeniem Warszawy zajechali do Marywilu i książkę biskup już na pożegnanie dawał ostatnie zlecenia co do druku swojej książki.

Groll kiwał głową, wpatrzony w Krasickiego, zdawał się chłonać każde jego słowo.

— Tak, wasza miłość, oczywiście; wszystko zrobimy, jak wasza miłość sobie życzy.

Tylko po wysłuchaniu ostatniego z życzeń „jego miłości” Groll o jedno jeszcze spytał, o te bajki mianowicie, które książkę biskup również ma napisane. Więc gdyby je zebrać, w jednej książce wydać, ukazałyby się niedługo po „Monachomachii”...

Anna tymczasem z panem Karolem obiecywali sobie po raz nie wiedzieć który, że będą pisywać wzajemnie, że pan Karol donosić będzie o wszystkim, czego się w Berlinie nauczy, że chociaż z daleka, jednak nie poskąpi wskazówek zarówno co do rysunków, jak i rycia ich w miedzi.

Panienka już nie robiła żadnych zalotnych minek, nie wywracała oczami, była najszczerzej zmartwiona, że muszą się rozstać. Pan Karol patrzył w ziemię i zbyt mocno obejmował palcami poręczę fotela. Annie nagle zrobiło się bardzo głupio, że mu chciała zawró-

- 158-



cić głowę... Ach, te warszawskie romansowe nastroje, którym tak łatwo uległa! Te gładkie słówka, nic właściwie nie znaczące uśmiechy i rzucone spod rzęs spojrzenia... Prawda, każda tu tak robi, ale pan Karol nie taki jak inni i jeśli potraktował wszystko na serio, jeśli teraz martwi się rozstaniem więcej niż trzeba, więcej niżby to mogło wynikać z samej tylko przyjaźni...

Anna miała wielką ochotę powiedzieć... Nie, sama właściwie nie wiedziała, co by chciała panu Karolowi powiedzieć. Coś serdecznego w każdym razie i coś uczciwego, żeby jej źle nie wspominał.

— Tak — mówił Gróll. — Książka waszej miłości, owa „Mona-chomachia”, do potomności przejdzie. Z pewnością przez wszystkie stulecia przyszłe będzie się ją wydawało. — I do Anny zwracając się: — A i to do potomności przejdzie, że panna Anna Krasicka ją ilustrowała...

— Charczewska — z uśmiechem poprawił książkę biskup. — Anna rychło za mąż pójdzie i panią Michałowa Charczewską zostanie...

Dłonie Karola zacisnęły się jeszcze mocniej na poręczy fotela. Przez krótką chwilę patrzył prosto w oczy panienki.

A już najgorsze, że stryj spostrzegł wszystko. „Stryj w ogóle widzi wszystko, czego nie potrzeba” — pomyślała z rozdrażnieniem Anna. Wprawdzie później się nie rozgniewa, nie będzie prawić żadnej perory — za to wyszodzi, za to niby niewinnie złoży króciutką bajeczkę o takich, którzy własnym rozumem nie umieją się kierować, na pozory tylko lecą, na udawanie i mizdrzenie się — hołdów i kadzenia niesyci, jak ten szczur nie przymierzając, co to kościelne kadzidła przypisywał swojej chwale.

Tak, jest taka bajka stryjaszka dobrodzieja.

Anna czuła wstyd i żal jednocześnie i rada była, że już pojedzie do swego Dubiecka, do rodziców, do pana Michała.

— Anusia — skłonił głowę Krasicki. — Czas na nas. Czas.

— Więc wasza miłość rękopis bajek rychło nadesłać raczy? — spytał Gróll. — Bajki w przyszłym roku wydaj.

— Skoro rzekłem, to nadeślę niebawem. — Książkę biskup warmiński nie zwykł powtarzać swych obietnic; każde słowo miało u niego wartość i raz je rzecz wystarczyło.

Gróll skłonił się, przepaszając za zbytnią natarczywość. W tym ukłonie wyraził wszystko: że wie, jaka to łaska dla niego, iż tak znamienity pisarz chce mu dać dzieła swe do druku; że podziwia, uwielbia i szanuje księcia biskupa nad wyraz, że jednak jest wydawcą, więc sprawa książki polskiej leży mu bardziej na sercu niż nawet dobre obyczaje...

— Wasz miłość darować raczy, darować i zrozumieć.

Rozumiał. Jakżeby nie miał rozumieć miłości do książek i chęci oświecenia kraju on, który każdym swym utworem smagał tych, co się temu oświeceniu opierali?

Żegnał się teraz ze starym wydawcą jak z kimś bliskim, nawet bardziej serdecznie, niż to miał w zwyczaju.

Anna ze wzruszenia zgubiła gdzieś całą grację ukłonów, w których była ćwiczona przez księżnę Izabellę.

Groll aż do karety ich odprowadził.

...Jakże szybko stangret kazał ruszyć koniom! Ostatnich słów Grolla nawet nie dosłyszeli, bo je zagłuszył donośny, srebrny . dźwięk trąbki forysia.

Kareta toczyła się po nierównej ulicy.

— I co, Anusiu? — spytał Krasicki. — Jutro skoro świt stąd wyjeżdżamy.

— Tak, stryjasku — przytaknęła niby mała, bezradna dziewczynka.

— Co ci też w stolicy najbardziej do serca przypadło? — głos księcia biskupa brzmiał pełną wyrozumienia ironią.

Więc pewnie dlatego nie powiedziała „Marywil”. Pomyślałby, że jedynie z przyczyny gładkiej powierzchowności pana Karola, a to nie tylko dlatego, naprawdę nie tylko.

Udając, że nie dosłyszała stryjowego pytania, Anna wychyliła głowę z okna karety.

Wysoki gmach Marywilu pozostał daleko w tyle. W błękitnej mgle przedwieczornej już nie sposób odróżnić szczegółów jego szerokiej fasady; gdzieś za tymi murami pozostał znany szyld i na nim słowa dobrze znane. Szkoda, że ich Anna nie zdążyła jeszcze raz, na pożegnanie, odczytać. Szkoda? A może i nie. Bo i bez czytania były przecież wiadome, w pamięci najwrdzięczniej zachowane — owe słowa:

POD ZNAKIEM POETÓW POLSKICH

I

MICHAŁ GROLL KSIĘGARZ NADWORNÝ J. K. MCI

r/

TYSIĄC STO NA GODZINĘ

mawiali się, że w niedzielę pójdą nad Wisłę — natykać się wiatru, napatrzeć na rzekę, pogadać o tym i o owym. A tu masz — niedziela i od rana leje, jakby się wszystkie chmury oberwały. Szyba w oknie aż dźwięczy, tak w nią deszcz wali. Jędre jest wściekły: cieszył się na to spotkanie z Felkiem, na spacer, i nic

z tego. Cały tydzień człowiek jak wół robi przy prasie drukarskiej, sam niemal staje się jej częścią: położyć papier, przykręcić śrubę, odkręcić śrubę, wyjąć zadrukowany arkusz i znów położyć nowy, przykręcić śrubę, odkręcić... Godzina za godziną to samo, dzień za dniem. Tyle, że ta niedziela ma nadejść... Nadeszła — zapluskana deszczem.

— Jędrak!

— Co, dziadku?

— Czego stoisz przy oknie?

— Nic. Patrę.

— Żebyś się chociaż odezwał.

Jędrak niechętnie odwrócił się od okna. Dziadek leżał w łóżku — taka pogoda jak dziś niemal całkiem odbierała mu władzę w nogach. Jakże się ta choroba nazywa, która go od lat gnębi? Aha, reumatyzm. Prawda, że trzeba z dziadkiem porozmawiać, opowiedzieć mu coś, bo wcale niewesołe ma życie. I tak zresztą dobrze, że go trzymają jako dozorcę tu, w tym domu na Elektoralej, bo przecież jest już stary i wcale nie ma sił do pracy.

— Dziadziu, a może dziadziowi coś przeczytać?

Dziadek lubił, gdy Jędrak czytał; chłopiec miał miły głęboki głos i czytał bez afektacji, a jednocześnie tak, że każdy wiersz zapadał aż gdzieś w głąb serca. Honoratka nieraz nawet popłakała się, słuchając jego czytania, lecz Honoratce o tym było nietrudno, jak to dziewczętom, wiadomo.

11 — Przyjaciół na zawsze                    \_ - j c i \_

— A co masz, Jędraku? Poczytaj — poprosił dziadek.

Chłopiec przeszedł przez wąską, ciemną izdebkę i skierował się do kąta, gdzie wisiła jego kurtka. Z kieszeni wydobyl niewielką książkę, dosyć już zniszczoną — widocznie przez wiele rąk wiodła jej droga, zanim dotarła do Jędraka.

— Taki jeden z drukarni mi pożyczył — wyjaśnił i z pewną goryczą dodał. — Kupuje książki, ma na to.

— I ty będziesz miał, jak tylko towarzyszem zostaniesz, a nie chłopcem do pomocy. Wyzwolą cię chyba niezadługo — pocieszał dziadek.

Właśnie nadeszła Honoratka z wiadrzem wody przyniesionym z pobliskiej studni. Zarumieniona, mokra, zrzuciła prędko chustę z ramion i wierzchem dłoni ocierała krople deszczu wiszące u rżęs.

„Właściwie to ja mogłem przynieść”... — pomyślał Jędrak. Od rana był z siebie niezadowolony, zresztą nie tylko z siebie — ze wszystkiego.

Trzymał teraz książkę w rękę, jakby się jeszcze namyślał: otworzyć ją czy nie.

— Niemcewicz przyniosłeś? „Śpiewy historyczne”? — ucieszył się dziadek, bo raz już kiedyś wnuk mu czytał te „Śpiewy” i niezmiernie się staremu podobały. Obserwował Jędrka z wielkim wyrozumieniem dla jego humorów, ale też i ze szczyptą ironii, że ich ukryć nie potrafi.

— No dalejże, Jędrzek, czytaj! — wykrzyknęła Honoratka, krzątając się przy kuchni. — Zaraz różnie robotę pójdzie i śniadanie szybciej będzie gotowe.

— To Mickiewicz — powiedział Jędrzek i odczytał wszystko, co było napisane na okładce:

— „Poezje Adama Mickiewicza, tom drugi, Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego, 1823”.

Dziadek uniósł brwi wysoko, ale nie mu-

siał długo sobie przypominać:

— Mickiewicz, Mickiewicz... przecież to poeta już w kraju sławny.

— Felek mówi, że jest bardzo sławny — uzupełnił Jędrzek. —

Felek przecież wie.

Felek wiedział więcej od Jędrka, był starszy i czytał dużo. Felek miał już dziewiętnaście lat, a Jędrzek ledwie skończył szesnaście»

Otworzył książkę:

Coraz to ciemniej, wiatr północny chłodzi, Na dole tuman, a miesiąc wysoko, Pośród krążącej czarnych chmur powodzi We mgłę niecałe pokazał oko; I świat był na kształt gmachu sklepionego, A niebo na kształt sklepu ruchomego, Księżyc jak okno, któreży dzień schodzi.

— Jej! — westchnęła Honoratka przestawiając garnki najciszej, jak tylko zdołała.

Jędrzek czytał dalej:

Wtem się coś z dala na polu ukaże, Jakowiś ludzie biega tu po błoniach, A gałąź cieniu za każdym się czerni, A biega prędko, muszą być na koniach; A świecą mocno, muszą być pancerni.

Dziadek przymknął oczy, zastłuchany; pod zamkniętymi powiekami widział wyraźnie cały obraz...

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa, Trzej to rycerze jadą wzdłuż parowa, Zjechali, stają, a pierwszy z rycerzy Krzyknie...

— Do pioruna, jest tam kto? Dowołać się nie można! — załomotał ktoś gwałtownie do drzwi.

Dziadek aż się zatrząsł na łóżku, takie to było niespodziewane. Honoratce z rąk wypadła blaszana łyżka i z brzękiem potoczyła się po podłodze.

— Co jest?! — wrzasnął Jędrzek, rzucając się do otwierania drzwi.

Taki był ten wiersz piękny, taki piękny, że czytając go i o desz-

-163-

siał długo sobie przypominać:

- Mickiewicz, Mickiewicz... przecież to poeta już w kraju sławny.
- Felek mówi, że jest bardzo sławny — uzupełnił Jędrrek. — B'eiek przecież wie.

Felek wiedział więcej od Jędrka, był starszy i czytał dużo. Felek miał już dziewiętnaście lat, a Jędrrek ledwie skończył szesnaście. Otworzył książkę:

Coraz to ciemniej, wiatr północny chłodzi, Na dole tuman, a miesiąc wysoko, Pośród krążącej czarnych chmur powodzi We mgłę niecałe pokazał oko; I świat był na kształt gmachu sklepionego, A niebo na kształt sklepu ruchomego, Księżyc jak okno, któreży dzień schodzi.

- Jej! — westchnęła Honoratka przestawiając garnki najciszej, jak tylko zdołała.

Jędrrek czytał dalej:

Wtem się coś z dala na polu ukaże, Jakowiś ludzie biega tu po błoniach, A gałąź cieniu za każdym się czerni, A biega prędko, muszą być na koniach; A świecą mocno, muszą być pancerni.

Dziadek przymknął oczy, zasłuchany; pod zamkniętymi powiekami widział wyraźnie cały obraz...

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa, Trzej to rycerze jadą wzdłuż parowa, Zjechali, stają, a pierwszy z rycerzy Krzyknie...

- Do pioruna, jest tam kto? Dowołać się nie można! — załomotał ktoś gwałtownie do drzwi.

Dziadek aż się zatrząsł na łóżku, takie to było niespodziewane. Honoratce z rąk wypadła blaszana łyżka i z brzękiem potoczyła się po podłodze.

- Co jest?! — wrzasnął Jędrrek, rzucając się do otwierania drzwi.

Taki był ten wiersz piękny, taki piękny, że czytając go i o desz-

-163-

«czu niedzielnym człowiek trochę zapominał, a tu przerwali, popsuli wszystko, zniszczyli księżyc wysoki, zagłuszyli tętent koni, na których jechali pancerni...

Jędrrek z miną taką, jakby się miał bić za chwilę, wreszcie drzwi otworzył: stał za nimi malutki, zgarbiony człowiek. Strząsając wodę z czapki, usiłował się tłumaczyć:

- Bo wołam i wołam z ulicy, żeby ktoś wyszedł, a tu nic. Żebyście chociaż oknem wyjrzeli. Dozorca taki! A niech was jasne pioruny!

Jędrrek nic z tego nie rozumiał, dziadek zorientował się szybciej:

— Pewnieście tego lokatora przywieźli na pierwsze piętro?

— A ja tam wiem, lokatora czy nie — niecierpliwił się coraz bardziej woźnica. — Przywożłem jakiegoś młodzika z kupą sakwojaży. Nic mi nie gadał: lokator czy kto. Siedzi pod budą i trzęsie się z chłodu, zły, że nikt nie przychodzi zabierać gratów.

— Jędrrek, skoczże wnosić — zarządził z miejsca dziadek. — Wiesz gdzie? Do tych pokoi na pierwszym piętrze, co to jeden z nich na zielono malowany. Wiesz?

Ach, świecący rycerze pancerni! Ze dwie godziny miną, nim znów będzie można do nich wrócić. Zanim się nowego lokatora urządzi, rzeczy mu zanieś, w piecu rozpali...

Jędrrek jeszcze tego lokatora nie zobaczył, a już wiedział, że go nie cierpi. A ujrzał... Jezu! Chude to, blade, po same uszy zawinięte szalikiem, a nieprzystępne przy tym! Od razu z góry, z pańska, niecierpliwie:

— Proszę przynieść klucze od moich apartamentów. I natychmiast proszę wnosić rzeczy, tylko ostrożnie...

Chłopak bez żadnej ostrożności chwycił dwa sakwojaże i chociaż "mu ciążyły mocno, szybkim krokiem pobiegł schodami na piętro, nie oglądając się na nowego lokatora. Jeszcze mu w uszach grało: „...A biega prędko, muszą być na koniach; A świecą mocno, muszą być pancerni...”

Człowiek ma psie szczęście, że w tej Warszawie mieszka. Gdyby tak w Wilnie... i chłopiec wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby dziadek miał dozorcstwo w domu, gdzie mieszkał Mickiewicz... Jej! temu rzeczy nosić choćby i całą niedzielę! Sił nie szkoda, tylko radość by z tego przyszła. Ciekawe, co krzyknął pierwszy z rycerzy? Och, jeszcze drewna trzeba przynieść, jeszcze palić w piecu... Żeby to najjaśniejsze pioruny!

Nawet nie słyszał za sobą cichych kroków nowego lokatora. Zresztą mimo że bez żadnych rzeczy, szedł on powoli, jakby z wysiłkiem. Na półpiętrze zatrzymał się i osłoniwszy dłonią usta, zaniósł się suchym, chrapliwym kaszlem.

-164-

— Apartament otwarty! — krzyknął arogancko Jędrrek od drzwi.

— Proszę... proszę w piecu zaraz napalić — zażądał młody człowiek między jednym atakiem kaszlu a drugim.

— Rzeczy najpierw wszystkie trzeba przynieść — wtrącił swoje chłopiec.

Gdy wrócił z ostatnimi rzeczami nowego lokatora, zastał go stojącego przy oknie. Nie zdjął wierzchniego okrycia, chociaż była zwilgocone, nie odwinął nawet z szyi ciepłego szala. Stał przy oknie długim aż do podłogi i patrzył na ulicę zadumany, z tak smutnymi wyrazem twarzy, jakby sobie coś bardzo rzewnego wspominał.

— Ulica dobra, ludna... — bąknął Jędrak, byle coś powiedzieć.

— Księżyc tu czasem w okna zagląda? — spytał nagle lokator,,, a Jędrak aż osłupiał ze zdumienia. Bo już przeróżnych lokatorów obsługiwał w tym domu, pomagając dziadkowi, ale jeszcze się taki nie zdarzył, który by wprowadzając się do mieszkania pytał o księżyc.

— Zagląda... jakżeby — odpowiedział i sam nie wiedząc, jak się to stało, zacytował nagle niedawno czytane słowa: — „Księżyc jak okno, któreży dzień schodzi...”

Lokator nerwowo odwrócił się twarzą do Jędraka. Zdawało się, że jakiś dreszcz nim wstrząsnął.

— Co powiedziałaś? — spytał ostro, marszcząc cienkie brwi. — Skąd to znasz! Dlaczego wierszem z „Grażyny” do mnie mówisz?

Było to tak niespodziewane, że Jędrak trochę się przestraszył.

— To... to Mickiewicza.

— Wiem, że Mickiewicza — nowy lokator odwrócił się znów plecami do chłopca, długą chwilę milczał, wreszcie sucho, tymi właśnie głosem nieprzystępnym, z pańska rzucił: — W piecu proszę napalić. Przemarzęm.

Na pewno dobrze przemarzę, bo znów zaczął kasłać i kasłał długo, nie mogąc się uspokoić.

Jędrak przyniósł dREW: wilgotne były i nie chciały się rozpalić, chuchał więc, dmuchał, a one dymiły jak nieszczęście. Lokator nie odzywał się przez cały czas; skulony przysiadł na fotelu. Zdawał się być bardziej zamyślony i chyba jeszcze smutniejszy.

„Niechby mu Honoratka dała gorącej herbaty — pomyślał Jędrak. — Pochoruje się jeszcze i będzie dopiero kłopot. Nawet nie wiadomo, skąd przyjechał i kto to taki. A dziwny jakiś...”

Drwa wreszcie przestały dymić, powoli zajmowały się żółtym płomieniem.

Na dworze było tak ciemno, że pokój zdawał się tonąć w pół-

-165-

mroku, chociaż ledwie było południe. Po zielonych ścianach przelatywał złotawy blask bijący od ognia.

— Teraz będzie się dobrze palić — powiedział Jędrak, odchodząc od pieca. — Ja tu jeszcze przyjdę dorzucić drzewa. Czy wielmożny pan...

Przerwał i spojrzał na nowego lokatora. Owinięty szczelnie płaszczem, omotany szalem, spał, odchyliwszy głowę do tyłu.

„Toż on młody zupełnie — stwierdził Jędrak — chyba mu niewiele więcej lat niż Felkowi”.

Stał chwilę, patrząc na śpiącego, potem cicho, najciszej, żeby go nie zbudzić, wyszedł z pokoju.

Nowy lokator spał dalej, gdy Jędrzek przyszedł zajrzeć do pieca a kiedy znów po kilku godzinach chłopiec zjawił się — bardziej już może z ciekawości niż z potrzeby — zastał drzwi zamknięte. Albo nowy lokator wyszedł, albo nie chciał nikogo do siebie wpuszczać.

Jędrzek wzruszył ramionami, lecz nie wiadomo dlaczego poczuł się zawiedziony.

I tak się jakoś stało, że już tego dnia nie można było czytać „Grażyny” Mickiewicza, bo po obiedzie przyszli do dziadka jego starzy przyjaciele, towarzysze z lat dawnych, z którymi pracował kiedyś w drukarni pana Michała Grolla w Marywilu. Wspominali więc, wspominali, wspominali... Honoratka cerowała coś przy świecy, Jędrzek siedział w cieniu na łóżku, nie odzywając się ni słowem. Tak się ta niedziela nie udała: przez deszcz, przez wspominki, przez nowego lokatora...

— Kto to jest właściwie? — spytał Jędrzek dziadka późnym wieczorem, gdy się wreszcie wszyscy rozeszli, a oni obaj byli już w łóżkach. — Kto to jest ten nowy lokator?

Dziadek wzruszył ramionami, ziewnął szeroko, bo mu się już spać chciało.

— Bo ja wiem? Właściciel domu musi go znać, skoro mu pokoje wynajął. Coś słyszałem, że aplikant w Komisji Skarbu.

Jędrzek też ziewnął i powieki mu opadły z senności.

„A jutro znów drukarnia — pomyślał. — Położyć papier, przykręcić śrubę, odkręcić śrubę, wyjąć zadrukowany arkusz...”

Potem się już wszystko w myślach pogmatwało. Deszcz dzwonił miarowo o szybę, rycerze pancerni, zagubieni w nocnych ciemnościach, wołali: „A księżyc, a księżyc tu czasem w okna zagląda?”

Po księgarni pana Michała Grolla „Pod Znakiem Poetów Polskich”, po jego drukarni śladu nawet nie zostało. Marywil od kilku lat zburzony, na jego miejscu założono fundamenty pod teatr. Ma

-166-

mroku, chociaż ledwie było południe. Po zielonych ścianach przelatywał złotawy blask bijący od ognia.

— Teraz będzie się dobrze palić — powiedział Jędrzek, odchodząc od pieca. — Ja tu jeszcze przyjdę dorzucić drzewa. Czy wielmożny pan...

Przerwał i spojrzał na nowego lokatora. Owinięty szczelnie płaszczem, omotany szalem, spał, odchyliwszy głowę do tyłu.

„Toż on młody zupełnie — stwierdził Jędrzek — chyba mu niewiele więcej lat niż Felkowi”.

Stał chwilę, patrząc na śpiącego, potem cicho, najciszej, żeby go nie zbudzić, wyszedł z pokoju.



Nowy lokator spał dalej, gdy Jędrzek przyszedł zajrzeć do pieca a kiedy znów po kilku godzinach chłopiec zjawił się — bardziej już może z ciekawości niż z potrzeby — zastał drzwi zamknięte. Albo nowy lokator wyszedł, albo nie chciał nikogo do siebie wpuszczać.

Jędrzek wzruszył ramionami, lecz nie wiadomo dlaczego poczuł się zawiedziony.

I tak się jakoś stało, że już tego dnia nie można było czytać „Grażyny” Mickiewicza, bo po obiedzie przyszli do dziadka jego starzy przyjaciele, towarzysze z lat dawnych, z którymi pracował kiedyś w drukarni pana Michała Grolla w Marywilu. Wspominali więc, wspominali, wspominali... Honoratka cerowała coś przy świecy, Jędrzek siedział w cieniu na łóżku, nie odzywając się ni słowem. Tak się ta niedziela nie udała: przez deszcz, przez wspominki, przez nowego lokatora...

— Kto to jest właściwie? — spytał Jędrzek dziadka późnym wieczorem, gdy się wreszcie wszyscy rozeszli, a oni obaj byli już w łóżkach. — Kto to jest ten nowy lokator?

Dziadek wzruszył ramionami, ziewnął szeroko, bo mu się już spać chciało.

— Bo ja wiem? Właściciel domu musi go znać, skoro mu pokoje wynajął. Coś słyszałem, że aplikant w Komisji Skarbu.

Jędrzek też ziewnął i powieki mu opadły z senności.

„A jutro znów drukarnia — pomyślał. — Położyć papier, przykręcić śrubę, odkręcić śrubę, wyjąć zadrukowany arkusz...”

Potem się już wszystko w myślach pogmatwało. Deszcz dzwonił miarowo o szybę, rycerze pancerni, zagubieni w nocnych ciemnościach, wołali: „A księżyc, a księżyc tu czasem w okna zagląda?”

Po księgarni pana Michała Grolla „Pod Znakiem Poetów Polskich”, po jego drukarni śladu nawet nie zostało. Marywil od kilku lat zburzony, na jego miejscu założono fundamenty pod teatr. Ma

166

i# Jr

I

to być gmach wspianiały — teatr, jakiego Warszawa nie miała: trzy tysiące widzów w nim zasiądzie. Jędrzek aż płonął cały, gdy się o tym teatrze wspominało, dziadek natomiast wzdychał. Nie tylko zresztą dziadek; majster, z którym Jędrzek pracował w drukarni — tak samo.

— Była drukarnia, była... piękne książki z niej wychodziły. Gdzie to się dzisiaj równać z tamtymi... ech!

Majster nawet niejednokrotnie przynosił wydawane przez Grolla książki: Trembecki, Krasicki... Potem zaś miał wielką pretensję, że się Jędrzek nie zachwycał ich treścią.

— Kiedy takie to jakieś suche — usiłował tłumaczyć się chłopiec. — Składne, gładkie, a... czy ja wiem? Serca się w nich nie czuje...

Sam zresztą nie bardzo wiedział, dlaczego mu się nie podobały wiersze księcia biskupa warmińskiego i dlaczego raz przeczytawszy, nie miał ochoty do nich powracać. O, Mickiewicz — zupełnie co innego! Jakże to on pięknie powiedział: Miej serce i patrzaj w serce. Właśnie!

Ale majstrowi trudno było o tym opowiadać, bo zżymał się i nie lubił niczego, co nowe. Zaraz zaczynał długą perorę:

— Bo za moich czasów wszystko było inaczej...

Perora była nie tylko długa, ale też i nudna, kończyła się zaś nieodmiennie:

— Za moich czasów, jak chłopak miał szesnaście lat, to się do wyzwolenia na towarzysza sztuki drukarskiej szykował. Tak!

Na to już Jędrrek nie miał nic do powiedzenia; czerwienił jak burak i z pasją zabierał się do czyszczenia prasy, głównie zresztą dlatego, by mieć głowę spuszczoną i nie patrzeć w twarz majstrowi. Bo to jednak wstyd, że jeszcze towarzyszem nie był. Wstyd nie tylko przed majstrem, ale przed dziadkiem, przed Felkiem.

— Przecież już się wiele nauczyłem, trzeci rok pracuję...

— Tyle umiesz, co koci ogon.

— Panie majstrze!

— Żebyś wiedział.

Jednego dnia Jędrrek nie wytrzymał, krzyknął bez opanowania.

— A rzeczywiście: takiej to wielkiej nauki trzeba do drukowania tych gazet! Żebyśmy tu chociaż książki robili... Gdzie tam! Gazety, gazety, gazety!

Taki już był czas, że się większość drukarni specjalizowała w wydawaniu prasy codziennej. Z książkami nigdy nie było wiadomo — wolno wydać czy nie. Cenzura trzymała je miesiącami, a bywało też i tak, że wydane już egzemplarze całym nakładem szły na zniszczenie zamiast do księgarni. Z gazetami co innego: skonfisko-

-267-

wano jeden czy dwa artykuły, można było na to miejsce wstawić jakieś inne. Dodatkowa to robota, ale szybko można ją wykonać i numer się ukaże. Właściciel drukarni wielkiej straty ostatecznie nie poniesie.

Więc właśnie: gazety, gazety, gazety.

Majster się zniecierpliwił:

— Nie wydziwiał, bo i tego dobrze wydrukować sam nie potrafił.

— O wa! Jakbym spróbował, może bym dał radę!

— Z ryciną do góry nogami... — sucho przypomniał majster smutny wypadek, który rzeczywiście zdarzył się przed paru miesiącami, gdy Jędrzek pod jego nieobecność sam usiłował przygotować formę do druku.

Jędrkowi nic innego nie pozostało, jak zabrać się do czyszczenia prasy, chociaż właściwie nie trzeba już było robić koła niej.

Takie to bywały rozmówki, takie sprawy. Przystawały zaprzętać głowę raz na tydzień — w niedzielę, a już w poniedziałkowy rano powracały na nowo uparcie i trudno było się od nich opędzić. Towarzysz sztuki drukarskiej... to nawet pięknie brzmi! Wcale nie gorzej niż na przykład... aplikant Komisji Skarbu. Może nawet lepiej i jakoś dostojniej.

Trzymając ręce w kieszeniach, z podniesionym kołnierzem kurtki, bo po deszczu zrobiło się chłodno, szedł Jędrzek w poniedziałkowy rano do drukarni szarą, warszawską ulicą. Na drzewach smutno wisały ostatnie żółte liście, ledwie trzymając się gałęzi; śpieszący do pracy ludzie też wydawali się jacyś szarzy i smutni. Jeżeli szli grupą, rozmawiali przyciszonymi głosami, rozglądając się dokoła niespokojnie. Nikogo zresztą takie zachowanie nie dziwiło: wielki książę Konstanty, brat carski, puścił na miasta, tyle tajnej policji, że już nie wiadomo było, z kim się ma do czynienia — z uczciwym człowiekiem czy z donosicielem. Trzeba było uważać na każdym kroku.

W bramie drukarni Jędrzek natknął się na Felka. Wysoki, lekko zgarbiony, stał oparty o mur spuściwszy głowę.

— Felek!

— A ja właśnie na ciebie czekałem.

— Że też wczoraj tak łało!

Felek wzruszył ramionami, co miało oznaczać: „Trudno, nic na to nie mogłem poradzić”. Jędrzek złapał go za rękaw.

— Czytałeś „Grażynę” Mickiewicza?

-168-

4Ś ^H ^\* 1 M T JŚm»

— Czekał, bo coś ci mam powiedzieć.

— Gadaj!

— Nie chcę, żeby wszyscy słyszeli.

Dużo ludzi mijało ich, spiesząc do pracy, więc odeszli trochę na bok i zatrzymali się przy pobliskiej wystawie sklepu zegarmistrzowskiego.

— Mamy jeszcze pięć minut do zaczęcia roboty.

— Tylko trzy. Chodź prędko.

Felek chwycił Jędrka za ramię i zaczął mu coś szybko opowiadać. Jędrak, rozumiejąc z tego tylko piąte przez dziesiąte, wciąż rzucał pytania:

— Przywiozą? Tu? Do nas?

Felek kiwał głową potakująco i mówił dalej:

— Ale nie gadaj nic nikomu, bo ja się przypadkiem dowiedziałem. Dyrektor rozmawiał o tym z jakimś drugim i nie zauważyli,, że drzwi były otwarte. Ale może to wszystko nieprawda, więc lepiej nie gadaj, bo jeszcze by się ze mnie potem śmiali.

— Nie powiem ani słowa! — zaklął się Jędrak. — Felek, myślisz, że my...

•— Gońmy co sił, bo się spóźnimy!

Obaj chłopcy pędem pobiegli do drukarni. Jędrak nie umiał ukryć podniecenia. Majster był przy maszynie. Pochmurnie spojrzął na chłopca.

— N00, byłbyś się spóźnił. Za moich czasów... Jędrak dodał wesoło:

— Wiem, wiem! Chłopiec, który miał szesnaście lat... — i nagle urwał.

Po chwili zapytał z pewnym trudem:

— Panie majster, panie majster... a ile mi jeszcze trzeba czasu,, żebym mógł zostać towarzyszem sztuki drukarskiej?

— Tyle umiesz, co koci ogon. Jeszcze dużo wody upłynie...

— Douczę się wszystkiego, byle szybko.

— A cóż ci się tak nagle śpieszy?

— Bo tak. Bo Felek mówił, że... — Jędrak w sam czas ugryzł się w język, by nie zdradzić tajemnicy przyjaciela.

— Co mówił Felek?

— To samo, co pan majster: że wstyd, że już powinienem być wyzwolony — zełgał Jędrak na poczekaniu.

— Felek ma więcej oleju w głowie niż ty.

— O tak! — żarliwie przyznał chłopak.

Majster stał pochylony, rozrabiając farbę na druk. Uczernionymi palcami podrapał się lekko w głowę.

— Tak na łapu-capu to nie można — zdecydował po chwili. — •

-169-

Drukarska robota nie zabawa. Choć i przy gazetach, ale to sztuka. Nie byle jaka sztuka!

— Nie byle jaka... — powtórzył jak echo Jędrek, co majstra wyraźnie zniecierplwiło.

— Patrzcie, jaki to dziś układny! Od roku ci wbijam to w mózgownicę, a tyś dopiero dziś pojął, w czym rzecz. Zmalowałeś coś pewnie w domu? No, przyznaj się!

-- Ale gdzie, panie majster, jak dziadka szanuję!

— Żebyś go chociaż szanował... To był dopiero drukarz! Pan Groll nie darmo nam dwom najpiękniejsze dzieła do roboty dawał. Żebyś ty chociaż tego dziadkowego dziedzictwa drukarskiego nie zmarnował, imienia drukarskiego nie zaprzepaścił...

— Ojej! Toż przecież mówiłem, że chcę towarzyszem zostać najszybciej, jak się tylko da.

— Z gadania nic jeszcze nigdy nie wynikło.

— Chęci mam najlepsze! — przypomniał błagalnym głosem •chłopic.

Majster spojrzał na niego jakoś podejrzliwie; niepewny, co to wszystko ma znaczyć, kręcił głową, poprawiał sumiaste wąsy.

Jędrek już o nic nie prosił, o nic nie pytał. Zwijął się, jak umiał najlepiej, przy maszynie, nakładał farbę, przygotowywał wszystko, by skoro tylko skład arkusza przyniosą, majster mógł zaraz zacząć ■drukowanie.

Robiąc to, wciąż miał uczucie, jakby jakiś wielki wiatr ze świata wtargnął w drukarnianą halę przy wiewając sprawy nowe, nawet nie do wyobrażenia wspaniałe.

Nagle, niby niewinnie, zadał majstrowi pytanie:

— Panie majster! Prawda to, że w świecie są podobno takie drukarskie maszyny, co same przesuwiają formy z czcionkami i od razu farbę na nie nakładają, i...

Majster wzruszył ramionami.

— Też wymyślił! — aż się roześmiał. — Nic podobnego w życiu nie widziałem. Za moich czasów żadnej takiej nie było.

— Felek, a może to jednak nieprawda? Możeś się tylko przestyszał?

- Nie przesłyszałem się.
- Bo czy to możliwe? Mój majster mówi, że nie.
- Twój majster u Grolla robił na prasach drewnianych z żelazną śrubą i pewnie gadał wtedy, że prasa cała żelazna też niemożliwa do wymyślenia.
- No, bo...
- A teraz robi się już na prasie żelaznej.

-270-

- Wiem.
- Właśnie. Więc ta nowa mechaniczna prasa, ta maszyna, też możliwa.
- No, może. Ja tylko pytałem...
- Wszystko ludzie mogą wymyślić. Jędrrek roześmiał się.
- Akurat tam: wszystko!
- A pewnie — nie ustępował Felek.
- Taka maszyna, przy której nie trzeba wciąż śruby odkręcać i przykręcać i wciąż farby nakładać, to chyba najwięcej, co można wynaleźć. Jak ci to szybko musi drukować!
- Podobno tysiąc sztuk arkuszy na godzinę.
- Rany boskie, Felek, nie gadałbyś! To już nie może być prawda.
- Tak mi jeden opowiadał, majster nie z naszej drukarni. W Londynie był i sam widział. Tam już gazetę na takiej maszynie robią. W jedną noc cały nakład gazety drukują.
- Co mówisz, Felek!
- A ty powiadasz, że nie wszystko można wymyślić...

I znów Jędrka ogarnął ten szeroki wiatr przywiewający nowe, nieznanne sprawy.

Żeby się chociaż otrzeć o nie, żeby chociaż zobaczyć taką maszynę, ręką dotknąć i... i żeby robić na niej! Jak to może w ogóle wyglądać? Wielkie czy małe? Chyba wielkie. I co się robi, żeby maszyna sama chodziła?

- Felek, wiesz, ja się już teraz tak do roboty przykładam...
- No, myślę!

- Majster mówi, że niedługo może mi da samemu drukować.
- Ale tam! — nie bardzo dowierzał Felek. Jędrrek poczuł się urażony
- Żebyś wiedział. Teraz już i farbę sam nakładam, dawniej majster nie pozwalał, tylko stałem przy śrubie. Teraz już i z farbą poradzę.
- Gdyby naprawdę tę maszynę sprowadzili, to nie dadzą do niej byle kogo — zamyslił się Felek.
- Wiem, że byle kogo nie dadzą... — z westchnieniem potwierdził Jędrrek.

Zrobiło mu się smutno, bo właściwie wciąż jeszcze był „byle kim” w drukarni, chłopcem do przykręcania śruby, do czyszczenia prasy, nie znającym się na innych drukarskich robotach. A przecież mógł je poznać przez te dwa lata, mógł, tak właśnie jak Felek, wszędzie nos wścibiać i pytać, jak się co robi. Felek wprawdzie dłużej pracował w drukarni, umiał już nie tylko obsłużyć prasę,

-171-

ale wyuczył się także składania tekstu i nieraz nawet zastępował składacza. Wyuczył się, chociaż wcale tego nie musiał, ot tak, po prostu z ciekawości, bo go interesowało wszystko dokoła: wszystko chciał umieć, wszystko chciał wiedzieć.

Z Jędrkiem było inaczej. Jędrrek spychał dzień po dniu, zrobił swoje i to mu wystarczało. Jeśli czegoś nie musiał koniecznie robić, to nie robił, bo i po co? Teraz zaś poczuł się nieszczęśliwy, jakby skrzywdzony przez kogoś, że tak to wszystko niedobrze wyszło i — kto wie — czy zdąży zostać towarzyszem sztuki drukarskiej, zanim nowa maszyna przyjdzie. A jeśli nawet i tak, to esy jego właśnie do niej przydzielą, skoro w drukarni znajdują się lepsi.

- A jak myślisz, Felek, który majster przy niej stanie? — za gadnął przyjaciela.
- Nooo — odrzekł powoli i z namysłem Felek. — Może twój, on chyba jak żaden inny zna się na dobrej robocie. U Grolla drukował...
- Razem z moim dziadkiem — z odcieniem dumy dorzucił Jędrrek.

-172-

v— Drugiego takiego w drukarni nie mają.

- A ty byś był pomocnikiem? Najniespodziewaniej Felek pokręcił głową.
- Ja jeszcze nie wiem — powiedział z wahaniem. — Składanie to, widzisz, ładna robota...
- Wolałbyś składać? Jej! Stać przy kaszcie i czcionkę po czcionce wyjmować?
- Ach! — roześmiał się nagle niskim głosem Felek. — Może i do składania wymyślą kiedyś maszyny. Ale to już wydało się Jędrkowi zupełnie nieprawdopodobne.

— Aha! — i podjął z humorem. — Siedzisz sobie, naciskasz guziczek jeden, drugi... a tu ci się same czcionki w słowa układają. A to by ci było!

— Może wymyślą... — powiedział Felek, podnosząc kołnierz kurtki, bo nieznośny chłód zaczął już dawać się im we znaki.

Bardzo chciał, żeby Felek się zgodził, zwłaszcza że nigdy jeszcze nie był u niego na Elektorальной.

— Będę przeszkadzał twojemu dziadkowi... — powiedział niezdecydowanie Felek.

— Nie. Do dziadka też czasem przychodzą znajomi.

— No to twojej siostrze.

— Owa! Co tam siostra!

W pojęciu Jędrka siostra w ogóle nie miała żadnego znaczenia i wcale nie należało się z nią liczyć.

— Przyjdiesz, posiedzisz — zachęcał. — A ja tylko wieczorem na chwilę skoczę w piecu rozpalić nowemu lokatorowi. Straszny zmarzluch z niego, wciąż każe sobie palić. A książek ma! Żebyś ty, Felek, widział, ile on ma książek!

— Pożycza ci? — zainteresował się Felek.

— Skąd! Ja bym go i poprosić nie śmiał — zdumiał się Jędrak, bo jakoś mu do głowy nawet nie przyszło, że mógłby się z tego rodzaju sprawą zwrócić do nowego lokatora. — No co, Felek, idziemy?

— Niech będzie, chodźmy.

Dziadek tego wieczoru czuł się nieco lepiej niż zwykle, nawet nie leżał, tylko ubrany siedział na łóżku. Honoratka była w domu, krzątała się koło kuchni, podśpiewując coś cienkim, cichym głosem.

— Dziadziu — zwrócił się do nich Jędrak. — To jest Felek, mój przyjaciel.

Dziadek, który rzeczywiście lubił gości, uścisnął serdecznie dłoń chłopca. Honoratka spojrzawszy na Felka, nie wiedzieć czemu spieszyła się; szybko wytarła mokre ręce o fartuch i wygładziła spódniczkę.

— Dobry wieczór! — powiedziała z miłym uśmiechem i odwróciła się do kuchni, na której właśnie coś gotowała.

— Siadaj, siadaj — zapraszał Jędrak przyjaciela. — Honoratka, dajże nam prędko herbaty, bośmy bardzo zmarzli — zwrócił się do siostry.

— Tylko woda się zagotuje.

— Dorzuć dREW do pieca.



Felek usiadł na krześle naprzeciw dziadka. Czuł się trochę skrępowany, bo i dziadek go obserwował, jak to zwykle, gdy ktoś nowy przyjdzie do domu, i Honoratka zerknęła na niego spod oka. Jędrak stał się nagle ożywiony, znacznie bardziej niż przed chwilą na ulicy: mówił głośno, ruszał się trochę hałaśliwie, a minę miał taką, jakby się chciał popisać przyjacielem.

— Jędrus — zaproponował po chwili dziadek — zanim Ho-

-174-

noratka zrobi herbatę, skocz na górę napalić w piecu. Lokatora nie ma teraz, gdzieś wyszedł. Klucze tu zostawił.

— Wiem, wiem, napalę, ale trochę później — usiłował odłożyć niemiłe zajęcie chłopiec. — Przecież Felek...

— My się panem zajmujemy — niespodziewanie wtrąciła Hono-ratka i zarumieniła się.

— Skocz no, Jędrus, skocz teraz — prosił staruszek.

— No to, Felek, ja tylko na chwilę...

Chwyć klucze z rąk dziadka i przeskakując po dwa schody, pobiegł na piętro.

W mieszkaniu nowego lokatora zapalił świecę i kierował się właśnie w stronę pieca, gdy uwagę jego zwróciło biurko, niemal całe dziś zarzucone książkami i papierami. Arkusze były zapisane drobnym, nerwowym pismem.

„Rachunki pewnie jakieś robi z tej Komisji Skarbu” — pomyślał Jędrak, zbliżając się do biurka.

Aż się zdumiał! Na samym wierzchu leżały dwa tomiki „Poezji” Mickiewicza. Jędrak wziął je w ręce i zaczął przerzucać kartki: „Ballady i romanse”, „Grażyna”, „Dziady”. Obok znajdowały się na biurku „Sonety”, niedawno wydany „Konrad Wallenrod” i jeszcze wiele innych książek, przeważnie w obcym, nie znanym Jędrkowi języku.

Oglądając to wszystko, chłopiec niezgrabnym ruchem strącił na podłogę jeden z zapisanych arkuszy papieru. Schylił się szybko, by go podnieść...

Dzisiaj i co dnia, z blaskiem miesiąca

Idę w las krętą drożyną, Wybieram kwiat ten z kwiatów tysiąca, Nad którym rosta brzoza płacząca,

Nad którym łzy moje płyną. Jak z obłąkanej ludzie się śmieją,

Nie znają ciężkiej mej straty; Ja zbieram kwiaty — kwiaty wędnieją,

Ja znowu idę po kwiaty.

„O, jakie ładne! — rozmarzył się Jędrak. — Przepisał sobie pewnie z jakiejś książki, ale z której?”

Od razu poznał, że jest to jedynie urywek wiersza, zdziwił się tylko, że tekst nie jest przepisany czysto: pokreślony, czasem jedno słowo przekreślone i zastąpione innym.

Jędrzek wzruszył ramionami: „Gdybym przepisywał, tobym się już tak nie mylił, ale temu pewnie rachunki tylko w głowie, nie wiersze...”

-175-

Nagle coś zaskrzyphiało na schodach i chłopiec pełen strachu, że to może lokator powraca, rzucił się w stronę pieca. Strach był niepotrzebny, ktoś inny musiał iść schodami, ale Jędrzek już nie odrywał się od roboty, chociaż bardzo go korciło, by jeszcze zbliżyć się do biurka.

Wreszcie rozpałił w piecu i wrócił do mieszkania, gdzie zastał Felka gwarzącego przyjaźnie z dziadkiem i Honoratką, która właśnie serdecznie się śmiała, czymś ubawiona. Felek też minę miał wesołą, nawet dziadek się ożywił i widać było, że towarzystwo młodych sprawia mu wyraźną przyjemność.

Jędrkowi przez chwilę zrobiło się markotno, że tak tu mogą pogodnie rozmawiać mimo jego nieobecności.

— Żebyście wiedzieli — zaczął od progu — żebyście wiedzieli, jakie ładne wiersze czytałem na górze! Nie wiem tylko, skąd je ten lokator sobie przepisał.

— Może sam pisze? — zażartował Felek. Honoratką aż odchyliła w tył głowę, tak się śmiała.

— A może naprawdę on sam?

— A to dobre! — odezwał się Jędrzek, któremu wracał już humor. — Gdzieżby tam on wiersze pisał. Aplikant z Komisji Skarbu? Dobry kawał! Dawaj prędko herbatę, Honoratko!

Aż jednego dnia wiadomość gruchnęła po całej drukarni... Już wszyscy o tym gadali, głośno, bez żadnych tajemnic:

— Trzeba miejsce w hali robić dla nowej prasy mechanicznej.

— Nie prasa to już podobno, ale cała machina!

— Dziś, jutro mają ją przywieźć.

— Powiadają, że składa się z bardzo wielu części, które dopiero "tu na miejscu trzeba będzie montować.

— Ale jak? Kto ma o tym pojęcie?

W drukarni huczało jak w ulu; niektórzy jeszcze nie dowierzali.

— Maszyna, maszyna... nie wiadomo, po co te nowe mody. Albo to nasze prasy niedobre?

Majstrowie patrzyli na siebie spod oka; narzekali na te nowości, na wymysły, ale w głębi serca niepokoila ich myśl, którego z nich wyznaczą do nowej maszyny. Każdy był zdania, że jemu właśnie się to należy. Jedynie stary majster Jędrka nic sobie z tego wszystkiego nie robił.

— Mnie tam moja prasa najbliższa, już się do niej przyzwyczailem.

— Ale tamta będzie lepsza! — wtrącił Jędrak, któremu tego dnia z emocji wszystko z rąk leciało. Co dzień marzył o tym, że to

-176-

"W

■ ■ ■ \*#"

jego majster dostanie nową maszynę; wtedy przecież będzie musiał go wziąć na swego pomocnika, chociaż nie jest jeszcze towarzyszem. Na pewno innego by nie wziął. Majster jaki jest, taki jest, ale to przecież dobry człowiek, no i... przyjaciel dziadka z dawnych lat gróllowskich — jeżeli nie dla Jędrka, to dla dziadka wszystko zrobi po przyjaźni.

Tymczasem majster poklepał dłonią swoją prasę; spojrzął na nią życzliwie niby na bliskiego człowieka i zapewnił:

— Nie dam cię, nie dam w obce ręce. Nic się nie martw.

„To dopiero dziwak! — pomyślał Jędrak. — Do prasy gada!" A głośno powiedział:

— Jeszcze ktoś usłyszy i śmiać się będą w drukarni, że tak do żelaza gadacie.

— Niech się śmieją na zdrowie — pogodnie zgodził się stary. — Dobra jest prasa, nie godzi się jej tak rzucać dla jakiejś nowej.

Jędrkowi zabawne wydały się te słowa, ale poczuł się nimi mocno zaniepokojony. Gdyby już był towarzyszem sztuki drukarskiej, może ośmieliłby się pójść do dyrekcji prosić... a tak?

Bezmyślnie wykonywał swoją robotę, aż go majster musiał zburzyć:

— Co robisz? Po co tyle farby?

Za dużo jej rzeczywiście dał, aż się rozpaćkała na prasie, ale jakże tu spokojnie pracować, kiedy w sąsiedniej hali przesuwano prasy i kaszty, robiąc wolne miejsce na środku. Słyszał też głos Felka, który uwijał się za trzech. Jędrak chciał pójść pomagać, ale majster nie powiedział ani słowa. Przeciwnie, zobaczywszy raz i drugi jak Jędrak w tamtą stronę spoziera, rzekł sucho:

— Pilnuj swojej roboty zamiast się na cudzą oglądać...

W tejże właśnie chwili przed bramą dały się słyszeć jakieś okrzyki, turkot wozów; na korytarzu drukarni zaczęła się bieganina. Ktoś wołał:

— Przerwać pracę! Wszyscy do wyładowywania, do noszenia! Już nie oglądając się na majstra, Jędrak jak nieprzytomny wybiegł na podwórze, a stąd na ulicę.

Trzy wozy. Na wozach coś, co trudno rozpoznać, opakowane w papiery, w szmaty, w skrzynie... Jakieś koła większe, mniejsze, jakieś wałki...

— Jest, jest! Przywieźli!

Dyrektor czerwony, zziązany, biegał wokół wozów powtarzając:

— Pierwsza w Polsce taka maszyna, jedyna w Polsce!

Tłum gapiów zebrał się przy wozach, jak to zwykle bywa. Każdy się dopytywał:

12 — Przyjacieli na zawsze

-177 -

— Co to?

— Do czego? Po co?

W pewnej chwili Jędrak zobaczył jakiegoś zupełnie obcego człowieka, do którego wciąż zwracał się dyrektor. Rozmawiali po niemiecku.

— Jędrak! Rusz się, czego stoisz jak malowany! — huknął na chłopca Felek.

Sam już był przy wozie; odchyłał szmaty, zdejmował jakiś ciężki podłużny ładunek. Jędrak skoczył mu pomagać — inni też zabrali się do wyładowywania.

Ktoś odważył się spytać dyrektora:

— I jakże się to będzie składać te wszystkie części, skoro ich aż tyle?

— O to już się nie martwcie! Z fabryki, która takie maszyny wyrabia, przyjechał mechanik. On wszystko pokaże.

Spojrzenia skierowały się na owego obcego, który stał teraz z boku, kurząc krótką fajeczkę i od czasu do czasu rzucając parę słów dyrektorowi drukarni. Ten kiwał głową i zacierał ręce, widać było, że ogromnie rad jest z nowego nabytku.

— Mało, że pierwsza w Polsce; jedna z pierwszych w całej Europie! — powtarzał z nie ukrywaną dumą.

Drukarze dumy nie czuli — raczej ciekawość, raczej nieufność. Niemniej ciekawość musiała być silna, skoro Jędrak, dźwigając do spółki z Felkiem już trzeci wałek, zauważył swego majstra, który przez okno obserwował ruch na ulicy i podwórzu.

Każdą z przeniesionych części składano w hali pod ścianą, a następnie zabierano się do ich rozwijania. Ależ było tam tego! Śrubki, śrubeczki, jakieś koła zębate i gładkie, walce grubsze i cieńsze, duża masywna podstawa, znacznie większa niż przy prasach...

Mechanik wszedł do budynku drukarni, przedtem jednak zgasił fajeczkę. W hali obserwował raczej ludzi niż rozpakowywane części maszyny. Jego obecność krępowała wszystkich, toteż początkowo nikt się słowem nie odzywał w czasie pracy, chociaż każdego korciło, aby dzielić się nawzajem uwagami.

Wreszcie dyrektor zabrał go do siebie, wpieryw jednemu z chłopców każąc przynieść piwa i coś do zjedzenia. Gdy tylko wyszli z sali, wszystkim rozwiązały się języki.

— Słuchajcie, czy to ten, który maszynę wynalazł?

— Ale gdzie! To tylko mechanik z fabryki.

— Patrzcie, moi ludzie, co to za granicą mają...

— My od dziś też mamy!

— Czy aby potrafimy złożyć?

— Ja bym może potrafił... — zamyślił się Felek.

-178-

— Potrafiłbyś — zadrwił ktoś — tylko czy po twoim złożeniu maszyna by poszła?

Wszystkie części leżały już przygotowane do składania, a ludzie medytowali nad nimi. Jędrak przyklęknął i ostrożnie dotykał palcami chłodnego metalu. Każda część była nowa, lśniąca...

— Jędrak, Jędrak! — krzyknął majster z sąsiedniej hali. — Skończyłeś robotę, to chodź do prasy. Nie będę cały dzień kręcił śrubą za ciebie.

Trudno, poszedł do swojej prasy, która wydawała mu się teraz mała, straszliwie uboga. Wyobraził sobie nagle, jak by to wyglądała drukarnia, gdyby w niej stały tylko nowe maszyny. Jak ze świata bajki! I jeszcze gdyby każda była w ruchu... To tempo: tysiąc sto arkuszy na godzinę! Nawet wyobrazić sobie trudno.

Gdy wreszcie maszynę zmontowano i wydawało się, że wszystko jest dobrze, mechanik podszedł, pokręcił korbą — kilka wałków obróciło się, a jeden ani drgnął.

— Papier!

Arkusz papieru wpuszczony między wałki został zgnieciony i przedarty.

— Aha — powiedział któryś z majstrów — mówiłem. Po co te nowe wynalazki? Lepiej robić na starych prasach...

Mechanik przybliżył się do maszyny, oglądał ją uważnie; usiłował ukryć, że też był zdenerwowany. Nagle twarz mu się rozjaśniła: machnął ręką w powietrzu, a potem wskazał, co i gdzie należy poprawić.

— Papier!

Wziął arkusz z rąk Jędrka, znów go wsunął w maszynę i kazał obracać wielkim kołem.

Poszła w ruch... Zaopatrywana wciąż w nowe arkusze papieru, sama przesuwiała formę drukującą tam i z powrotem, sama nakładała farbę, stykała papier z formą, zadrukowywała go — i tak jeden arkusz po drugim...

Zbędne stało się powolne i uciążliwe ręczne nakładanie farby, ciągłe przykręcanie i odkręcanie śruby — tu wystarczyło tylko obracanie koła. Jedną ręką można było to robić, a gdy koło nabrało rozpędu, wystarczył zupełnie niewielki wysiłek, by je utrzymać w ruchu. Cóż za robota — lekka i prosta! A przy tym jakże szybka!

— Tysiąc sto arkuszy na godzinę! — powiedział zachwyconym głosem dyrektor drukarni.

W hali zebrał się tłum drukarzy; każdy nawet bez pytania przerywał robotę, żeby tylko zobaczyć z bliska cudowną, niemal czarodziejską maszynę.

Szła równo, wydając głos niepodobny do żadnego słyszanego do-

-179-

tychczas w drukarni. Zdawało się, że na tle głuchych, jednostajnych odgłosów starych pras jej dźwięk brzmi jak huczna, triumfalna melodia.

Ciemno już było, kiedy chłopcy opuścili drukarnię. Wracali do domu milcząc, od czasu do czasu popatrywali na siebie, zmęczeni i wciąż jeszcze ogromnie podnieceni.

Nagle Felek zatrzymał się: w mieście działo się coś niezwykłego! Jakby cała młodzież wyległa na ulicę; środkiem maszerowali pośpiesznie podchorążowie w mundurach i pełnym uzbrojeniu. Zd nimi i obok nich biegł tłum młodzieży cywilnej. Ktoś krzyknął:

— Do broni! Do broni, Polacy!

— Rany boskie, co się dzieje? — wyszeptał Jędrak. — Aż zimne się człowiekowi robi...

— Zaraz się zrobi gorąco! — krzyknął mu prosto w ucho jaki: przechodzący wyrostek.

Felek z całej siły chwycił przyjaciela za ramię.

— W Warszawie powstanie! — powiedział jasnym, metalicznym  
brzmącym głosem.

Trzaskały pośpiesznie zamykane w domach okiennice, niektórzy  
przechodnie kryli się w bramach.

Chłopcy bez słowa zawrócili i dołączyli się do tłumu młodzieży idącego za podchorążakami. Potężny  
odgłos rozlicznych kroków nappełnił ulice; całe miasto już było zaalarmowane. Gdzieś dalek ciemniejące  
niebo zostało rozświetlone łuną pożaru.

Był wieczór, 29 listopada 1830 roku...

Koniec z carską cenzurą, koniec z podsłuchującymi donosicielami wielki książę Konstanty potajemnie  
uciekł z Warszawy. Miasto nie było już przygaszone i smutne, stało się gwarne, żywe, radość

Dziadek co dnia wypytywał Jędrka:

— No i co, no i co tam nowego?

Po jego starej, pełnej zmarszczek twarzy spłynęły dwie łzy, których nie mógł powstrzymać, gdy mu Jędrak  
przyniósł ulotkę:

•

Bracia! Walczmy dla wolności myślenia i ujawiania myśli naszych, walczmy dla zachowania moralnego  
charakteru naszego, który nie spoć i zdemoralizować w nas chciano...

Rozlepione już po całym mieście ulotki zostały wydrukowane przez jedną noc.

-180-

— ...na naszej maszynie, na naszej! — obwieszczał z dumą Jędrak. Nie miał potrzeby ukrywać tego; cała  
drukarnia zresztą o tym wiedziała i każdy, jak mógł, starał się choćby w najmniejszym stopniu przyczynić  
do szybkiego ukazania się ulotki.

Prócz ulotek Warszawa dostała parę wierszy. Krążyły one w odpisach z rąk do rąk, powtarzane były przez  
setki, tysiące wzruszonych ludzi.

Witaj, wolności Aniele,

Nad martwym wzniesiony światem!

Oto w Ojczyzny kościele

Ołtarze wieńczone kwiatem

I wonne płoną kadzidła!

Patrz! tu świat nowy — nowe w ludziach życie.

Wiersze te zawędrowały i do drukarni — Felek pierwszy je przyniósł, przepisane na wymiętym papierze, zaraz jednak znaleźli się tacy, którzy zrobili po parę nowych odpisów.

Jędrzek cały wieczór siedział przy świecy i najstaranniej, jak umiał, także przepisywał słowo po słowie. Dziadek tego wieczoru niesyty był słuchania.

r- Jeszcze raz przeczytaj, Jędrusiu, jeszcze raz! — prosił bez końca

A chłopcu głos się łamał przy czytaniu, tak nim te wiersze wstrząsały.

— Żeby wiedzieć, rany boskie, żeby wiedzieć, kto to napisał! — powtarzał jak nieprzytomny i wyobrażał sobie, że musi to być

-181-

/

ktoś wstawiony w powstaniu bohaterskimi czynami, ktoś wspaniały, wielkiego charakteru i pięknej postawy.

Nam we własnych ufać siłach, Będziem żyć we własnej ziemi I we własnych spać mogiłach.

Do broni, bracia! do broni!

Oto ludu zmartwychwstanie...

Warszawy czytało wiersze, nie znając ich autora. Ludzie na-

znów ulali własnym siłom, naprawdę czuli w sobie nowe

ono w owe dni grudniowe blasku i urody. Jędrzek

do drukarni krokiem sprężystym, nie zważając

II ] III .....0 ШОІОП СШІ8С]

i chodził do drukarni krokiem sprężystym, mł ШШЩІ

mróz; zdawało mu się, że nad Warszawa wciąż Świeci

. 'W drukarni rzucał się do nowych tekstów przynoszących nowiny, cło artykułów budzących zapal i więtx-e>

r- z pierwszego piętra, cło którego Jędrzek Już się Grego coraz rzadziej nazywał „nowym", odmienił



ania. Teraz nie tak często jak dawniej zastawał o przy oknie. Kaszał wprawdzie jak dawniej stał się ożywiony, nawet rozmowny.

że pewnego dnia przyniósł mU

swę wiersze: „Hymn" i „Ode

mu zdziwieniu chłopca młody lokator

tylko spojrzawszy na tytuły uśmiechnął

den ma te wiersze — wyjaśnił na pamięć. Każde słowo!

аи-дс так дуио /urfzz" w V^al-Sza

ktoś wślawiony w powstaniu bohaterskimi czynami, ktoś wspaniały, wielkiego charakteru i pięknej postawy.

Nam we własnych ufać siłach, Będziem żyć we własnej ziemi I we własnych spać mogiłach.

Do broni, bracia! do broni!

Oto ludu zmartwychwstanie...

Pół Warszawy czytało wiersze, nie znając ich autora. Ludzie naprawdę znów ufali własnym siłom, naprawdę czuli w sobie nowe życie. Nabrało ono w owe dni grudniowe blasku i urody. Jędrrek w te ranki chodził do drukarni krokiem sprężystym, nie zważając na śnieg i mróz; zdawało mu się, że nad Warszawą wciąż świeci słońce. W drukarni rzucał się do nowych tekstów przynoszących najświeższe nowiny, do artykułów budzących zapal i wiarę.

Nawet lokator z pierwszego piętra, do którego Jędrrek już się przyzwyczał i którego coraz rzadziej nazywał „nowym", odmienił się do niepoznania. Teraz nie tak często jak dawniej zastawał go chłopiec dumającego przy oknie. Kaszał wprawdzie jak dawniej i często się zaziębiał, lecz stał się ożywiony, nawet rozmowny.

Jędrrek już na tyle się ośmielił, że pewnego dnia przyniósł mU w odpisie obydwu obiegające Warszawę wiersze: „Hymn" i „Ode do wolności". Ku najwyższemu zdziwieniu chłopca młody lokator nawet ich nie przeczytał, tylko spojrzawszy na tytuły uśmiechnął się i spytał:

— Skąd to masz?

— O, u nas w drukarni niejeden ma te wiersze — wyjaśnił z dumą Jędrrek. — Ja znam je na pamięć. Każde słowo!

— A kto to napisał? — spytał znów lokator z niezrozumiałym rozbawieniem.

— Żebym mógł wiedzieć!

Lokator roześmiał się rzadkim u niego śmiechem: naturalnym i miłym. Podczas gdy Jędrrek palił w piecu, zaczął rozpytywać się, czy naprawdę tak dużo ludzi w Warszawie zna te dwa wiersze. Potem zamyślił się chwilę i jął pytać o drukarnię — czy dobrze odbija, czy szybko, czy przyjmuje też zamówienia na druki od prywatnych osób. Wydawał się tymi sprawami bardzo interesować, więc Jędrrek, zamiast dmuchać w piec, zaczął się szeroko rozwódzić, że drukarnia jego najlepsza chyba w mieście.

— Maszynę pośpieszną nawet mamy; w całej Polsce drugiej takiej się nie spotka, a i w Europie podobno mało która drukarnia ma takie cudo. A u nas jest! Teraz się dopiero pokaże, jakie mogą

-182-

być warszawskie druki, skoro już wszystko wolno drukować. A majstrów mamy! Mój to u Grolla robił...

— U Grolla? — zdumiał się lokator, a Jędrrek zdziwił się, skąd taki aplikant Komisji Skarbu może coś wiedzieć o Grollu.

Tymczasem aplikant Komisji Skarbu jak zwykle zasiadł w fotelu i przyglądał się długo zielonym ścianom pokoju, po których skakały nikłe odbłaski palącego się w piecu ognia.

— No to dobrze — powiedział, gdy Jędrrek skończywszy robotę zbliżył się do drzwi. — Bardzo ci dziękuję.

Chłopiec odrzekł „proszę bardzo”, ale nie miał pojęcia, za co mu lokator dziękuje, skoro przecież przyniesionych wierszy nawet nie przeczytał.

Zszedłszy na dół zastał w mieszkaniu Felka, który właśnie wybierał się po wodę z Honoratka, jakby ona sama nie potrafiła przynieść. Tyle lat nosiła i było dobrze, a tu teraz... Naprawdę, śmieszna historia! Jędrrek patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli za drzwiami, potem wzruszył ramionami.

— Felek do mnie przecież przychodzi, a Honoratka po wodę go ciągnie, i to już nie pierwszy raz — rzekł w końcu mocno niezadowolony.

Dziadek uśmiechał się, patrząc na minę wnuka.

— Do ciebie, jak do ciebie — rzekł po chwili. — Może nie tylko tak do ciebie on przychodzi...

— A do kogo? — wytrzeszczył oczy Jędrrek, nie pojmując, co dziadek ma na myśli.

Tego wieczoru bacznie przypatrywał się przyjacielowi i wreszcie wszystko mu się w głowie rozjaśniło.

Na drugi dzień rano zagadnął Felka w drukarni:

— Coś mi się wydaje, że ci się Honoratka spodobała? Felek nic nie odpowiedział, tylko się mocno zaczerwienił.

— No, przecież mnie mogłeś powiedzieć — z wyrzutem dodał Jędrrek.

Felek za całą odpowiedź westchnął trochę smutno i odszedł do swojej roboty.

„Czego on się martwi? — nie mógł zrozumieć Jędrrek. — Może Honoratka nierada go widzi? Niechby zresztą spróbowała! Felka? Już ja bym dziewczusze pokazał...”

Przez kilka następných dni pilnie obserwował przyjaciela, który wydawał się jakiś inny niż zwykle: bardziej zamyślony, małowówny...

„A może się taki dumny zrobił, że go wyznaczili na pomocnika do nowej maszyny?” — zastanawiał się Jędrrek. Martwiło go to, ale jednocześnie czuł się dotknięty. „Nie chce gadać, to nie!”

-183-

Aż któregoś dnia, gdy wychodzili razem z drukarni, Felek zapytał, czy może dziś wieczorem przyjść do Jędrka do domu.

— A... Honoratka będzie? — rzucił szybko pytanie, nie patrząc na przyjaciela.

— Będzie, będzie, a jakże! — zapewnił gorąco Jędrrek. — Przyjdź, Felek, koniecznie!

Szczerze się cieszył z zapowiedzianých odwiedzin; wiedział, że pogadają sobie, pośmieją się... Felek na pewno rozpogodzi się, rozrusza.

Toteż gdy wieczorem rozległo się znajome stukanie do drzwi, Jędrrek z wyraźną radością rzucił się otwierać, a Honoratka zwróciła się ku drzwiom uśmiechnięta, zaróżowiona... i nagle umilkła w pół słowa.

Bo w twarzy Felka nie było uśmiechu, a tylko jakieś wielkie skupienie i powaga, gdy nie witając się nawet z nikim, jeszcze niemal stojąc w progu, powiedział:

— Zgłosiłem się do wojska, Jędrrek. Na ochotnika.

Mówiąc to, patrzył nie na przyjaciela, lecz w rozszerzone niepokojem oczy Honoratki. Dopiero potem — serdecznie i ciepło zwrócił się do Jędrka:

— Mówiłem już w drukarni. Dyrektor kazał, żebyś ty na moje miejsce do tej nowej maszyny przyszedł.

— Nie jestem... nie jestem przecież towarzyszem sztuki drukarskiej, nie mogę — wykrztusił Jędrrek. — Nie potrafię...

— Potrafisz, potrafisz — łagodnie przekonywał Felek. Tylko, wiesz, z nią nie można na siłę; ostrożnie trzeba, delikatnie. Ona wszystko dobrze zrobi, zobaczysz... — potem zaś dodał nie na Jędrka już patrząc, tylko na Honoratkę: — Ja przecież wrócę niedługo.

— Niedługo... — powtórzyła jak'echo Hono-ratka.

Ochotnicy ciągle w bardzo znacznej liczbie zaciągają się do pułków... — tłukła maszyna wiadomość w gazecie.

W drukarni z każdym dniem coraz więcej ubywało ludzi, bo to nie tylko Felek wstąpił do wojska. Majstrowie musieli teraz obsługiwać po dwie prasy, więc Jędrak nie mógł nadążyć z robotą. Kiedy w końcu przydzielono go jako pomocnika do obsługi nowej maszyny — nie umiał sobie z nią poradzić. Nie pomogły rady i wskazówki Felka — maszyna zdawała się być chłopcu nieprzychylna: zacinąca się, zrywała papier, rozchlapywała farbę.

— Ja już nie wiem, co z nią robić — skarżył się z rozpaczą Jędrak swojemu majstrowi.

Ostatecznie więc tak się stało, że majster sam stanął przy nowej maszynie, Jędrkowi zaś zostawił do samodzielnej obsługi starą prasę.

— Tu sobie musisz dać radę, tu już wszystko powinieneś znać.

Jędrak nie cierpiał tych ulotek, które dostał do druku, ulotek zachwalających „wypiek strudel i pączków dwójakiego gatunku”. Bo i kogo dziś obchodzą jakieś strucle lub pączki? Ech, zresztą wszystko jedno!

Z pasją odkręcał i przykręcał śrubę, zakładał papier, uwijał się wokół prasy jak fryga.

W wyniku tych wszystkich starań pierwszy samodzielny druk Jędrka wyszedł wcale dobrze.

Gdzieś w połowie grudnia niespodziewanie wezwano chłopca razem z jednym ze składaczy do dyrektora.

— przeleciała niespokojna myśl przez

-1Ш!%и \*\*\*\*\* ^\*r^^^

mowy. Jędrak zapukał. EyrSo7^etyWiście nie był sam. Siedział przy stole twarzą ócony do Jędrka, z drugiej zaś strony stołu, plecami do chłop-lział mężczyzna drobnej budowy. Przed dyrektorem leżały arkusze zapisanego papieru.

wyjaśnił przybyłym dyrektor. — Złoży się je

„Zamykają drukarnię! — przeleciała niespokojna myśl przez głowę Jędrka. — Albo może za tamten papier popsuty na nowej maszynie płacić każą...”

Straszno było iść krętymi schodami na piętro. Wreszcie dotarł na górę, stanął przed drzwiami.

Ktoś był u dyrektora, bo aż na korytarz dochodził odgłos rozmowy. Jędrak zapukał.

— Proszę wejść.

Dyrektor rzeczywiście nie był sam. Siedział przy stole twarzą zwrócony do Jędrka, z drugiej zaś strony stołu, plecami do chłopca, siedział mężczyzna drobnej budowy. Przed dyrektorem leżały dwa arkusze zapisanego papieru.

— Poezje — wyjaśnił przybyłym dyrektor. — Złoży się je i weźmie na prasę. Pójdą w osobnej odbitce.

Zawsze mówił tak bezosobowo: „weźmie się”, „zrobi się”, i teraz także w podobny sposób zakończył rozpoczęte zlecenie:

— A zrobi się możliwie najlepiej, żeby klient był zadowolony.

— Tak jest — posłusznie przytaknął Jędrak, stojąc wciąż wraz ze składaczem przy samych drzwiach i nie śmiejąc podejść bliżej

• do stołu.

„Klient” nawet nie odwrócił się w jego stronę; siedział dalej, podpartszy głowę na dłoni.

Dyrektor podał tekst składaczowi.

— Ma się uważać, żeby błędów żadnych nie było.

— Tak jest — niby echo powtórzył składacz.

— Pan szanowny własnym kosztem swoje poezje drukuje? — już zupełnie innym tonem zwrócił się dyrektor do „klienta”, który skinął głową bez słowa.

Dyrektor wyciągnął dłoń po zeszyt, w którym notował wpłaty, wziął pióro do ręki, umaczał je, po czym zatrzymał chwilę nad papierem.

— Zaszczyt prawdziwy, że taki poeta utwory swoje nam daje do druku, tylko... przepraszam... jak nazwisko szanownego pana, bo nie dosłyszałem?

— Słowacki. Juliusz Słowacki.

Ten jego głos cichy, lekko schrypnięty od zaziębienia...

Jędrkowi nogi jakby wrosły w ziemię, nie mógł się ruszyć z miejsca. Bez jednego słowa wyszarpnął z rąk stojącego obok składacza dwa arkusze tekstu.

Wam się chylić przed obcymi, Nam we własnych ufać siłach, Będziem żyć we własnej ziemi...

- 186^

i

Chłopcu wydawało się, że śni, że dzieje się z nim coś nieprawdopodobnego.

Poeta podniósł się od stołu. Odwrócił się.

Jędrzek zapomniał się uklonić; stał i patrzył, patrzył, patrzył, jakby dopiero dziś pierwszy raz w życiu ujrzał swego „nowego” lokatora z pierwszego piętra.

Już po latach majster drukarski pan Andrzej lubił opowiadać siostrzeńcom:

— Tyle wiecie, co koci ogon, ale słuchajcie, bo się tym możecie chwalić przed wszystkimi, że wuj wasz znał samego Juliusza Słowackiego. Mało, że znałem, pierwsze jego wiersze warszawskie drukowałem... Rany boskie, jak się starałem, by druk dobrze wypadł! No i ładnie poszło. To właśnie po tej robocie zostałem towarzyszem sztuki drukarskiej. Prasa była stara, dziś na takich nikt nie drukuje. Wasz ojciec w tym czasie już na pośpiesznej maszynie umiał robić...

Ooo, przyszedł właśnie wasz tata. Chodź, Felek, ja tu akurat wspominał, jakem znał Słowackiego... Chodź, miło wspomnieć dawne czasy, chociaż i lekkie nie były. Tylko że mi w gardle zaschło od gadania. Co? Do żony idziesz prosić o herbatę? Już ją robi. A jak zrobisz, Honoratko, to przyjdź i ty do nas.

Więc pamiętajcie: ten rok 1830 to rok powstania, pierwszych drukowanych w Warszawie wierszy Słowackiego, rok pierwszej w kraju pośpiesznej maszyny drukarskiej...

tmk

#### UWAGA! JEDZIEMY!

, rzez otwartą bramę wjeżdżał właśnie ciężarowy samo-^ chód. Józek sprawdził, czy nad bramą znajduje się ten ~J sam numer, który miał zapisany na kaftce, i wszedł za samochodem na podwórze. Uważał, by nie zabrudzić smarem ubrania, bo miał na sobie świąteczne, dopiero niedawno kupione. . "Wyminąwszy wóz, skierował się do niewielkiego budynku na drugim końcu podwórka. Z prawej strony zauważył drzwi, a za nimi jakieś schody; naprzeciwko znajdowały się także drzwi z napisem: „Obcym wstęp wzbroniony” i „Offsety”. Dochodził stamtąd hałas trochę przypominający dudnienie pociągu. Józek stał chwilę medytując, co ma dalej robić; w końcu zdecydował, że pójdzie schodami na piętro.

Tu również znalazł drzwi, ale już bez groźnego napisu. Wychodził z nich właśnie jakiś starszy mężczyzna w spłóviałym granatowym kitlu, z ogromnym arkuszem papieru w ręku. Na papierze były kolorowe obrazki.

— Przepraszam — powiedział Józek— ja do kierownika.

— To tu — mruknął mężczyzna w spłóviałym kitlu, ruchem głowy wskazując pokój, z którego wyszedł.

W pokoju siedziała panienska w czerwonej bluzce.

— Przepraszam, ja do kierownika — powtórzył Józek.

— Kierowniku! — zawołała panienka. — Ktoś do pana. Proszę wejść — wskazała Józkowi ręką sąsiedni pokój.

W tym drugim pokoju znajdowało się trzech mężczyzn. Jeden, tęgi i rumiany, był w czarnym golfie; drugi — wysoki, zwracał uwagę ostrym nosem i wysuniętą w przód dolną szczęką, trzeci stał oparty o parapet okna: smagły, nie ogolony, był w takim samym wypłowiałym kitlu jak tamten, którego Józek przed chwilą minął w drzwiach. Jedną rękę miał w kieszeni fartucha, w drugiej trzymał dopalającego się papierosa. Józkowi wydał się raczej

- 188-

niesympatyczny, pewnie dlatego, że patrzył trochę spode łba i miał bardzo ciemne, głęboko osadzone oczy.

— Ja do kierownika.

— Proszę — powiedział ten rumiany w czarnym golfie. Wstał nawet z krzesła i podszedł parę kroków.

Józek wyjął z kieszeni wymięty list i podał go bez słowa. Kierownik przeczytał, kiwnął głową.

— Aha! Tak, tak! Mówił mi o was Stroiński. To wasz stryjek, tak?

— Nie, wujek. Brat mamy.

— Stryjek — wujek, wszystko jedno! — machnął ręką ten z wysuniętą szczęką. A ty skąd jesteś? Gdzieś ze wsi?

— Z Gliczarowej — powiedział Józek.

— Wszystko załatwione, w dykcji się zgodzili — przerwał kierownik. — A co wy umiecie? Stryjek mówił, żeście nigdy jeszcze nie pracowali w drukarni.

— Wujek — wtrącił Józek.

— Wujek — stryjek, na jedno wychodzi!

Mężczyzna z ręką w kieszeni kitla nie odzywał się; skończył papierosa i teraz gniótł niedopałek w popielnicze.

— No dobrze, dobrze. A kiedy zgłosicie się do roboty? — spytał kierownik.

— Mogę zaraz.

Kierownik podrapał się w głowę.

— Gdzie by go dać? Może do offsetów? Chcecie do offsetów? — zapytał Józka.

— Nie wiem.

— Co on może wiedzieć, kiedy pierwszy raz jest w drukarni — znów roześmiał się ten z wysuniętą szczęką. — Najlepiej dajmy go tymczasem do Pawła. Witkowski wczoraj poszedł na urlop, niech chłopiec tymczasem pomaga Pawłowi.

— Paweł, chcesz go? — zapytał kierownik, zwracając się do mężczyzny w kitlu, który wciąż trzymał rękę w kieszeni.

Tamten wzruszył ramionami.

— Może być — powiedział powoli, trochę chrapliwym głosem, wybijając wyraźnie każde słowo. — Pomocy to tam wiele z niego mieć nie będę, ale może być.

— O, świetnie! — ucieszył się wysoki, że już po kłopotcie. — To go sobie zabieraj. A my skończymy rozliczenie.

Józek stał przestępując z nogi na nogę, z oczami wbitymi w podłogę. Czuł się zdany na łaskę obcych mu sił, które mogą z nim zrobić wszystko, nie licząc się zupełnie z jego pragnieniami. Te „siły” znały już jego przyszłość, podczas gdy on sam nie umiałby jesz-

-189-

cze powiedzieć, czego właściwie tu chce — poza zarobieniem miesięcznie kilkuset złotych, za które sprawi sobie buty, koszule i inne tam jeszcze potrzebne rzeczy. Gdzieś w marzeniach jako sprawa upragniona, ale mało prawdopodobna tkwiło także kupienie zegarka na rękę, lecz o tym właściwie nie należało jeszcze myśleć. Człowiek z ręką w kieszeni kitla, pan Paweł, powiedział nagle:

— No dobrze, to ja go wezmę. Tylko zaznaczam: żebyście nie zrobili jak z tamtym, co teraz jest w offsetach. Bo jeżeli już chłopaka przyuczę, to żeby mi przy maszynie został na stałe.

— Zostanie, zostanie! — parsknął śmiechem wysoki. — Co się martwić teraz, jak on jeszcze nic nie umie.

— Ja tylko zaznaczam — powtórzył pan Paweł i dodał zwracając się do Józka: — No, chodźmy!

Po drodze, gdy szli wąskim, ciemnym korytarzem, spytał:

— Ty pewnie nie wiesz, co to rotograwiura?

— Nie, proszę pana — pokornie przyznał Józek. — Ja przecież pierwszy raz w drukarni.

— Nie szkodzi. Każdy musi być kiedyś pierwszy raz.

Weszli do dużej hali, w której stały dwie maszyny. Jedna była ogromna, niemal na całą szerokość sali, druga zaś, stojąca pod oknem, wyglądała przy tamtej niepokaznie.

U sufitu wisały arkusze papieru. Duża maszyna była w ruchu i Józek nie bardzo słyszał, co mówił do niego pan Paweł, ale wstydził się wciąż pytać: „co” czy „słucham”, więc tylko kiwał na wszystko potakująco głową. Przy dużej maszynie kręcił się młody, wysoki chłopak w kraciastej koszuli.



- Będziesz miał, Czesiu, kolegę! — zawołał do niego pan Paweł.
- Do naszej maszyny go przydzielili? — spytał Czesio z miłym uśmiechem.
- Nie, do mojej.
- Dobra!

Józek bardzo pożałował, że nie będzie przy dużej maszynie razem z Czesiem. Stał teraz przy tej mniejszej, która się w ogóle nie ruszała, i przyglądał się jej pełen ciekawości, jak też takie coś puszcza się w ruch i jak się manipuluje, żeby w końcu wyszła z tego książka.

Wyciągnął rękę, chcąc dotknąć walca, ale pan Paweł zaraz go powstrzymał:

- Nic nie ruszaj! Najpierw wszystko ci pokażę. A niechby teraz ktoś włączył maszynę, toby ci palec urwało.
- Palec? — przeraził się Józek.
- Eee, teraz ci nic nie zrobi, bo przecież stoi. Ale różnie bywa... Słuchaj — zaczął tłumaczyć wybijając po swojemu każdy

- 190-

wyraz — patrz: to jest maszyna rotograviurowa. Będziesz pamiętał, co? Rotograviurowa. Rozumiesz? Na niej się drukuje ilustracje...

- Wiem, proszę pana, ilustracje. Obrazki, znaczy.
- No właśnie. Rozmaicie można drukować ilustracje. Po drukarsku mówi się, że są różne techniki: typo, czyli druk wypukły, offset — druk płaski, no i rotograviura. Rotograviura to jest wklęsłodruk. Rozumiesz?

Mężczyzna wpatrzył się w Józka z taką przenikliwością, że chłopakowi nie przeszło jakoś przez wargi zdawkowe „tak, proszę pana”. Otwarcie powiedział:

- Nie rozumiem.
- Bardzo dobrze! — ucieszył się pan Paweł. — Przynajmniej prawdę gadasz i nie udajesz mądrzejszego, niż jesteś. Ja ci to wszystko wytłumaczę i sam zobaczysz. Ale jedno masz sobie zapamiętać: najszlachetniejsza ze wszystkich technik drukarskich jest rotograviura! I jakby ci tam z dołu offseciarze gadali, że nie rotograviura, tylko offset, to masz im nie wierzyć, bo to nieprawda!

Czesio, który właśnie do nich podszedł, roześmiał się wesoło.

- O, temu to żarty w głowie! — pokiwał palcem pan Paweł..

Przesunął coś w maszynie, powiedział głośno: „Uwaga!” i maszyna jakby ożyła: wszystko się w niej zaczęło ruszać, walce jęły się obracać. Józek stał wpatrzony z najwyższą uwagą i w głowie nie mogło mu się pomieścić, że umiałby obsługiwać tak bardzo skomplikowany mechanizm.

— Zatrzymaj ją, Czesiu — powiedział pan Paweł — ja tu zaraz: wrócę.

Wyszedł z hali, a Czesio jednym naciśnięciem guzika zatrzymał maszynę.

— Ty już wszystko umiesz? — z zazdrością odezwał się Józek.

— Trochę się tam umie — niby skromnie odrzekł Czesio — ale-wszystkiego to nie... skąd! Ja dopiero od roku robię w rotograwiurze.

— To prawda, że ona najważniejsza? — zdecydował się spytać Józek.

— Co?

— No, ta rotograwiura.

— A pewnie!

— Ale twoja maszyna chyba lepsza od tej, bo taka duża... Czesio wzruszył ramionami.

— Pewnie, że lepsza — kiwnął głową — ale po prawdzie to my na tamtej nie wyciągamy takich druków, jak twój stary na swojej-

— Jaki stary? — spytał Józek.

-191-

i już trzydzieści lat na niej zemu. Józek.

ma jedną rękę? ni trzyma. Czesio. -- W kieszeni ma pusty rękaw.

ia dwadzieścia lat temu. O, ta sama.,.

1 się Józek. — Ta maszyna? Ta mała? O, ta?

W

drukuje? i bym tak samo... — zaczął żarliwie Cze-

- powtórzył Józek w nagłym uniesieniu, zu-ak matka jego zawsze powtarzała, gdy się jej coś

- Jezus Maria! To ci człowiek dopiero! z wysoka na Józka i miękkim głosem, w którym , odparł krótko:  
\\Viadomo: drukarz!

ięcią miedzi. Jeszcze na nim nie by-ed chwilą założono go do maszyny. — powiedział Józek.

— Nooo... pan Paweł. Tylko że on już trzydzieści lat na niej robi. — Czesio westchnął nie wiedzieć czemu.

— Trzydzieści lat — powtórzył Józek.

— No i jedną ręką do tego...

— Jak to?

— A tak. Nie zauważyłeś, że ma jedną rękę?

— Drugą przecież w kieszeni trzyma.

— Głupiś! — zachnął się Czesio. — W kieszeni ma pusty rękaw. Drugą rękę urwała mu maszyna dwadzieścia lat temu. O, ta sama...

— Jezu! — przeraził się Józek. — Ta maszyna? Ta mała? O, ta?

— Aha!

— I on dalej na niej drukuje?

— A coś ty myślał? Ja bym tak samo... — zaczął żarliwie Czesio i urwał.

— Jezus Maria! — powtórzył Józek w nagłym uniesieniu, zupełnie tak samo jak matka jego zawsze powtarzała, gdy się jej coś dziwnego zdarzało. — Jezus Maria! To ci człowiek dopiero!

Czesio spojrzał z wysoka na Józka i miękkim głosem, w którym drgała tajona duma, odparł krótko:

— A jaki ma być? Wiadomo: drukarz!

Cylinder lśnił ciepłą złocistością miedzi. Jeszcze na nim nie było nawet śladu farby, bo przed chwilą założono go do maszyny.

— Nic nie widać na tym walcu — powiedział Józek.

Stał z boku i przyglądał się wszystkiemu. Bez pozwolenia nie wolno mu było niczego dotknąć, więc patrzył tylko i co chwila o coś pytał.

— Proszę pana, a czy ten walec to...

— Cylinder mówi się, nie walec — burknął pan Paweł pochylony nad lśniąca miedzią; wyjął z kieszeni małą lupę i przez nią badał powierzchnię.

— Cylinder... — poprawił się Józek. — Czy są już na nim wytrawione obrazy?

Tego się już nauczył, chociaż z początku zdawało mu się, że wszystko odbywa się jakimś czarodziejskim niemal sposobem. Ale raz Czesio, na polecenie pana Pawła, zaprowadził go do pracowni fotograficznej i wszystko pokazał: całe drukarskie rotograwiurkowe abecadło. Zaczynało się ono od zwyczajnych

fotografii, od jakichś widoczków dostarczonych przez wydawnictwo. W pracowni odfo-tografowywano je na specjalnych błonach. Potem w retuszerni cieniutkimi pędzelkami, retuszerzy poprawiali na każdej błonie mniej wyraźne kontury\* czasem domalowywali nawet chmurki na niebie, jeśli to był widoczek z chmurkami, które się nieco zamazały, rozjaśniali jedno, przyciemniali drugie. To wszystko można

-192-

jeszcze było. zrozumieć i kiedy Czesio prowadził swój wykład, nie bardzo zresztą składnie i wciąż wypytując: „No więc co? Rozumiesz? Jasne, nie?” — Józek mógł ostatecznie przyznać: „Rozumiem”.

Gorzej było jednak, gdy usłyszał takie słowa, jak „raster”, „papier pigmentowy” czy „trawienie”. Tego dnia tyle tylko zdołał pojąć, że za pomocą specjalnych urządzeń na ten właśnie papier pigmentowy kopiuje się najpierw raster, taką jakby siateczkę, potem zaś owe obrazki z błon, zwanych diapozytywami.

Reszty już raczej nauczył się tylko na pamięć, żeby nie robić przykrości Czesiowi: kopię nakłada się na pokryty warstwą miedzi cylinder i poddaje się trawieniu w kwasach. Miejsca ciemne na ilustracji zostają wytrawione głębiej, miejsca jasne — płycej. W wyniku tych zabiegów zostaje przeniesiony na powierzchnię cylindra cały obraz, składający się teraz z drobniuśkich kwadratowych wgłębień, w które potem na maszynie wchodzi farba...

— Skąd ty to wiesz? — spytał Józek.

— Jakoś samo przyszło — wzruszył ramionami Czesio. — Poczekaj trochę, dobrze patrz na wszystko, to i tobie przyjdzie.

Józek był jednak niecierpliwy, nie chciał czekać, aż „przyjdzie samo”. Zadręczał też każdego po kolei pytaniami, a już najwięcej pana Pawła. Ten zaś niezmiennie najpierw wpadał w gniew, potem dopiero tłumaczył cierpliwie i dokładnie. Wyglądało to mniej więcej tak:

— Bo właśnie! Tyle was w tych szkołach uczył! Kombajn, snopo-wiązałka, każdy wie i ho, ho! jaki mądry! Wrysować nawet potrafi. A jak się byle pędzak zna na samochodach albo na tych tam satelitach! Ale spytać go, co to linotyp albo maszyna rotograviurowa, gębę rozdziawi i ani be, ani me: już koniec z mądrością! Do książek wszyscy się pchają, obrazki ładne lubią, a jakże! Tylko jak się toto robi, żeby kto spytał... Ani mowy!

Po takim przemówieniu wypowiedzianym głosem ostrym i nieco chrapliwym pan Paweł milkł na chwilę, wciągając głęboko dech w płuca, potem zaś już zupełnie inaczej, łagodnie i spokojnie, zaczynał:

— Więc: rotograviurowa maszyna musi mieć kilka cylindrów; jeden przyciska papier, drugi drukuje... o, ten właśnie miedziany. Patrz, jak to jest. Uwaga, jedziemy!

Po tych słowach pan Paweł włączył maszynę.

— Proszę pana! — krzyknął raz Józek poprzez huk obracających się cylindrów. — A czy nasza maszyna jest najlepsza ze wszystkich?

Sam nie wiedział, dlaczego tak bardzo go to interesuje.

13 — Przyjaciół na zawsze

- 193-

%

— Najlepsza nie najlepsza, ale jest dobra — oschle powiedział pan Paweł, odwracając się plecami do Józka.

— Bo, proszę pana, w retuszerni mówili, że są takie, co mają więcej cylindrów i walców i lepiej farbę rozcierają, i że są jeszcze takie, co od razu kilka kolorów mogą drukować...

W retuszerni powiedzieli, że maszyna pana Pawła to stary gru-chot, tak właśnie, dosłownie: „stary gruchot”. Józek poczuł się osobiście dotknięty tym powiedzeniem; jakoś wstydził się rozmawiać na ten temat nawet z Czesiem. Teraz, kiedy maszyna szła i kiedy byli przy niej sami z panem Pawłem, odważył się wreszcie zapytać. Oczywiście nie o „gruchota”, tego słowa nigdy by przed nikim nie wykrztusił, ale tylko: czy maszyna jest dobra. Strasznie mu zależało na tym, żeby usłyszeć twierdzącą odpowiedź i żeby pan Paweł powiedział, że tamto o kilku kolorach to nieprawda, że retuszerzy tylko żarty sobie z Józka stroili.

— Więc jak?

— Nooo... — pan Paweł wpatrzył się w nóż do ścinania nadmiaru farby osiadającej na miedzianym cylindrze; nawet głowy nie odwrócił do Józka. — Są takie. — Nagle wyprostował się. — Ale wiesz, co ci powiem? Myślisz, że sama maszyna coś może? Guzik może! I ta z kilkoma kolorami spaskudzi robotę, jak przy niej nie stanie dobry fachowiec. A taka jak nasza, jednokolorowa, jeszcze wiele może pokazać... — tu pan Paweł dłonią, która była usmarowana zieloną farbą, lekko klepnął maszynę.

— Pewnie! — powiedział Józek, bo mu bardzo ten wywód trafił do przekonania. — Ja też tak myślę, zupełnie tak samo jak pan.

— To dobrze myślisz — uśmiechnął się pan Paweł i udał, że nie widzi, jak Józek tym samym co on poprzednio ruchem poklepał maszynę.

Mijały miesiące. Józek ani się obejrzał, jak któregoś dnia obliczył sobie, że już ponad pół roku pracuje w drukarni. Prawdę mówił Czesio, że po jakimś czasie ułoży się wszystko w Józkowej głowie. Już nie odczuwał teraz lekkiego drżenia serca wymawiając trudne słowa „pigment” czy „cylinder”, już nie prężył się cały na wypowiedziane przez pana Pawła wezwanie: „Uwaga! Jedziemy!” Nawet do łomotu maszyn tak przywykł, że słyszał doskonale każde słowo i sam przestał podnosić głos, gdy coś mówił przy ruchu maszyn.

Jedno tylko zostało nie zmienione z owych pierwszych dni: to uczucie lekkiego niepokoju i podniecenia, gdy maszyna wyrzucała nowy arkusz, świeżo po założeniu miedzianego cylindra. Józek biegł wtedy za panem Pawłem do okna, podawał fotografie — według

•194-

nich obaj sprawdzali druk. Już nawet niepotrzebne były słowa. ' skrzywienie warg pana Pawła wystarczyło, by Józek pojął, że arkusz jest do niczego; uniesienie brwi i kiwnięcie głową oznaczało, że coś się jeszcze da zrobić. A gdy po długim poprawianiu wytrawionego na cylindrze obrazu, maszyna wyrzucała arkusz o rysunku czystym i miękkim, oddającym najdelikatniejsze odbłaski światła i cieni na płatkach kwiatu czy puszystość zwierzęcej sierści — wówczas pan Paweł mówił niby niedbale:

— Dobra robota!

A potem niezmiennie zapalał papierosa rozkoszując się wciąganiem dymu, jakby to była dla niego największa i rzadka przyjemność.

— Uwaga! Jedziemy! Zaczynało się drukowanie.

W tym czasie Czesio, jak to określał pan Paweł, był już „puszczony na głęboką wodę”: zostawiono go na kilka dni przy maszynie samego. W drukarni powiadano, że będzie z Czesia pociecha, że chłopak się wyrabia, ale „chłopak” sam zwierzył się raz Józkowi:

— Ja wiem, że to wszystko, co robię, jeszcze nie takie...

— To zrób, żeby było „takie” — poradził niefrasobliwie Józek, Czesio zarumienił się, potem westchnął:

— Nie umiem jeszcze.

I odszedł od swojej maszyny.

Mniej teraz przebywali z sobą w czasie pracy. Czesio światła nie widział poza cylindrem, na którym wciąż jeszcze coś poprawiał, starając się wydobyć ostrość obrazu lub rozjaśnić jakieś nazbyt ciemne miejsca.

Pan Paweł, pod nieobecność jego majstra, często dawał mu rady:

— Nie za dużo przecieraj, nie za dużo! Masz tu jasny kwiat; a wiesz, jak kwiat wygląda?

— No! — zdumiewał się Czesio nie pojmując, o co staremu drukarzowi chodzi.

— Nie żadne „no”, tylko wiesz jak? Płatki ma miękkie, czasem trochę światło przez nie przebija... Jak rysunek szmerglem zanadto zdrzesz, to ci goły papier na druku wyjdzie i kwiat będzie płaski, jak papier biały. A przecież z papieru kwiat nie jest...

Więc Czesio męczył się, by kwiat nie był płaski, starał się, by nie zagubić w obrazie owego światła przemieszczającego przez delikatne płatki. Wreszcie — po długich godzinach pracy, po podpisaniu arkusza przez redaktora, wołał triumfująco:

— Uwaga! Jedziemy!

A w Józku od tego wołania aż serce zamierało z nagłego prag-

nienia, by kiedyś i on sam tak właśnie mógł zawołać i swój, swój własny, przez siebie przygotowany do druku arkusz odebrać z maszyny. Wydawało mu się, że inaczej będzie wtedy łomotała niż zazwyczaj, odbierając raz po raz arkusz w dwudziestu pięciu tysiącach egzemplarzy. Dwadzieścia pięć tysięcy — to nie fraszka! Pan Paweł zgadując myśli chłopca powtarzał często:

— ...a jaka odpowiedzialność!

Józek tęsknił do tej odpowiedzialności i bał się jej jednocześnie.

Tymczasem przyszło Boże Narodzenie. Zarówno on, jak i Czesio jechali na święta do domu. Gdy pociąg zbliżał się do Chabówki, Józek wstał ze swego miejsca w zatłoczonym przedziale i przedostał się do okna. Przez ostatnie pół roku tak był pochłonięty najróżniejszymi nowymi sprawami, z którymi się zetknął, że nawet właściwie nie tęsknił do swoich stron, nawet nie bardzo o nich myślał.

Teraz jednak, gdy przez otwarte okno wdarło się ostre, czyste powietrze górskie, Józek powitał je niemal jak coś żywego, niezmiernie bliskiego, do czego przecież... tak, dopiero teraz uświadomił to sobie — do czego przecież przez te wszystkie miesiące bardzo tęsknił, sam o tym nie wiedząc.

Daleko na horyzoncie zamajaczył ośnieżony łańcuch Tatr, roziskrzony w słońcu, ostro rysujący się na tle jasnego, zimowego nieba. Jakaż tu była zima! Nie to, co w mieście: rozchlapaną, brudną, wilgotną. Wzdłuż toru kolejowego rosły drzewa dźwigające teraz puchate czapy śnieżne.

Pociąg zatrzymał się w Poroninie; Józek zabrał swój tobołek i wyskoczył na peron. Aż tu dobiegł go szum rzeki, jednostajny i bardzo spokojny.

— O Jezu! — westchnął i w tej chwili sam się sobie zadziwił, że tak długo potrafił wytrzymać w mieście. Nawet o drukarni myślał w tej chwili obojętnie.

Ruszył znaną dobrze drogą, a potem wydeptaną w śniegu ścieżką, i chyba nigdy jeszcze ta droga do rodzinnej wsi nie wydała mu się tak nieznośnie długa... Na każdym kroku coś sobie przypominał: z tego wzgórza uczył się zjazdu na nartach, a znów w tamtym lesie był często szukając orzechów. Albo ta łąka, przysypana teraz śniegiem — jakże pachnąca bywa latem!

Żał go chwycił nagle, że z tych Tatr poszedł do miasta — i pierwsze, co zrobił w domu po przywitaniu rodziców i rodzeństwa, to wydobyl z szafy swoje cyfrowane portki i barani kozuch. Obejrzał też kapelusz przybrany muszelkami.

Tego dnia wieczorem szedł w tychże właśnie portkach, kozuchu i kapeluszu na pasterkę do Poronina. Śnieg skrzypiał pod nogami,

na okolicznych wzgórzach niby gwiazdy rozsiane na ziemi błyskały drobne światełka okien, a księżycowy blask jasną łuną powlókł niebo i wysrebrzył tatrzańskie szczyty. Wydawało się Józkowi, że już nigdy,

przenigdy stąd nie potrafi odjechać, że niech się co chce dzieje, nie wróci do miasta, do drukarni — zostanie tu, w chałupie ze swoimi i w górach.

Na drugi dzień jednak żal mu się nagle zrobiło, że nie ma z nim Czesia, a pod wieczór złapał się na tym, że oglądając długie cienie padające od świerków na śnieg zastanawia się, jak by też je wydobyć w rotograviurze, żeby pozostały takie ostre i wyraźne, ale by jednocześnie widać było, że się kładą na owym lekkim puchu śnieżnym.

Trzeciego zaś dnia na myśl o powrocie do pracy nawet uśmiechnął się wesoło i gdy matka spytała: „To już jedziesz dziś, synku, od nas!”, odpowiedział: „Ano trudno, mammo. Drukarnia czeka...”

I gdy wrócił po tych trzech dniach wypoczynku, wydało mu się, że naprawdę na niego czekała, że go teraz wita hałasem, który tylko na pozór wydaje się jednolity, bo przecież tętnią tu głosy różnych maszyn: offsetowych i rotograviurowych, a nade wszystko tej jednej małej rotograviurowej stojącej przy oknie — maszyny Józka.

Gdy ją puszczał w ruch, jakby sapnęła z ulgą, że znów po przerwie powraca do życia. „Jechali” teraz okładkę i nią kończyli druk książki. Pan Paweł ani rusz nie mógł dobrać koloru farby, który by mu się podobał i który jednocześnie odpowiadałby wykonanemu przez grafika oryginałowi: raz kazał dodawać niebieskiej, to znów parę kropel czerwonej, odrobinę żółtej... Debatował na ten temat długo z redaktorem, który od rana już był w drukarni. Dobrali wreszcie — i maszyna ruszyła na dobre.

— A co dostaniemy potem? — spytał Józek.

— Lepiej nie mówić! — mruknął pan Paweł. — Nalepki na piwo. Tfu!

— A później po nalepkach?

— Nie wiem, co tam kierownictwo uradzi — jakoś niechętnie rzekł drukarz. Bardzo tego nie lubił, że na maszynę dawali mu czasem robotę, która wcale mu się nie podobała. Mawiał wtedy:

— Jak już człowiek nie ma serca do czegoś, to i nic dobrego z tego wyjść nie może.

Nie mieli, bardzo nie mieli serca do tych nalepek na piwo; obaj nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie zejdą one z maszyny. Ale zanim dobiegli z robotą do końca, nadeszło z wydawnictwa zamówienie na druk książki. Jeszcze nie zaraz mieli ją dostać; dopiero za jakiś miesiąc, gdy fotografie przejdą przez pracownię fotogra-

-197-

ficzną, przez retuszernię, gdy obrazy wytrawione zostaną na miedzianych cylindrach.

Józek nie widział zdjęć, bo znajdowały się u kierownika; pan Paweł je oglądał. Krótko wypowiedział swoje zdanie:

— Może wyjść szlagierowy numer, nie książka!



Józek z całym zrozumieniem i radością kiwnął potakująco głową.

— Będziesz robił przy niej. Pastę dostaniesz, szmergiel...

— Ja?

— Czas, żebyś spróbował.

Po długiej dopiero chwili Józek zdołał zapytać, starając się, żeby głos jego brzmiał możliwie naturalnie:

— A... o czym ta książka? Ilustracje jakie?

— Dobre.

— Ale co przedstawiają? Oj, tak pan mówi, że nic się dowiedzieć nie można — zniecierpliwił się chłopak.

— O Tatrach będzie książka, ma sto trzy ilustracje — wyjaśnił wreszcie pan Paweł, nie pojmując, dlaczego pomocnik chwycił go nagle za rękę i potrząsnął z całej siły.

Na pierwszym planie ilustracji był las, dalej góry. Odbitka z maszyny wyszła bardzo ciemna.

— Próbuj przecierać pastą, potem zobaczymy — polecił pan Paweł.

Józek poczuł dziwną ociężałość w rękach; wziął kawałek szmatki, nabrał na nią pasty, pochylił się nad cylindrem.

— No, jazda! — zachęcał go pan Paweł.

Józek pociągnął nosem, zaczął trzeć — mocno, dokładnie.

— Chłopcze, czy ty masz źle w głowie? Garnki szorujesz?

— A bo co? — przeraził się Józek.

— Przecież to delikatna robota! Przetrzesz trochę i zaraz bierz lupę, patrz, co się z cylindrem dzieje. Widziałeś, jak ja robiłem.

Józek westchnął: już się tak dobrze czuł w drukarni, już był dosyć pewny siebie, a teraz znów — jakby od początku zaczynał. ■— Więc jak robić?

— O tak. Patrz!

Pan Paweł pochylił się, ostrożnymi, kolistymi ruchami — niemal pieścizotliwie — przecierał miedź.

— A teraz co?

— Puść maszynę.

Wyrzuciła arkusz: zamiast lasu była jedna plama.

— Bierz szmergiel — krótko mruknął pan Paweł.

Józek wziął szmergiel, delikatnie zaczął nim trzeć raz, drugi, trzeci...

-198-

— Pana Pawła kierownik prosi! — zawołał ktoś od drzwi. Józek nawet nie zauważył, jak po chwili pan Paweł wrócił;

zaciął wargi i tarł dalej, uważając tylko, żeby nie za mocno. Był podniecony — trzeci arkusz z książki o Tatrach brali na maszynę. Poprzednie pan Paweł sam przygotowywał do druku, dopiero przy tym dał Józkowi robić, bo — powiedział — ten jest łatwiejszy, więc niech się na tym uczy.

Ale Józkowi ten właśnie wydawał się trudny. Był pewien, że z tamtymi znacznie łatwiej dalby sobie radę.

Odchylił głowę; no, może dość już będzie szmerglowania. Zamiast ciemnej plamy ukaze się teraz las, ostoneczniona kora drzew powinna lekko wybłysnąć. Druga ilustracja w tym arkuszu prawie nie wymagała poprawek; już po paście zrobiła się dobra.

— No jak? — spytał pan Paweł.

— Chyba dobrze.

— Anielka, papier! — krzyknął do dziewczyny, która podawała papier. — Uwaga, jedziemy!

Maszyna wyrzuciła arkusz. Pan Paweł wziął go w ręce; Józek rzucił się ku niemu.

— Jest las?

— A jest, jest, tylko że go nie widać! — wściekał się drukarz. Cisnął arkusz na stół.

— No bo co? Przecież ja... tak jak pan mówił.

— Patrz, coś zrobił! Teraz zamiast czarnej plamy jest szara plama. Za dużo tarłeś.

— Tak jak pan mówił... — próbował usprawiedliwiać się Józek.

— „Mówił, mówił” — przedrzeźniał go majster. — Tu nie ma co gadać, tylko trzeba dokładnie patrzeć: porobisz trochę przy cylindrze i zaraz puszczaj maszynę, sprawdź, jak wygląda to, co poprawiłeś. Nie masz jeszcze wyczucia, więc musisz ciągle sprawdzać. Obraz robisz, rozumiesz?

Józek otworzył usta, nic już nie powiedział. Pan Paweł przestał krzyczeć, zmitygował się — przecież chłopiec nie może od razu dobrze zrobić. Jednak był zły; nawet nie o ten zepsuty arkusz, nawet nie o to, że nowy cylinder trzeba trawić, ale o to, że wbrew rozsądkowi liczył: może chłopak już pojął...

— Bo przecież to masz wiedzieć, że drukarstwo nie rzemiosło zwykłe, że sztuka! — powiedział w końcu jakimś zatroskanym głosem.

Józek wpatrywał się jak w tęczę — w pochmurną, nie ogoloną twarz swego majstra.

W drukarni zrobiła się cała awantura z powodu zepsutego cylindra. Trawiacz, czerwony jak burak, wrzasnął tylko:

-199-

— Dobrze był wytrawiony! Jak mam robić na partolenie... — nie dokończył i jak furia wypadł z hali, trzasnąwszy z całych sił drzwiami.

Pomocnik kierownika drukarni, ten z wysuniętą w przód szczęką, najmniej się przejął.

— Może się da zabajtlować redaktora i podpisze do druku.

— Ja tam nikogo bajtlować nie będę! — krótko uciął dyskusję pan Paweł.

Po chwili jednak przyskoczył do niego, zajrzał mu w oczy, opryskliwie fuknął:

— A dwadzieścia pięć tysięcy czytelników też pan będzie bajtlował, co? Takich, co to rok cały siedzą w mieście i na te Tatry choć na obrazku chcą popatrzeć? Dwadzieścia pięć tysięcy! — wy-skandował. — Co?

Pomocnik wzruszył ramionami.

— Ceregiele robicie.

Józek słuchał tego wszystkiego zupełnie przybity — stał się przecież sprawcą awantury. Może mu na pierwszego potrąca z poborów za zniszczony cylinder? Ale właściwie nie to było dla niego najważniejsze...

— Daj następny cylinder — powiedział pan Paweł. — Będziemy próbować drugą stronę trzeciego arkusza. Co tam jest na niej?

— Cztery ilustracje: dziewięćsił, świstak, widok gór i żmija... — cicho wyrecytował Józek.

W milczeniu pomagał zakładać nowy cylinder, w milczeniu podawał potem kawałeczki papieru do podkładania pod gumowy walec... Nie-odezwał się, gdy po jakimś czasie oglądali razem odbitkę.

— Bierz pastę.

— Nie...

— Bierz pastę! — powiedział pan Paweł. — A teraz patrz na fotografię. Ten dziewięćsił... — zaczął mrużyć jakby sam do siebie. — Wszystko u niego sztywne, i liście, i kwiaty... Widziałeś kiedy taki?

— O! — uśmiechnął się Józek. —; U nas w górach pełno ich rośnie.

— Jak widziałeś, to go rób.

Józek wziął szmatkę, jeszcze raz obejrzał fotografię: z boku pada światło: nie kładzie się miękko, tylko jeszcze uwydatnia ostrość konturu liści. A płatki kwiatu są nieprzezroczyste, jasne... Lekko kremowe — przypominał sobie.

Pracując nad poprawieniem ilustracji na cylindrze, przestał nawet patrzeć na zdjęcie, tylko z pamięci odtwarzał sobie obraz rośliny.

-200-

- Można zobaczyć? — spytał po pewnym czasie. Pan Paweł włączył maszynę.

— No, nieźle! — powiedział obejrawszy arkusz — ale tu światła więcej ma być na liściu.

— Aha, aha!

— A tu znowu...

— ...i środek kwiatu nie taki — trzepnęła się po kolanach Józek. Nie czekał na dalsze uwagi, przypadł znów do maszyny.

Pracował nie podnosząc głowy; od czasu do czasu odgarniał sobie włosy z czoła usmarowaną dłonią.

Wiele razy sprawdzali. Józek patrzył wtedy nawet nie tylko na arkusz, ile na pana Pawła. Co powie: dobrze czy źle? To była najważniejsze ze wszystkiego.

Po trzech godzinach pan Paweł powiedział:

— Więcej nie ruszaj. Ani pasty, ani szmergla, bo zepsujesz. Józek odgarnął włosy.

— Zacznie szarzyć — wyrzekł poważnie.

— Zacznie — przytwierdził majster.

Przy widoczku robił sam, trochę tylko pozwolił Józkowi ruszyć góry; chmurek na niebie już tknąć nie dał.

— Łatwo spaskudzić — wyjaśnił — smugi będą, jak się źle zrobi.

Józek nie napierał się. Zresztą nie mógł jeszcze robić wszystkiego; ani nie umiał, ani nie było czasu, żeby się zbyt długo bawić z jednym arkuszem. Za to mu pan Paweł obiecał, że przy żmii popracuje, może nawet sam ją wykończy.

— Żmija będzie zupełnie łatwa — zapewnił Józek.

— Łatwa, łatwa... — pokiwał głową majster. — Zobaczymy,, czy łusek na niej nie pogubisz.

Ale „nie pogubił”; wyszły drobne, miejscami lśniące, a zygzak biegnący przez grzbiet dobrze się uwydatnił.

— N00, będą jeszcze z ciebie kiedyś ludzie! — orzekł trochę powściągliwie pan Paweł, ale jego zwykle pochmurne, ciemne oczy zajaśniały wyraźnym zadowoleniem.

I wtedy, w jednej chwili, Józek pojął, że jeżeli mu się ta żmija udała, to dlatego, że majster tu był, że radził i zachęcał, że w każdej chwili można było go spytać, że — co najważniejsze — majster wiedział, jak ma być. Zanim jeszcze robota została rozpoczęta, Pan Paweł już widział, jak powinna wyglądać po ukończeniu.

Przez szereg następných dni chłopcu raz się zdawało, że już zna na wylot niemal wszystkie tajemnice rotograwiury, to znów ogarniała go rozpacz, że nic właściwie jeszcze nie umie. Żmija, dziewięćsił, owad o twardych pokrywach — z tym radził sobie nie-

-202-

zgorzej, ale gdy tylko przychodził jakiś zwiewny kształt dzwonekóv łąkowych czy puszyste pisklątko ptasie — stawał bezradny.

Jeszcze dwa cylindry zepsuł, ale już awantury nie było. W drukarni zauważyli, że chłopak jest zdolny, więc warto go uczyć. Ucząc się musi trochę popsuć. Zresztą pan Paweł zawsze go bronił, chociaż nigdy o tym Józkowi nie wspominał. To od Czesia Józek dowiedział się, że majster brał go w obronę przed kierownictwem i trawiaczem, że raz nawet tak powiedział: „Zdolny to mało jeszcze, zamiłowanie do zawodu ma! Duszę drukarską. A tak!”

Niemniej owa „dusza”, chociaż drukarska, znalazła się zupełnie tak jak zwykła na Józkowym ramieniu, gdy pewnego dnia pan Paweł nie przyszedł rano do drukarni. Na maszynie już był założony nowy cylinder; szedł siódmy arkusz książki.

Józek kręcił się bezradnie. Nie wiedząc, co robić, wciąż spoglądał na drzwi. Wreszcie ukazał się w nich kierownik z pomocnikiem.

— Twój majster jest chory — zwrócił się do Józka. — Chyba zdejmujemy z maszyny książkę...

— Co? — znieruchomiał Józek.

— Chyba damy opakowania na wodę kolońską — zastanowił się kierownik.

— Az Tatrami co będzie? — jęknął chłopiec.

— Co ma być? — roześmiał się pomocnik. — Sam będziesz jechał ten arkusz czy co?

— A może by tak spróbować? — zamyślił się nagle kierownik. — Paweł mówił, że chłopak już dobrze wyciąga...

Józek zwilżył językiem zeschnięte jak w gorączce wargi. Nawet nie wiedział dobrze, co jest na tym nowym arkuszu, ale nie chciał zaglądać teraz, kiedy stali przy nim.

Nie miał pojęcia, jak to się stało, że posłyszał nagle swój głos schrypnięty i wysoki od ogromnego napięcia.

— Ja pojedę ten arkusz! Niech pan nie zdejmuje książki z maszyny. Ja zrobię...

Powiedział. Stało się. Nie przestraszył się nawet, tylko poczuł jakiś dziwny chłód w całym ciele. Nie drgnął, kiedy wychodzili z hali, odprowadził tylko jednego i drugiego wzrokiem, właściwie ich nie widząc.

— Józek, coś ty zrobił? Wszystko słyszałem — Czesio trząśł nim za ramiona. — Przecież nie potrafisz jeszcze. Tak zupełnie sam...

— Co? — spojrzał na przyjaciela wciąż jeszcze nic nie widzącymi oczami.

— Nie potrafisz!

-202-

— Dlaczego nie? Zobaczysz — powiedział spokojnie. Wydawało mu się, że to nie on mówi. Pragnął w tej chwili właściwie tylko jednego: żeby Czesio poszedł sobie do swojej maszyny. Chciał zostać sam.

„Trzeba zobaczyć, co tam jest w tym arkuszu” — pomyślał z wysiłkiem.

Powoli, nie śpiesząc się, podszedł do maszyny.

— No i co będzie? Co będziemy dziś robić? — Anielka stała z założonymi rękami, trochę znudzona, trochę wyczekująca.

— Będę robił narząd — twardo powiedział Józek.

„Będzie narząd” — tak właśnie mówił zawsze pan Paweł przed rozpoczęciem przygotowywania cylindra do druku, przed podkładaniem papierków, pastowaniem, szmerglowaniem, dobieraniem farby... Narząd.

— Cooo? — wytrzeszczyła oczy Anielka.

Józek nie odpowiedział, nie wyjaśniał. Pochylił się nad cylindrem: chciał sprawdzić, jakie ma ilustracje. Na jednej mdła jaszczurka wychylała trójkątny łepiek spod kamienia; na drugiej — skalna, gładka ściana Kościelca...

Józek odetchnął głęboko: z jaszczurką da sobie radę — łatwiejsza będzie niż tamta żmija. Skalna ściana trochę gorsza, ale... chyba też się z nią upora, byle nie za dużo szmerglować, ciemnych cieni nie zepsuć.

Aż zmęczony się teraz poczuł radością, że nie takie to będzie straszne.

Pewnym ruchem przesunął dalej cylinder, żeby przyrzeć się jeszcze trzeciej i ostatniej w tym arkuszu ilustracji.

Nie jęknął, nie skrzywił się, nie złapał za głowę. Jeżeli prawdą było, że miał ową „drukarską duszę”, o której wspominał pan Paweł, to w tej chwili zamarła w nim ona zupełnie. Początkowo łudził się, że może

się omylił, nie dość dobrze zobaczył... Ale nie, wytrawiony obraz był wyraźny: na łodydze jakiejś wiotkiej rośliny, której kwiaty, niezbyt wyraźne, ledwie się odcinały od tła — siedział blady motyl z na wpół rozprostowanymi skrzydłami.

— No, co właściwie będziemy robić? — zniecierpliwiła się Anielka.

Józek wyprostował się, rozejrzał po hali, ale po chwili jego rozbiegane spojrzenie powróciło do maszyny. Ona jedna była w tej chwili czymś najbliższym.

— Anielka, papier!

Wskoczyła na podwyższenie. Wzruszyła ramionami, ale bez słowa zaczęła podawać czyste arkusze.

Odbitka nie wyglądała najgorzej — tak się przynajmniej

-203-

w pierwszej chwili Józkowi zdawało. Jaszczurce trzeba było rozjaśnić głowę i przednią łapkę; kamień można zostawić tak jak jest. Skalna ściana... Delikatnie się ją przetrze i będzie w porządku. Ale motyl? Siedział jak drewniany, a kwiaty wyglądały niby jakieś nieokreślone bliżej plamy.

— No jak? — krzyknął od swojej maszyny Czesio.

— Dobrze!

Nie było dobrze. Józek po prostu bał się dotknąć tego motyla; zaledwie go lekko poprawił, zaraz odbijał arkusz i sprawdzał, jak wychodzi.

Anielka rozzłościła się.

— Co wyrabiasz? Ciągle będę skakać na maszynę, bo ci się tak podoba? Majster się znalazł!

— Papier!

Podawała, ale zła była jak osa.

Jeszcze niedobrze. Powtarzał sobie teraz w myśli tak, jakby pan Paweł mówił do niego w podobnej sytuacji: „Jaki jest motyl? Biały. Skrzydełka ma miękkie, delikatne, trochę, troszeczkę połyskliwe, ale nie za bardzo. Zależy, jak światło pada...”

Jakże to światło pada? Jeszcze raz wyciągnął oryginał fotografii, oglądał uważnie każdy szczegół...

„Nie, nie bardzo jest połyskliwy; jedno skrzydełko rzuca cień

-204-

na drugie. Ojej, czy ja sobie z tym poradzę, czy poradzę?”

O którejś tam godzinie przyszedł kierownik, stanął nad Józkiem i patrzył mu przez ramię. Chłopcem aż trzęsło ze zniecierpliwienia: czy nie mógłby go samego zostawić? Samego z maszyną? Przynajmniej teraz, kiedy jeszcze robi narząd?

— Z wydawnictwa dzwoniли. Pytali, o której będzie arkusz gotowy do podpisu.

— Nie... nie wiem — zająknął się Józek. Tego nie przewidział, nie myślał o tym wcale, że przyjdzie mu jeszcze rozmawiać z redaktorem. Nigdy w życiu nie przeprowadzał takich rozmów; z wydawnictwem załatwiał wszystko pan Paweł i sam przynosił podpisany już do druku arkusz.

— Więc o której? Teraz mamy jedenastą; za godzinę będzie? Godzina? Co można zrobić przez godzinę? Jedna jedyna godzina na dwa motyle skrzydła, na kwiaty, które ledwie się w tle rysują?

— Za dwie godziny. Proszę powiedzieć: o pierwszej.

— Dobra. Tylko żebyś nie zawalił! Nie wiadomo dlaczego akurat w tej

chwili Józek poczuł nieomylnie, że właśnie zawali. Teraz — kiedy miał wyznaczony termin skończenia roboty. Dwie godziny...

Oglądając nową, już nie wiadomo którą odbitkę stwierdził z przerażeniem, że jaszczurka jeszcze wcale nie jest dobra. I skalna ściana wydała mu się zbyt jednolita. Nie ma w Tatrach takich płyt gładkich; wszędzie są szczeliny. Obejrzał znów fotografię — na niej były szczeliny, na arkuszu gdzieś się zapodziały.

Dwie godziny... Nie, już na pewno nie dwie. Gdyby chociaż miał zegarek; wstyd ciągle pytać Anielkę.

Sam nie wiedział, jak długo wypracowywał dwie pierwsze ilustracje; o motylu starał się jeszcze nie myśleć.

Powoli wracał mu spokój.

— Anielka, która godzina?

— Za dziesięć dwunasta — odmruknęła.

— Już?

— A coś ty myślał! Babrzesz się z tym arkuszem i babrzesz!

— O rany! Przestań! Więc teraz biały motyl...

Starał się przypomnieć sobie wszystkie białe motyle widywane tak często na podtatrzańskich łąkach. Żałował, że nie przyglądał się im dostatecznie dokładnie. Przypomniało mu się teraz zasłyszane tu w drukarni opowiadanie o redaktorze, który, gdy dawał do druku fotografie starych tkanin, sam chodził przedtem do muzeum obejrzeć te tkaniny, by wiedzieć, jak powinna być oddana na ilustracji szorstkość nici, z których były tkane.



Oto właśnie rotograwiura — najszlachetniejsza ze wszystkich technik drukarskich! Nie wystarczy wiedzieć, jak się puszcza w ruch maszynę, i że szmergiel, że pigment, że diapozytyw...

Sztuka!

Cień rzucony przez motyle skrzydło wciąż jeszcze przypominał szarawą plamę. Drobne, ciemne żyłeczki uwydatniły się nazbyt ostro, jakby je ktoś ostro ołówkiem wyrysował. Cały motyl był ciężki, toporny.

— Która godzina?

— Wpół do pierwszej.

Józek przygryzł wargi, aż go zabolalo.

Lekkim ruchem wziął szmatkę z pastą, obok na maszynie położył szmergiel. Rozpoczął dalszą pracę.

— Anielka!

— Oj, znowu papier!

Podszedł do okna, długo patrzył na odbity arkusz... Przybiegła sekretarka.

— Józek, masz arkusz gotowy? Jest redaktor.

— Jeszcze chwila.

Teraz bał się dalej poprawiać, bo mu ręce lekko drżały.

— Chwileczka. Zaraz przyniosę.

Przyglądał się wciąż arkuszowi, poprawił oko motyla, tak że zagrało w nim drobniutkie światełko; jeszcze brzeg skrzydła...

Nie wiedział, ile czasu minęło, ale kierownik był już zły, kiedy sam przyszedł do niego po raz drugi.

-206-

— No co, jest?

— Idę! — powiedział Józek takim głosem, jakby szedł na ścięcie. Redaktor czekał w sekretariacie. Zanim wziął do ręki arkusz,

przyjrzał się uważnie Józkowi.

— A co, pana Pawła dziś nie ma?

— Chory, ale nie szkodzi. Wszystko będzie zrobio... — zaczął zagadywać pomocnik kierownika.

Józek gwałtownie zapragnął, żeby on sobie gdzieś poszedł.

— Proszę o arkusz — powiedział przyjaźnie redaktor i uśmiechnął się do Józka. Sięgnął do kieszeni, wyjął papierosy.

— Proszę, kolego — podsunął pudełko Józkowi.

— Dziękuję, ja nie palę — zaczerwienił się chłopak nie wiadomo dlaczego.

Redaktor zapalił papierosa, potem z kieszeni wyjął ołówek.

Wzrok Józka zawisnął na tym ołówku, jakby od ruchu, jaki nim zrobi redaktor, miały zależeć losy świata.

Ołówek zakreślił okrągłą linię na prawej stronie ilustracji przedstawiającej skalną ścianę, ominął jaszczurkę, zatrzymał się nad białym motylem...

Redaktor zaciągnął się papierosem i zaczął patrzeć na oryginał fotografii.

Ołówek spadł zdecydowanie na lekko wygięty płatek kwiatu, zagarniając go wraz z lewym skrzydłem białego motyla w zamkniętą, okrągłą przestrzeń. Potem jeszcze zakreślił cienkie motyle nóżki.

— Muszą być wyraźniejsze — powiedział redaktor.

Józek odetchnął: jasne, że tak! Z wdzięcznością spojrzął na redaktora.

Chwycił arkusz, bez tchu wybiegł do hali maszyn.

Pochylił się nad cylindrem, zakreślony arkusz położył przed sobą.

— Jak tam? — zagadała Anielka.

— Ojej, jakie te dziewczyny są gadatliwe! — rozżłócił się na nią.

Zamilkła urażona.

Dokonując teraz ostatecznych poprawek, przypominał sobie wszystko, czego uczył go pan Paweł.

Pamiętał te uwagi i pouczenia, pamiętał wszystko jaśniej chyba niż kiedykolwiek. Nigdy jeszcze w palcach nie czuł takiej sprawności, jak w tej chwili — jakby najprecyzyjniejszy przyrząd miał w rękach, jakby mu się w nich trzepotał żywy biały motyl, któremu nie wolno jakimś nieostrożnym ruchem zetrzeć ze skrzydeł drobnutkiego pyłeczku... .. .. B

\* -207 -

— Co to? Wasza maszyna cały dzień dziś stoi? — spytał kpiąco trawiacz, zaglądając do hali.

— A stoi, stoi — odpowiedziała na cały głos Anielka. — Taki majster przy niej, to pewnie ze dwa dni będzie stała.

Józek leciutko rozjaśniał wygięty płatek kwiatu, by wyraźniej się zarysowało motyle skrzydełko.

— Anielka, papier!

Ze skupioną twarzą przyglądał się uważnie arkuszowi odbitemu po poprawkach i porównywał go z zakreślonym przez redaktora arkuszem. Po chwili stanął nad nim pomocnik kierownika.

— Dawaj, jak jest, i koniec. Dostyc tego patyczkowania. W tych wydawnictwach sami już nie wiedzą, czego chcą. No dajesz wreszcie! Prędziej!

— Nie daję! — wrzasnął Józek nie panując z tego wszystkiego nad sobą i nie myśląc, że przecież do przełożonego swego mówi. — Nie dam, dopóki nie będzie dobre.

Minęło może pół godziny, zanim Józek znów stanął przed redaktorem i w milczeniu rozłożył na stole obydwie arkusze, ten swój ostatni, mozolnie poprawiany, i tamten z zakreśleniami.

Redaktor patrzył to na jeden, to na drugi — porównywał, podszedł z nimi do okna. Potem jeszcze raz obydwie rozłożył na stole. Wciąż wpatrując się w arkusze, sięgnął ręką po leżący na stole

ołówek.

„Więc nie jest dobrze; pewnie znowu coś znalazł” — przeleciało przez głowę Józka. Poczuł się taki zmęczony, zbiedzony, zupełnie bezsilny.

I nagle... wzniesiony ołówek spadł nie na ilustracje, ale na nie zadrukowany róg arkusza: redaktor kładł zamaszysty podpis i datę.

— Dobry jest. Można drukować.

To chyba niemożliwe, że Józek przed chwilą był zmęczony, że czuł się zbiedzony i bezsilny. Jednym skokiem wypadł z pokoju, pognął długim, ciemnym korytarzem. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się przy swojej maszynie.

— Wystaw papier, Anielka! — krzyknął jeszcze od progu. — Wystaw papier do druku.

Wytrzeszczyła na niego oczy, jakby nie do niej się zwracał.

— Podpisał ci? — domyślił się w lot Czesio. — Dobra jest! Józek z wielkiego pośpiechu nawet nie odpowiedział, tylko

skinął głową potakująco.

Anielka przygotowawszy papier, wskoczyła na podwyższenie. Józek stanął przy maszynie i rzucił lekko, niby przeciągłą,

-śpiewną nutę:                    /^^^£\

— Uwaga! Jedziemy'./\* v. %\

V:

I Л

""\*BW, ..

p^

i

■\*Lgt

## OBJAŚNIENIA

### SPRAWY DŁUGICH WIEKÓW

str. 9. astrolog (z łac.) — uczyony średniowieczny wróżący z gwiazd o losach ludzi. Astrologia głosiła fałszywy pogląd, jakoby między losami ludzi a układem gwiazd istniała ścisła zależność

str. 10. wag ant (z łac.) — średniowieczny śpiewak wędrowny. Waganci wędrowali grupami, występując w miastach i miasteczkach z wesołymi przedstawieniami i piosenkami

ζ α κ (z łac.) — dawna nazwa ubogiego ucznia, studenta lutnia (z włosk.) — dawny, dziś już nie używany, instrument strunowy, przypominający wyglądem gitarę

Ezop Fryg — pierwszy grecki bajkopisarz, żyjący według podań w VI w. p.n.e. Jedną z legend głosi, że był niewolnikiem Krezusa, ostatniego króla Lidii, kraju znajdującego się niegdyś na zachodnich wybrzeżach Azji Mniejszej

str. 15. Gdy wytrąbiono hasło bojowe... i dalej — fragmenty z „Dziejów Polski” Jana Długosza (1415—1480); przekład Karola Mecherzyńskiego „Bogurodzica” — najstarszy zabytek polskiej literatury religijnej, pieśń powstała prawdopodobnie w XIV w. Od początków XV w. staje się pieśnią bojową rycerstwa polskiego

str. 16. kopista (z łac.) — tu: przepisywacz ksiąg

kanonik (z łac.) — wyższy stopień duchownego w kościele katolickim

str. 17. „Dzieje Polski” — „Historia Polonica”, czyli „Dzieje Polski”, to najważniejsza z prac Długosza, będąca ukoronowaniem polskich kronik średniowiecznych. Poprzedzona opisem geograficznym doprowadzona aż do roku śmierci autora, daje nie tylko stosunkowo krytyczne opracowanie wiadomości o poprzednich wiekach, ale kreśli szeroki, bogaty w szczegóły obraz czasów Długosza, umożliwiając poznanie kultury duchowej Polski w XV w.

str. 18. (Długosz) „...miał w myślach nowy dom, z własnych funduszków budowany w Sandomierzu...” — dom ten zbudowany w r. 1476 zachował się do dziś; obecnie mieści się w nim muzeum

str. 21. opat (z łac.) przełożony klasztoru w niektórych zakonach

skryptorium (z łac.) — izba klasztorna, w której w epoce księgi rękopiśmiennej odbywało się przepisywanie ksiąg

str. 22. inkaust (z łac.) — płyn służący dawniej do pisania; rodzaj atramentu

str. 23. inicjał (z łac.) — ozdobnie wykonana pierwsza litera rozdziału lub

14 — Przyjaciół na zawsze

-209-

stT. 24

ustępu; w dawnych księgach pisanych i starych drukach inicjały niekiedy bywały tak bogate, że stanowiły dzieło sztuki same w sobie .Bolonia — miasto we Włoszech, w którym w r. 1158 został założony najstarszy uniwersytet w Europie Sorbona paryska — w czasach, o których mowa w opowiadaniu, kolegium teologiczne (założone w r. 1244 przez Roberta de Sorbon); obecnie nazwa uniwersytetu paryskiego lektorium (z łac.) — czytelnia przy bibliotece

str. 28.....na co tylko siły moje... do słów: ...ku sławie drogiej

ojczyzny..." — Gytat ze Wstępu J. Długosza do „Dziejów Polski”; przekład K. Mecherzyńskiego

itT. 30. scholar (z łac.) — w średniowieczu uczeń, student

. 32. „Przez czytanie bowiem dziejów... do słów: „do nabycia takich wiadomości?” — cytat ze Wstępu J. Długosza do „Dziejów 'Olski”; przekład K. Mecherzyńskiego

„Będę ją błagał wszystkich... do słów: ...zaniechania nie dopuszczali..” — cytat z Epilogu „Dziejów Polski”: przekład K. Mecherzyńskiego

„Nie sądzę bowiem... do słów: ...i nie wspomóżę” — cytat ze Wstępu J. Długosza do „Dziejów Polski”, przekład K. Mecherzyńskiego p o c z c i — uczi

#### SZOPA ZA MIASTEM

u ma być niezadługo nowy ołtarz w Mariackim oiele” — ołtarz w kościele Mariackim ustawiony został w r. 1489. nowi on najznakomitsze dzieło wielkiego rzeźbiarza a zarazem rytow-i malarza Wita Stwosza (ok. 1438—1533), owoc wielu lat pracy artysty. Wit Stwosz działał w Krakowie i w Norymberdze, zmarł w Norymberdze „...w Krakowie osiedlił się, prawo miejskie przyjął...” — przybysz, który pragnął uprawiać rzemiosło lub handel w danym mieście, musiał poddać się przepisom prawnym tego miasta, uzyskując jednocześnie wszelkie przywileje mieszczanina

sztuka snycerska (zśr. grec.) — sztuka rzeźbienia; snycerz — rzeźbiarz 42. dziwożona — w polskich wierzeniach ludowych; rusałka, boginka, a także złośliwe straszycło leśne. Frankonia — historyczna kraina na prawym brzegu Renu; dziś tereny dawnej Frankonii znajdują się w granicach Niemieckiej

Republiki Federalnej itr. 44. safianowe ciżmy — noszone w średniowieczu płytke obuwie bez cholewki lub z krótką cholewką, wyrabiane z miękkiej kolorowej skóry

str. 48. stempledrewniane — tu: drewniane wzory liter

Druk wynalazł Johann Gutenberg, urodzony w Moguncji nad Renem około r. 1400 (zm. ok. 1468), z zawodu złotnik i szlifierz. Gutenberg pierwszy zaczął składać i odbijać książki posługując się sporządzonymi przez siebie ruchomymi czcionkami z metalu

»tr.

-210-

ustępu; w dawnych księgach pisanych i starych drukach inicjały niekiedy bywały tak bogate, że stanowiły dzieło sztuki same w sobie

str. 24. B o ł o n i a — miasto we Włoszech, w którym w r. 1158 został założony najstarszy uniwersytet w Europie

Sorbona paryska — w czasach, o których mowa w opowiadaniu, kolegium teologiczne (założone w r. 1244 przez Roberta de Sorbon); obecnie nazwa uniwersytetu paryskiego lektorium (z łac.) — czytelnia przy bibliotece

str. 28. „...n a co tylko siły moj e... do słów: ...k u sławie drogiej ojczyzny...” — Gytat ze Wstępu J. Długosza do „Dziejów Polski”; przekład K. Mecherzyńskiego

str. 30. scholar (z łac.) — w średniowieczu uczeń, student

str. 32. „Przez czytanie bowiem dziejów... do słów: ...do nabycia takich wiadomości i?” — cytat ze Wstępu J. Długosza do „Dziejów Polski”; przekład K. Mecherzyńskiego

str.32-33.„Będę ja błagał wszystkich... do słów: ...zaniechania nie dopuszczali..” — cytat z Epilogu „Dziejów Polski”: przekład K. Mecherzyńskiego

„Nie sądzę bowiem... do słów: ...i nie wspomóżę” — cytat ze Wstępu J. Długosza do „Dziejów Polski”, przekład K. Mecherzyńskiego p o c z c i — uczeni

#### SZOPA ZA MIASTEM

str. 39. „Pono ma być niezadługo nowy ołtarz w Mariackim kościele” — ołtarz w kościele Mariackim ustawiony został w r. 1489. Stanowi on najznakomitsze dzieło wielkiego rzeźbiarza a zarazem rytownika i malarza Wita Stwosza (ok. 1438—1533), owoc wielu lat pracy artysty. Wit Stwosz działał w Krakowie i w Norymberdze, zmarł w Norymberdze „...w Krakowie osiedlił się, prawo miejskie przyjął...” — przybysz, który pragnął uprawiać rzemiosło lub handel w danym mieście, musiał poddać się przepisom prawnym tego miasta, uzyskując jednocześnie wszelkie przywileje mieszczanina

sztuka snycerska (z śr. grec.) — sztuka rzeźbienia; snycerz — rzeźbiarz

str. 42. dziwożona — w polskich wierzeniach ludowych: rusałka, boginka, a także złośliwe straszdyło leśne.

Frankonia — historyczna kraina na prawym brzegu Renu; dziś tereny dawnej Frankonii znajdują się w granicach Niemieckiej Republiki Federalnej

str. 44. safianowe ciżmy — noszone w średniowieczu płytke obuwie bez cholewki lub z krótką cholewką, wyrabiane z miękkiej kolorowej skóry

str. 48. stemple drewniane — tu: drewniane wzory liter

Druk wynalazł Johann Gutenberg, urodzony w Moguncji nad Renem około r. 1400 (zm. ok. 1468), z zawodu złotnik i szlifierz. Gutenberg pierwszy zaczął składać i odbijać książki posługując się sporządzonymi przez siebie ruchomymi czcionkami z metalu

) - 210 -

str. 49. b u k s z t a b a (z niem.) — litera, czcionka

gisernia (z niem.) odlewnia, fabryka odlewów metalowych

str. 55 .....Fioł księgi innej wiary wybijał..." — Fioł drukował księgi

dla kościoła prawosławnego pismem cerkiewno-słowiańskim

opończa (z tur.) — dawny obszerny płaszcz bez rękawów, chroniący od deszczu i zimna

str. 58. złotolity — przetykany złotem

#### TYPOGRAF JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI

str. 59. Typograf Jego Królewskiej Mości — tytuł nadawany drukarzom przez króla za ich szczególne zasługi; typograf (z grec.) — dawna nazwa drukarza

Wolfgang Lern — drukarz królewski żyjący w XVI w. Nie miał własnej drukarni w Krakowie, najpierw współpracował z Hallerem, w latach 1513—1514 z Unglerem. Później porzucił zawód drukarza i zajął się handlowaniem winem i wyszynkiem impremować (z śr. łac.) — drukować, wybijać; impresor — drukar

str. 60. bibliopola (z grec.) — dawna nazwa księgarza

oficyna (z łac.) — nazwa pierwszych drukarni i zakładów drukarskich w XVI—XVIII w. „...pierwsze w Polsce mapy Nowego Świata a..." — mowa o pierwszych w Polsce mapach Ameryki, drukowanych z klocków drzeworytniczych, wydanych przez Unglera w r. 1512 w książce geograficznej Jana ze Stobnicy. (W owym czasie Amerykę nazywano Nowym Światem)

„Raj duszny" — pierwsza w Polsce książka w całości drukowana po polsku, modlitewnik pisany surową dawną polszczyzną, składający się z tekstów prozą, wierszowanych hymnów i pieśni. Autor „Raju

dusznego", Biernat z Lublina, lekarz i duchowny, zaliczany jest jeszcze do pisarzy średniowiecznych, chociaż twórczość jego nosi już ślady pewnych wpływów renesansu

str. 61. „...przecieżem nowe (pismo) wprowadził, i w romańskim kształcie...” — Ungler pierwszy w Polsce wprowadził nowy krój pisma, antykwę. Powszechnie drukowano podówczas pismem o kroju gotyckim

drzeworyt — odbitka rysunku wyciętego na płaszczyźnie drewnianego klocka. W drukarstwie używano drzeworytów do ozdabiania lub ilustrowania książek

Jan Haller — bogaty kupiec prowadzący handel winem, przybył z Frankonii do Krakowa i osiedlił się tu, uzyskawszy w r. 1491 miejskie prawo krakowskie. Wkrótce staje się także księgarzem i wydawcą książek, które początkowo drukuje za granicą z powodu braku drukarni w Krakowie. Wreszcie z jego namowy i przy pewnej jego pomocy finansowej zakłada w Krakowie w r. 1503 warsztat drukarski Kasper Hoehfeder (poprzednio pod koniec XV w. działał krótko w Krakowie wędrowny zapewne warsztat drukarski Kaspra Straubego, a później stała już, ale krótkotrwała drukarnia Fioła). W r. 1505 Haller odkupuje od Hochfedera

-211-

ten warsztat, rozszerza go i odtąd prowadzi pod swoją firmą aż do śmierci (1525 r.), korzystając z fachowego kierownictwa Hochfedera, potem Lema i Unglera.

Wielką zasługą obrotowego kupca, jakim był Haller, było to, że stworzył w Krakowie (i w Polsce) pierwszą stałą drukarnię, opartą na mocnych podstawach, jeśli się zważy, że zdołał skupić w swym ręku także księgarnię i młyn papierniczy pod Krakowem. Swoją akcję wydawniczo-księgarską oparł Haller na uzyskanym w r. 1505, a więc u progu swej działalności drukarskiej, przywileju króla Aleksandra, dzięki czemu miał prawo wyłączności na druk pewnych pokupnych dzieł (zwłaszcza kościelnych) i na handel nimi.

Początkowo bardzo bogata działalność wydawnicza Hallera z czasem zaczęła podupadać, zwłaszcza wobec dynamicznej działalności drukarskiej Unglera i Wietora, a także z powodu księgarskiej i wydawniczej, a później i drukarskiej działalności osiadłej w Krakowie rodziny Szarffenbergów, z Markiem na czele

sfr. 64. b r o k a t (z śr. łac.) — gruba, ciężka tkanina jedwabna, przetykana srebrną lub złotą nicią tworzącą wypukłe wzory (liście, kwiaty, figury itp.) złotogłów (altembas; z tur.) — tkanina jedwabna o wątku ze złotych nici

niderlandzki — Niderlandy, państwo dziś nie istniejące, obejmujące niegdyś dzisiejszą Holandię, Belgię oraz część północnej Francji. W XV i XVII w. Niderlandy słynęły z niezwykle bujnego rozwoju sztuk pięknych, jak malarstwo, architektura i rzeźba

atr. 65. „Gdybym przyszłych lat... do słów: ...tego sławnego Królestwa Polskiego o...” — słowa użyte przez Wietora w dedykacji „Rozmów, które miał król Salomon z Marchottem...” wydanych w Krakowie w r. 1521



\*tr. 66. Marek Szarffenberg — osiadł w Karkowie w r. 1506 księgarz i wydawca, drukował początkowo książki za granicą. Podobno on to nakłonił Wietora prowadzącego w Wiedniu drukarnię, by osiedlił się w Krakowie, co też się stało w r. 1517. Marek Szarffenberg drukował odtąd także u Wietora, później rozszerzył swe przedsiębiorstwo o intro-ligatonię i papiernię, a wykształciwszy swych synów na drukarzy, prowadził od r. 1543 własną drukarnię w Krakowie.

Rodzina Szarffenbergów zaślubiła sobie na polu drukarstwa i akcji wydawniczej w Krakowie w XVI w. Prócz Marka i jego synów, Stanisława i Mikołaja, którzy po ojcu prowadzili dalej drukarnię, założył także warsztat drukarski jeszcze przed Markiem, bo w r. 1521, jego brat, Maciej, i oficyna ta przetrwała do XVII w., podobnie jak drukarnia Mikołaja Szarffenberga

Mtr. 67.....niezwykła uroczystość: zawieszenie wielkiego dzwonu ofiarowanego miastu przez króla" — największy w Polsce dzwon (średnica 2,7 m, wysokość 2 m, obwód u dołu 7,5 m, waga — ok. 8000 kg, waga serca — ok. 300 kg), „Zygmunt”, nazwany tak od imienia fundatora, króla Zygmunta Starego, a odlany przez słynnego ludwisarza norymberskiego Hansa Behema, zawieszony został na Wawelu w wieży Zygmuntowskiej w r. 1520. Dzwon ten rozbrzmiewa tylko w uroczyste święta kościelne lub w czasie wielkich uroczystości narodowych

-212-

str. 70. „...Jana z Koszyczek dzieło o rozmowach króla Salomona z Marchottem m" — Jan z Koszyczek, pisarz współczesny Biernatowi z Lublina, przyswoił językowi polskiemu szereg najpopularniejszych opowieści średniowiecznych pisanych łaciną. Jedną z takich opowieści były właśnie „Rozmowy, które miał król Salomon z Marchottem...” Treścią książki są rozmowy króla Jerozolimy Salomona z chytrym prostakiem Marchottem, który posługując się swoim chłopskim rozsądkiem wyprowadza raz po raz w pole uczonego króla

„Będąc ja wmięszkany m... do słów: ...p olski naród swem gardzi...” — cytat z dedykacji Wietora do wydanego w r. 1542 dzieła „Księgi, które zową Język...”; szyrzy — szerzy

„...prasować będę z pilnością, ażeby się też język polski szyrzył...” — cytat jak wyżej; prasować — odbijać w prasie drukarskiej, drukować

str. 71. kaszta (z niem.) — płaska skrzynka z przegródkami, z których każda przeznaczona jest na pewną liczbę egzemplarzy określonej czcionki wieść prym (z łac.) — przewodzić, zajmować pierwsze miejsce „Żywot Pana Jezusa Krysta” — utwór przełożony z łaciny przez Baltazara Opecia, wydany w Krakowie przez Unglera w r. 1522, należy do tzw. literatury apokryficznej, niezwykle rozpowszechnionej w średniowieczu. Twórcy apokryfów opisywali w nich żywot Chrystusa i Matki Bożej, przeplatając motywy brane z Ewangelii motywami czerpanymi z baśni, powieści, a także pomysłami, jakie podsuwała im własna wyobraźnia. Utwór Baltazara Opecia, unowocześniany w miarę potrzeby» wydawany był aż do połowy XIX w.

str. 73. Robert Estienne — wybitny drukarz i wydawca francuski XVI w., uczonego, filologa. Otrzymał tytuł typografa królewskiego przede wszystkim za wydawnictwa literatury klasycznej. Blisko współpracował z

nim grawer i giser Klaudiusz Garamond, którego nazwisko dało używaną do dziś nazwę pewnego rodzaju czcionki — garmondu

str. 74. Biernat z Lublina „Żywot Ezopa Fryga z przypowieściami jego” — największe dzieło Biernata z Lublina, rymowany; zbiór bajek i powiastek zaczerpniętych zarówno ze zbioru bajek starożytnych, przypisywanych Grekowi Ezopowi, jak też i z odpowiedniej twórczości średniowiecznej. Każda z bajek opatrzona została morałem wyrażonym często, w formie przysłowia.

Bajki poprzedza przetłumaczony z łaciny średniowiecznej życiorys Ezopa, sprytnego niewolnika, błazna i mędrca w jednej osobie.

Biernat z Lublina jest pierwszym polskim bajkopisarzem, a jego „Ezop” pierwszym polskim zbiorem bajek, a także przysłów

składacze, prasowacze — najważniejsi, choć nie jedyni, pracownicy oficyny drukarskiej;

składacze — składali tekst; prasowacze — gotowy skład prasowali, czyli odbijali w prasie drukarskiej na papierze

str. 75. Kto miłuje księgi nie miewa teskności... — tytuł jednej z gadek w „Żywocie Ezopa Fryga” Biernata z Lublina

str. 84. winieta (z fran.) — rysunek zdobiący stronicę (kolumnę) książki lub kartę tytułową

-213-

„WSZYTAKIM SWOJE KSIĘGI DAJĘ...”

9tr. 86. Wszystkim swoje księgi doję... ~ cytat z karty tytułowej „Pieśni” Jana Kochanowskiego (1530—1584), wydanych w drukarni Łazarzowej w r. 1586 Botticelli — Sandro Botticelli (1444—1510), jeden z największych malarzy włoskiego renesansu gieźleczo (gieźło) — kobieca koszula, dziecięca płócienna sukienka

■tr. 87. Jakoby słońce zaszło... — dwa ostatnie wiersze fraszki „Do dziewczki” (Księgi wtóre) J. Kochanowskiego

Janicki — Klemens Janicki (1516—1543), syn chłopa wielkopolskiego, pierwszy prawdziwy poeta w dziejach literatury polskiej. Poezjami swymi zasłynął podczas studiów w Padwie, uzyskując z rąk papieża Pawła III wieniec poetycki. Janicki pisał po łacinie i jest zaliczany do tzw. poetów polsko-łacińskich

str. 88. fraszka (z włosk.) — krótki, żartobliwy wiersz, wierszowana anegdota; rodzaj poezji znany już w starożytności, uprawiany ze szczególnym upodobaniem w epoce Odrodzenia. Fraszki Kochanowskiego ukazały się drukiem w r. 1584

„...on Kochanowski) już od siedmiu lat w swoim Czarno-lesie przebywa...” — Kochanowski osiadł na stałe w Czarnolesie w. r. 1571

„...wszystkie rzeczy jego, żadnym wiekiem nie zrównane i...” — cytata z dedykacji Januszowskiego do wydania zbiorowego dzieł J. Kochanowskiego z r. 1585

Padwa — miasto w północnych Włoszech, siedziba starego, założonego w r. 1222 uniwersytetu, w którym w okresie Odrodzenia studiowało bardzo wielu Polaków

krużgankowy dziedziniec (z niem.) — korytarz biegnący dokoła wewnętrznego dziedzińca klasztorowego lub zamkowego, z dachem wspartym na kolumnach; krużganek taki posiada np. zamek wawelski a 11 y k a (z grec.) — ozdobne zakończenie ściany budynku przy zbiegu z dachem, zasłaniające częściowo lub całkowicie dach

&tr. 89. Bonerowski pałac — Seweryn Boner (1486—1549), bogaty mieszczanin, był wielkorządcą (burgrabią) krakowskim. Jako burgrabia, a zarazem nadworny bankier króla Zygmunta Starego zajmował się z jego ramienia sprawą przebudowy zamku wawelskiego w stylu renesansowym. Miał kilka kamienic w Krakowie, z których najwspanialszą, nie ustępującą renesansowym rezydencjom magnackim, była kamienica w Rynku, obecnie pod nrem 9, mająca piękną, dziś już nie istniejącą attykę. Attyka ta ma być obecnie zrekonstruowana

sstr. 91. Nie porzucaj nadzieje... — pierwsza zwrotka 9 pieśni (Księgi wtóre) J. Kochanowskiego

oponyflandryjskie — Flandria, nizinna kraina, leżąca nad Morzem Północnym, wchodząca obecnie w skład Francji, Belgii i Holandii. W późnym średniowieczu Flandria była jednym z najbardziej gospodarczo rozwiniętych i najbogatszych krajów Europy Słynęła szczególnie z wyrobów tkackich. Opona — zastona, kotara, makata.

-214-

str. 92. liście akantu (z grec.) — akant, roślina występująca w strefie śródziemnomorskiej, Afryce i Azji. Stylizowane liście akantu pojawiają się jako ozdoba architektoniczna w sztuce starożytnej Grecji w V w. p.n.e.

str. 93. N i d e c k i — Andrzej Patrycy Nidecki (1522—1587), biskup, pisarz kościelny, filolog, przyjaciel Kochanowskiego; pisał po łacinie Wirzbięta — Maciej Wirzbięta, wybitny drukarz krakowski, działający w latach 1554—1605. Drukował prawie wszystkie utwory Reja. Dzieła Mikołaja Reja z Nagłowic (1505—1569), o których mowa w opowiadaniu, wychodziły kolejno: „Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego” — 1558 r., „Zwierzyniec” — 1562 r., „Zwierciadło” — 1568 r.

str. 94. Łukasz Górnicki (1527—1603) — wykształcony we Włoszech pisarz obyczajowy i polityczny, humanista pochodzenia mieszczańskiego. Główne dzieło Górnickiego to „Dworzanin polski” (1566)

grzywna — u ludów słowiańskich jednostka monetarna. Jako oddzielna moneta nigdy nie była bita. Wybijane były denary, skojce, grosze itd., których określona ilość stanowiła grzywnę

str. 95. Nie wierz Fortunie... — dwie pierwsze zwrotki 3 pieśni (Księgi wtóre) J. Kochanowskiego; Fortuna — bogini losu; poślednie — tylne: pokłady — skarby, uskładane zasoby; dawność —

dawność posiadania, długie posiadanie Cnota skarb wieczny... — ostatnia zwrotka wyżej wymienionej pieśni

str. 96. W Tobie ja samym, Panie... — początkowe słowa 7 psalmu z „Psałterza Dawidowego” J. Kochanowskiego

str. 97. Piotrkowczyk — Andrzej Piotrkowczyk prowadził oficynę w Krakowie w latach 1574—1620. Po jego śmierci oficyna istniała dalej w rękach jego dziedziców do r. 1676, kiedy to została sprzedana przez Stanisława Piotrkowczyka Akademii Jagiellońskiej tzn. uniwersytetowi krakowskiemu)

.....dwaj bracia Szarffenbergerowie...” —Stanisław i Mikołaj

Szarffenbergerowie, synowie Marka Szarffenberga, wykształceni w zawodzie drukarza, członkowie zasłużonej rodziny drukarzy, wydawców i księgarzy krakowskich. Po nobilitacji Stanisław i Mikołaj (podobnie jak i Hieronim, ich brat stryjeczny, a syn Macieja Szarffenberga) zmienili nazwisko na Szarffenberger. Po śmierci ich ojca (1545) energiczna matka, Agnieszka, nie pozwoliła dzielić majątku i obaj synowie prowadzili z nią razem drukarnię. Po śmierci matki (1567) Stanisław i Mikołaj prowadzą oddzielnie drukarnie własne. Warto zaznaczyć, że drukarnia Mikołaja Szarffenbergera przeszła w XVII w. do zasłużonej również rodziny drukarskiej Cezarych

Helena Unglerowa — żona Floriana Unglera. Po śmierci męża (1536) prowadziła oficynę przy pomocy fachowych czeladników do r. 1551, tj. do roku swojej śmierci. Unglerowa wydała sporo książek

„Kronika wszytkiego świata” Bielskiego — Marcin Bielski (1495—1575), pisarz pochodzenia szlacheckiego, typowy przedstawiciel kultury i dążeń ówczesnego stanu szlacheckiego. Pisał prozą i wierszem. „Kronika” Bielskiego w odróżnieniu od wszystkich poprzednich polskich kronik jest dziełem, które nie ogranicza się tylko do spraw Polski, lecz usiłuje zebrać całą ówczesną wiedzę o świecie. Główne jej znaczenie polega na tym, że jest to pierwsza polska historia powszechna.

-215-

str. 98. Al do Manucjusz (Aldus Manutius) — wybitny drukarz i wydawca wenecki na przełomie XV i XVI w., twórca wygodnej w użyciu książki renesansowej małego formatu, co ułatwiało jej rozpowszechnianie. Stworzył też nowy krój pisma, kursywę. Syn jego Paweł (zm. w r. 1574) i wnuk noszący imię dziada, Aldo, również byli sławnymi drukarzami i filologami

str. 100. Plantyn — Krzysztof Plantin, drukarz francuski (pierwotnie introligator), osiadły w Antwerpii na początku drugiej połowy XVI w., wydawał dzieła na bardzo wysokim poziomie technicznym i estetycznym. Założyciel „dynastii” sławnych drukarzy, działających do drugiej połowy XIX w.

str. 101. psalterz (z śr. łac.) — część Starego Testamentu stanowiąca księgę złożoną ze 150 pieśni religijnych — psalmów, których autorstwo przypisywano królowi Dawidowi; „Psałterz Dawidowy” Kochanowskiego, będący przekładem tekstu łacińskiego (oryginał „Psałterza” hebrajski), wydany został w r. 1579

tren (z grec.) — wiersz żałobny, pieśń żałobna, której tematem jest opłakiwanie czyjejś śmierci, „Treny” Kochanowskiego wyszły drukiem w r. 1580

str. 102. „...architypografem Januszowski zostanie” — architypograf tytuł wyższy niż typograf, nadawany dawniej za wyjątkowe zasługi na polu drukarstwa. Januszowski rzeczywiście został architypografem w r. 1590

„...b ukształy kroju francusko-niderlandzkiego” — nowe pismo kroju romańskiego, a więc inne niż powszechnie używane gotyckie lub pochodzące od gotyckiego

str. 103. epitafium (z grec.) — napis na nagrobku

Str. 105. Gościu, siądź pod mym liściem... — fragment fraszki „Na lipę” (Księgi wtóre) J. Kochanowskiego; odpoczni — odpocznij; nawysszej — najwyżej

str. 106. listwy — ozdoby drzeworytnicze obejmujące kolumny tekstu

NA FLORIAŃSKIEJ „POD WIEWIÓRKĄ”

str. 110. „Pod Wiewiórką” — do XVIII w. włącznie istniał powszechny zwyczaj oznaczania domów za pomocą godeł. W w. XIX godeła zastąpiono numeracją

str. 111. Górecki, Śmieszkwie z, Mościcki — Wojciech Górecki, Balcer Smieszkwicz, Jakub Mościcki — drukarze krakowscy XVII w.

str. 118. (kartofle) .....nader rzadki to specjał...” — kartofle (z niem.) przywiezione zostały do Europy z Ameryki Południowej przez Hiszpanów w drugiej połowie XVI w. W Polsce kartofle zaczęto powszechnie uprawiać dopiero z końcem XVIII w.

str. 119. miedzioryt — odbitka rysunku wrytego (wyżłobionego) w płycie miedzianej; dla uzyskania odbitki wypełnia się farbą drukarską wyżłobienia (ryt) i przez silny ucisk w prasie przenosi się na papier

str. 120. Wacław Potocki (1625—1696) — autor bardzo licznych dzieł będących głównie wierszowanymi przeróbkami różnych autorów, największy polski satyryk XVII w. Najważniejsze dzieła Potockiego to „Wojna Chocimska»» „Moralia” i „Ogród fraszek”.

-216-

szpaler — tu: obicie, tapeta, zasłona, kotara str. 121. irchowy (z śr. grec.) — ircha, miękko wyprawiona skóra, zamsz

str. 122- Jerzy Szedel, Bartłomiej Nowodworski — pomniejsi dru--123. karze krakowscy XVII w.

str. 124. Imprimerie Royale (franc.) — Drukarnia Królewska stworzona w Paryżu w r. 1640 przez Ludwika XIII. Świetny swój rozwój zawdzięczała również i późniejszemu królowi, Ludwikowi XIV, który ją bardzo popierał. Drukarnia ta istnieje do dziś pod nazwą Imprimerie Nationale — Drukarnia Narodowa

str. 125. ...azaż to nie rozkosz... — cytat z „Żywota człowieka poczciwego” Mikołaja Reja

Dziwią się Włochom... — fragment wiersza pt. „List z Italii” Klemensa Janickiego; przekład Władysława Syrokomli

str. 126. „Nauki i zabawki świętobliwe...” (1669) Wojciecha Tylkowskiego, „Chwalebna cnót nieśmiertelnych ozdoba...” (1672) Michała Łodzińskiego — książki o sztucznych, barokowych tytułach wydane u Stanisława Piotrkowczyka. Obie znajdują się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie

#### U PANA GROLLA W MARYWILU

str. 131. M a r y w i l (franc. Marie Ville) — wielka pięcioboczna budowla przeznaczona na sklepy, pokoje zajezdne itp., wzniesiona w latach 1691—1695 przez Marię Kazimierę, żonę króla Sobieskiego, na terenach, gdzie obecnie znajduje się plac Teatralny i Teatr Wielki. Michał Groll (1722—1798) zamieszkał w Marywilu w r. 1763. Godłem księgarni był medalion z wizerunkami Sarbiewskiego i Naruszewicza. Marywil zburzony został w r. 1825 w związku z budową Teatru Wielkiego

Heilsberg — niemiecka nazwa Lidzbarka Warmińskiego; dawna siedziba biskupów warmińskich

Encyklopedia (z grec.) — mowa o Wielkiej Encyklopedii Francuskiej wydawanej w Paryżu w latach 1751—1776 pod kierownictwem pisarza i filozofa Denisa Diderota (1713—1784) oraz filozofa i matematyka Jean le Rond d'Alemberta. Wielka Encyklopedia Francuska będąca najdoskonalszym wyrazem prądów umysłowych XVIII w. stała się dziełem epokowym w dziejach rozwoju myśli ludzkiej. M.in. ogromny wpływ wywarła także na życie umysłowe Polski za czasów Stanisława Augusta

str. 134. obiad czwartkowy — cotygodniowy obiad 'wydawany przez Stanisława Augusta dla najbliższych jego przyjaciół — uczonych, poetów i artystów. Obiady czwartkowe, będące ośrodkiem życia umysłowego i myśli postępowej, odbywały się w Łazienkach albo w sali jadalnej Zamku Królewskiego. Zapoczątkowane wkrótce po wstąpieniu Stanisława Augusta na tron, przestały odbywać się mniej więcej w okresie Sejmu Czteroletniego

Trembecki — Stanisław Trembecki (ok. 1735—1812), jeden z najwybitniejszych poetów epoki stanisławowskiej. Najbardziej znane utwory Trembeckiego to „Zofiówka” i „Bajki”, jedne z najpiękniejszych w literaturze polskiej. Naruszewicz — Adam Naruszewicz (1733—1796), historyk i poeta,

-217 -

najwybitniejszy obok Krasickiego pisarz polskiego oświecenia. Ogromne zasługi dla kultury polskiej położył pisząc „Historię narodu polskiego”, pierwszą w Polsce krytyczną, o nowoczesnym ujęciu historię oczyszczoną z legend i zmyśleń kronikarzy (doprowadził ją do czasów Jagiełły). Spośród bardzo licznych dzieł poetyckich najwyższym poziomem odznaczają się „Satyry” Naruszewicza

B o homo lec — Franciszek Bohomolec (1720—1784), komediopisarz, publicysta, redaktor „Monitora”, a także autor wesołych pieśni biesiadnych. Jako długoletni nauczyciel w szkołach jezuickich pisał komedie

dla potrzeb sceny szkolnej, przerabiając przeważnie autorów francuskich i włoskich. Z czasem stał się dostawcą komedii również dla teatru królewskiego lauffer (z niem.) tu: bogato ubrany sługa biegnący przed pańską karetą Bacciarelli — Marcello Bacciarelli (1731—1818), Włoch z pochodzenia, portrecista, malarz scen historycznych i alegorycznych. Sprowadzony do Polski przez Stanisława Augusta w r. 1765, był „Pierwszym Malarzem Króla” i „Generalnym Dyrektorem Królewskich Budowli”. Obok licznych portretów króla, jego rodziny i współczesnych malował obrazy dekoracyjne do Zamku Warszawskiego i Łazienek. Sztuce polskiej zasłużył się także jako pedagog i kierownik „Malarii” zamkowej, to jest pracowni malarskiej, kształcącej młodych artystów, i jako obrońca interesów artystów polskich po utracie niepodległości

str. 135. C an a letto — przydomek Bernarda Belotto (1720—1780), wybitnego włoskiego malarza widoków miejskich. Pracował kolejno w Monachium, Dreźnie i Wiedniu, a od r. 1767 do końca życia w Warszawie. Głównym jego dziełem z tych lat jest cykl widoków Warszawy do Sali Prospektowej w Zamku

forys (z niem.) — dawniej dżokej siedzący na jednym z pierwszych koni w poczwórnym albo poszóstnym zaprzęgu

Palais Royale (franc.) — Pałac Królewski, budowla wzniesiona w Paryżu w r. 1629

str. 136. kopersztych (z niem.) — miedzioryt pantalonny (z franc.) — spodnie

Daniel Chodowiecki (1726—1801) — rysownik i sztycharz (rytownik) pochodzący z gdańskiej rodziny mieszczańskiej, zasłużony bardzo na polu grafiki książkowej

str. 237. „Sielanki polskie z różnych autorów zebrane” — tytuł książki wydanej w r. 1778 przez M. Grolla. Jest to jedna z najpiękniej wydanych książek polskich XVIII w.

„Gazeta Warszawska” — pismo codzienne o kierunku zachowawczym, jedno z najstarszych w Polsce, wydawane od r. 1773 afektacja (z łac.) — przesadny zapał, przesada, nienaturalność

str. 138. kontenans (z franc.) — pewność siebie, przytomność umysłu

farfurka saska (z tur.) — naczynie z porcelany lub fajansu; sławna saska porcelana wyrabiana w Meissen (Miśnia) masowo sprowadzana była do Polski za Sasów i w początkach panowania Stanisława Augusta dyskurs (z łac.) — tu: rozmowa towarzyska

str. 139. Voltaire — Francois-Marie Arouet Voltaire (1694:—1778), sławny pisarz i filozof francuski z okresu Oświecenia. Był nieubłaganym przeciwnikiem zacofania i ciemnoty. Wywierał ogromny wpływ na życie umysłowe nie tylko Francji, ale i całej Europy

-218-

str. 141. „Monitor” — pismo moralno-obyczajowe wychodzące w Warszawie w latach 1765—1785 pod redakcją F. Bohomolca. „Monitor”, do którego pisali najlepsi pisarze epoki stanisławowskiej, stawiał sobie za cel szerzenie idei Oświecenia, walkę z ciemnotą

„Zabawy Przyjemne i Pożyteczne" — pierwsze polskie czasopismo literackie wydawane w latach 1770—1777 pod redakcją A. Naruszewicza i J. Albertrandiego

str. 142. Szkoła Rycerska w Warszawie — zwana także Korpusem Kadetów, powstała z inicjatywy Stanisława Augusta Poniatowskiego w r. 1765, pod kierownictwem ks. Adama Kazimierza Czartoryskiego. Szkoła ta nie tylko dawała przygotowanie zawodowe na poziomie szkoły wyższej, ale jednocześnie dbała o patriotyczne wychowanie i kształcenie charakteru młodzieży. Wyszli z niej tacy ludzie, jak Kościuszko, Knia-ziewicz, Sokolnicki, Fiszer itd. Mieściła się w pałacu Kazimierzowskim, który obecnie wchodzi w skład budynków Uniwersytetu Warszawskiego; przetrwała do r. 1795

„...Л wie strofy o «świętej miłości kochanej ojczyzn y»" — chodzi tu o „Hymn do miłości ojczyzny" (1774) I. Krasickiego (1735—1801), zaczynający się od słów „Święta miłości kochanej ojczyzny..."  
„Monachomachia, czyli wojna mnichów" — utwór I. Krasickiego, poemat żartobliwy, satyra na mnichów. „Monachomachia" ukazała się w r. 1778

str. 143. mastyki (z łac.) — tu: maści, kremy do twarzy, kosmetyki

kontredans (z franc.) — figurowy taniec parami, przeplatany grami towarzyskimi przy muzyce; rozpowszechniony w Europie w XVIII w.

str. 144. „...w Puławach ma (ks. Izabella Czartoryska) pałac i ogród prowadzony według najnowszej angielskiej mody" — księżna Izabella Czartoryska (1746—1835), żona Adama Kazimierza Czartoryskiego, kobieta wykształcona, przejęta ideami Oświecenia, autorka pierwszych książek dla ludu i młodzieży, uczyniła Puławy ogniskiem życia literackiego i kulturalnego. Stworzyła w Puławach pierwsze w Polsce muzeum pamiątek narodowych mieszczące się w tzw. Świątyni Sybilli (zachowanej do dziś), a także założyła wspaniały, ogromny park, który budowali najznakomitsi ówczesni ogrodnicy-artycyści i który stał się wzorem dla innych parków polskich

Powązki — pałac i park krajobrazowy (pejzażowy) założony w latach 1770—1775 na terenach osady Powązki, poza dzisiejszym Cmentarzem. Powązki, których widoki utrwalił w licznych rysunkach Norblin (malarz francuski, działający w Polsce w latach 1774—1804), spłonęły w czasie oblężenia Warszawy w r. 1794 i nie zostały odbudowane

str. 145. gotowalnia — dawniej pokój z przyborami do ubierania się i czesania włosów; toaleta

pałac Błękitny — dawny pałac Teodora Potockiego, biskupa warmińskiego, po wielokrotnej zmianie właścicieli dostał się Augustowi Czartoryskiemu, ojcu Adama Kazimierza Czartoryskiego. Nazwa „pałac Błękitny" pochodzi od błękitnej barwy dachu. Obecnie pałac został zrekonstruowany w takiej postaci, jaką nadała mu ostatnia przebudowa w r. 1815. Znajduje się przy ulicy Senatorskiej nr 35/37 „...pałac książąt Lubomirskich na Mokotowie..."

-219-

„...k siężna Lubomirska sprowadził a... ogrodnika i budowniczych, by przyozdobili jej Mokotó w..." — Izabella z Czartoryskich Lubomirska, żona Stanisława Lubomirskiego, właścicielka Wilanowa, Bażantarni



(Natolin), Ursynowa i Mokotowa, wybudowała w r. 1772 na skarpie mokotowskiej pałacyk i założyła park pejzażowy. Pałacyk nazwany od późniejszych właścicieli pałacykiem Szustra oraz resztki parku istnieją do dziś

sotnia kozaków (sotnia — z ros. setka) — tu: ubrani po kozacku słudzy na dworach wielkopańskich

żabot (z franc.) — plisowana ozdoba z muślinu noszona w XVIII w. przy kobiecych sukniach lub męskich koszulach

str. 146. uriańskie perły — nazwa prawdziwych pereł o wspaniałym blasku; uriańskie — prawdopodobnie od franc. Orient — Wschód wstęga Orła Białego — order Orła Białego ustanowiony w r. 1705 przez Augusta II był jednym z najważniejszych orderów polskich

str. 147. koronki brabanckie — nazwa pochodzi od Brabancji, krainy znajdującej się obecnie w granicach Belgii i Holandii

szambelan (z franc.) — wysoki urzędnik dworski w dawnych monarchiach i na dworze papieskim  
d a n s e r (z franc.) — tancerz

„E n c h a n t e e... o u i, c' e s t e h a r m a n t !” (franc.) — Jestem zachwycona... tak, to czarujące! d u s e r y (z franc.) komplementy, grzeczne słówka

str. 149. Platon (427—347 p.n.e.) — starożytny filozof i pisarz grecki

C y c e r o — Marcus Tullius Cicero (106—43 p.n.e.), największy mówca w starożytnym Rzymie, teoretyk wymowy, historyk, filozof, prawnik  
Montaigne — Michel de Montaigne (1533—1592), francuski pisarz-moralista, filozof

str. 150. Niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję — ostatni wiersz fraszki „O żywocie ludzkim” (Księgi pierwsze) J. Kochanowskiego; za łby chodzą — wodzą się za łby

str. 151. kamerdyner (z niem.) — szatny, pokojowiec, sługa przeznaczony do osobistej obsługi pana

„...b ibliotekę przez pana Józefa Andrzeja Załuskiego, wielkiego refendarza koronnego zebraną” — J. A. Załuski (1702—1774), biskup, publicysta, polityk, zebrał jedną z największych wówczas w Europie bibliotek obejmującą około trzysta tysięcy ksiąg i kilkanaście tysięcy rękopisów. Bibliotekę tę (zwaną Biblioteką Załuskich) oddał w r. 1748 do użytku publicznego, a w r. 1771 przekazał ją narodowi. Wywieziona po rozbiorach do Petersburga, wróciła częściowo do Polski w r. 1923 do Biblioteki Narodowej. Biblioteka Załuskich mieściła się w istniejącym do dziś pałacu przy ulicy Daniłowiczowskiej nr 14; i e f e - r e n d a r z — wysoki dostojnik w sądownictwie Polski przedrozbiorowej księżnica — biblioteka, księgarnia  
k o a f ^ i u r a (z franc.) — uczesanie, ułożenie włosów, fryzura

str. 153. Podaje się do wiadomości... — oryginalne ogłoszenie Grólla z r. 1779

str. 154. afekcja (z łac.) — podrażnienie jakiegoś organu w ciele; afekcje katastroficzne — przeziębienie

„V o 11 a i r e' a zaczął przekłada ć...” — Trembecki przełożył komedię Voltaire'a pt. „Syn marnotrawny” („L'enfant prodigue”) D u f o u r — Piotr Dufour (zm. 1796), znany drukarz i nakładca warszawski doby Stanisława Augusta. Oprócz książek polskich drukował po francusku i niemiecku, a doraźnie także po włosku i łacinie. Zasłużył się też jako wydawca sztuk teatralnych. Drukarnia jego znajdowała się w Rynku Starego Miasta imaginować sobie (z łac.) — wyobrazić sobie

str. 155. „Bo ich swym nazwiskiem nie podpisuje” — w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych” ukazywały się bajki Trembeckiego bez podania jego nazwiska jako autora. Dopiero w ostatnim roczniku „Zabaw”, w rejestrze (spisie), wymieniany jest Trembecki jako autor poszczególnych bajek

„...w skaza ł... bajeczkę o przestraszonej myszce...” — mowa o bajce pt. „Myszka, kot i kogut” St. Trembeckiego

„Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki” — utwór I. Krasickiego o znaczeniu przełomowym dla rozwoju powieści polskiej, stanowi zapoczątkowanie nowej powieści odtwarzającej realistycznie sprawy życia codziennego

str. 157. „W z garda kraju i języka własnego znaczy lekkość umysłu i serce nieprawe” cytat z „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadków”

str. 158. Foksal — ogród założony za czasów Stanisława Augusta na terenach przy obecnej ul. Foksal, jako ogród rozrywkowy z salą koncertową i teatrem na wolnym powietrzu; nazwa pochodzi od słynnego niegdyś ogrodu Vauxhall pod Londynem (obecnie dzielnic\* Londynu)

(ogród) Saski — początkowo ogród przy pałacu Andrzeja Morsztyna (koniec XVII w.), następnie przebudowany i rozszerzony przez Augusta II oddany został do użytku publicznego w r. 1727

Łazienki — Łazienki znajdują się na terenie dawnych dóbr Ujazdów, stanowiących niegdyś siedzibę książąt mazowieckich, a po ich wygaśnięciu własność królów polskich. W drugiej połowie XVII w. dobra ujazdowskie z zamkiem królewskim zbudowanym za czasów Zygmunta III przeszły na własność Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, który m.in. wznosił nie opodal zamku, w lesie zwierzynieckim, niewielki przeznaczony na łaźnię budynek zwany Łazienką (stąd późniejsza nazwa Łazienki). W r. 1764 Ujazdów kupił od Lubomirskiego Stanisław August i od 1774 zaczął przebudowywać Łazienkę na rezydencję królewską. Pod osobistą pieczęcią króla i według jego wskazówek najlepsi królewscy architekci, rzeźbiarze, malarze i dekoratorzy uczynili pałac Łazienkowski najwspanialszym dziełem architektury klasycystycznej XVIII w. w Polsce, a także jedną z najpiękniejszych rezydencji królewskich owych czasów w Europie Środkowej. Główny architekt królewski Dominik Merlini (Włoch), -projektant pałacu Łazienkowskiego, projektował także znajdujące się na terenie parku pawilony, jak Pomarańczarnia, Biały Domek, pałacyk Myślewicki. Budowniczym parku w stylu angielskim był Jan Chrystian Szuch

str. 159. „jak ten szczur nie przymierzając, co to kościelne kadzidła przypisywał swojej chwale” — mowa o bajce pt. „Szczur i kot” I. Krasickiego

JT :

(

TYSIĄC STO NA GODZINĘ

str. 162. „jak tylko towarzyszem zostaniesz...” — po odbyciu praktyki

diuYiatskicj i pomyślnym złożeniu egzaminów praktykant stawał się „to-

л sztuki drukarskiej”, tzn. wykwalifikowanym pracownikiem

drukarskim

.Niemcewicza przyniosłeś? «Śpiewy historyczne?»” — Julian

Ursyn Niemcewicz (1758—1842), pisarz i poeta, działacz polityczny, gorący

y czynny udział we wszystkich wydarzeniach życia politycz-

ski od czasów Sejmu Czteroletniego aż po powstanie listopadowe.

! m.in. autorem bajek politycznych, komedii „Powrót pośła”,

raturze polskiej ballad oraz autorem nowych u nas

rodzajów powii

czne” (1816), o których mowa w opowiadaniu, jest to zbiór snuty na tle dziejów Polski, bardzo

popularnych i czytanych pokoleń a κ w o j a ź (z franc.) — podróżna torba

..aplikant z Komisji Skarbu...” — Juliusz Słowacki (1809—1849) czyli praktykantem w Komisji Kządowej

Przychodów ninisterstwo finansów), 28 marca 1829 r. Przy ul. Elekta ii w jesieni tegoż roku

•rcc i patrzaj w serce — ostatnia linijka wiersza pt. „Bomantycz-za (1789—1855) — długie, rozwlekłe napomnienie

ą Konstanty, brat carski...” — wielki ksiązę

jjrzez cara Aleksandra w r. 1816 naczelnym wo-

, stał się, właściwie udzielnym władcą Polski, despotą

wojsko, jak i przez cały naród. W czasie

, a później w ogóle wyjechał

Dzisiaj i co dnia... — pierwsza zwrotka wiersza pt. „Piosenka dziewczyny kozackiej” J. Słowackiego

str. 180. „...Jędrzek przyniósł ulotkę” — autorem ulotki, której fragment przytoczony jest w opowiadaniu, był Maurycy Mochnacki (1803—1835), świetny prozaik, publicysta, krytyk literacki, uczestnik przygotowań do powstania listopadowego, założyciel klubu rewolucyjnego pod nazwą Towarzystwo Patriotyczne, zwolennik bezkompromisowej walki z caratem połączonej z walką o reformy społeczne, a także żołnierz na polach bitew powstania

#### TYSIĄC STO NA GODZINĘ

str. 162. „jak tylko towarzyszem zostaniesz z...” — po odbyciu praktyki drukarskiej i pomyślnym złożeniu egzaminów praktykant stawał się „towarzyszem sztuki drukarskiej”, tzn. wykwalifikowanym pracownikiem drukarskim

„Niemcewicz przyniosłeś? «Śpiewy historyczne?»” — Julian Ursyn Niemcewicz (1758—1841), pisarz i poeta, działacz polityczny, gorący patriota biorący czynny udział we wszystkich wydarzeniach życia politycznego Polski od czasów Sejmu Czteroletniego aż po powstanie listopadowe. Niemcewicz jest m.in. autorem bajek politycznych, komedii „Powrót pośła”, pierwszych w literaturze polskiej ballad oraz autorem nowych u nas rodzajów powieści.

„Śpiewy historyczne” (1816), o których mowa w opowiadaniu, jest to zbiór wierszy osnutych na tle dziejów Polski, bardzo popularnych i czytanych przez wiele pokoleń

str. 164. sakwojaż (z franc.) — podróżna torba

str. 166. „...aplikant z Komisji Skarbu...” — Juliusz Słowacki (1809—1849) został aplikantem, czyli praktykantem w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu (ówczesne ministerstwo finansów), 28 marca 1829 r. Przy ul. Elektoralnej zamieszkał w jesieni tegoż roku

str. 167. Miej serce i patrzaj w serce — ostatnia linijka wiersza pt. „Romantyczność” A. Mickiewicza (1789—1855) p e r o r a (z łac.) — długie, rozwlekłe napomnienie

str. 168. „...wielki książę Konstanty, brat carski...” — wielki książę

Konstanty, mianowany przez cara Aleksandra w r. 1816 naczelnym wodzem wojsk polskich, stał się właściwie udzielnym władcą Polski, despotą zniechęconym zarówno przez wojsko, jak i przez cały naród. W czasie powstania listopadowego opuścił Warszawę, a później w ogóle wyjechał z Polski

str. 175. Dzisiaj i co dnia... — pierwsza zwrotka wiersza pt. „Piosenka dziewczyny kozackiej” J. Słowackiego

str. 180. „...Jędrzek przyniósł ulotkę” — autorem ulotki, której fragment przytoczony jest w opowiadaniu, był Maurycy Mochnacki (1803—1835), świetny prozaik, publicysta, krytyk literacki, uczestnik przygotowań do powstania listopadowego, założyciel klubu rewolucyjnego pod nazwą Towarzystwo Patriotyczne, zwolennik bezkompromisowej walki z caratem połączonej z walką o reformy społeczne, a także żołnierz na polach bitew powstania

str. 181. Witaj, wolności Aniele... — pierwsza zwrotka „Ody do wolności” J. Słowackiego

str. 182, Nam we własnych ufać siłach... — fragment „Hymnu” J. Słowackiego

UWAGA! JEDZIEMY!

str. 188. offset (z ang.) — druk płaski, pośredni. Formą drukującą jest tu blacha cynkowa z rysunkiem (lub tekstem) naniesionym tłustym tuszem. Blachę napina się następnie na cylindrze (walcu) w maszynie. W trakcie druku odpowiedni automat zwilża blachę wodą, wskutek czego tłustą farbę

-222-

drukarską przyjmuje tylko rysunek wykonany tuszem, a nie przyjmuje jej pozostała powierzchnia formy. Z formy drukującej rysunek w trakcie drukowania przenosi się na stykający się z nią cylinder gumowy, a dopiero z niego na papier (stąd nazwa: druk pośredni). Technikę offsetową stosuje się przy drukowaniu kolorowych ilustracji w czasopiśmie lub książkach wydawanych w dużych nakładach. Offset wynaleziony został na początku naszego stulecia

str. 190. rotograviura (z n. łac.) — druk wklęsły. Tu rysunek przenosi się na cylinder miedziany drogą skomplikowanych procesów chemicznych, zwanych trawieniem. W wyniku trawienia na walcu powstają drobniutkie kwadratowe wgłębienia, przy czym ciemniejszym barwom rysunku odpowiadają kwadraciki głębiej wytrawione. W te większe i mniejsze wgłębienia w powierzchni cylindra wchodzi farba. Podczas drukowania papier ściśle przylegający do formy „wypija” farbę z wgłębień i odpowiednio głębsze kwadraciki z większą ilością farby dają ciemniejsze barwy na papierze. Z niedrukującej, gładkiej powierzchni formy farbę ściera specjalny nóż, zwany rakiem. Technika rotograviurową wykonuje się obecnie druki jednokolorowe lub wielobarwne. Technika ta bywa stosowana do druku książek, szczególnie pięknie wydawanych, np. zawierających wiele reprodukcji malarskich czy fotograficznych

Przy drukach wielobarwnych offsetowych i rotograviurowych każdy kolor ma swój oddzielny cylinder i dopiero w trakcie druku poszczególne kolory nakładają się na siebie na papierze, dając reprodukcję odpowiadającą oryginałowi

str. 191. t y p o (typografia, z grec.) — druk wypukły, najstarsza i najprostsza technika druku, polegająca na tym, że miejsca drukujące (rysunek, tekst) wystają ponad powierzchnię formy i farba drukarska pokrywa tylko te właśnie drukujące elementy formy. Przy typografii formy nie napina się na cylindrze, lecz układa się poziomo w maszynie

str. 193. raster (z niem.) — przyrząd optyczny, którego używa się do wykonywania reprodukcji. Składa się on z dwóch sklejonych ze sobą płyt szklanych opatrzonych w równoległe nacięte, bardzo cienkie linie. Płyty sklezione są z sobą w taki sposób, że linie te przecinają się pod kątem prostym. Sfotografowany przez raster obraz zostaje rozbity na punkty różnej wielkości

papier pigmentowy (z łac.) — papier o światłoczułej powierzchni, stosowany w rotograviurze do kopiowania obrazu

l i n o t y p (z ang.) — maszyna służąca do składania tekstu, odlewająca w metalu całe wiersze w odróżnieniu od monotypu, która odlewa pojedyncze czcionki. Tempo pracy na linotypie jest oczywiście nieporównanie szybsze niż przy składaniu ręcznym. Linotyp wynalazł Ottomar Mergenthaler (Baltimore) w r. 1886

str. 195. szmergiel — (z niem.) — papier, którego powierzchnia pokryta jest warstwą sproszkowanego szkła, czyli tzw. papier ścierny

str. 198. pasta — pasta służy podobnie jak szmergiel do przecierania wytrawionego walca celem rozjaśnienia niektórych szczegółów

str. 203. narząd — szereg zabiegów technicznych przed rozpoczęciem druku na maszynie drukarskiej

\*

## SPIS TREŚCI

SPRAWY DŁUGICH WIEKÓW .....	9
SZOPA ZA MIASTEM.....	36
TYPOGRAF JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI . . .	59
„WSZYTAKIM SWOJE KSIĘGI DAJĘ...”.....	86
NA FLORIAŃSKIEJ „POD WIEWIÓRKĄ” ...	110
U PANA GRÓLLA W MARYWILU.....	131
TYSIĄC STO NA GODZINĘ.....	161
UWAGA! JEDZIEMY!.....	188
OBJAŚNIENIA.....	209

r